

# Wymarzony dom Ani

Lucy Maud Montgomery



calibre 0.9.27

Lucy Maud Montgomery

Wymarzony dom Ani

Tłumaczył z języka angielskiego Stefan Fedyński

Tytuł oryginału „Anne’s House of Dreams”



# I. Na facjatce Zielonego Wzgórza

Chwała Bogu, koniec z geometrią! — rzekła z uczuciem ulgi Ania Shirley. Rzuciła nieco zniszczony tom Euklidesa do wielkiej skrzyni i z triumfem zatrasnęła wieko; usiadłszy na nim, spojrzła na siedzącą w drugim końcu facjatki Dianę Wright swymi siwymi oczyma, pięknymi i jak letni poranek

Facjatka — był to zacieniony, rozkoszny i cichy kącik, jakim facjatki zawsze być powinny. Przez otwarte okno, przy którym siedziała Ania, płynęło słodkie, pachnące, słońcem nagrzanne powietrze sierpniowego popołudnia; na dworze gałęzie topól szumiały poruszane wiatrem, a dalej ciągnęły się rzędy drzew, wśród których Aleja Zakochanych wiała się zaczarowaną ścieżyną oraz widniał sad pełen jabłoni uginających się pod ciężarem owoców. A ponad tym wszystkim przeciągały na błękitie południowych niebios szeregi puszy stych, białych chmurek. Przez drugie okno przebyłskiwiała z dala niebieską płachtą, usianą plamami białej piany, Zatoka Św. Wawrzyńca z wystającą pośrodku, jak cudowny klejnot, wysepką Abegweit, której miękkie i dźwięczne miano indiańskie zastąpione zostało bardziej prozaicznym „Wyspy Księża Edwarda”.

Diana Wright, starsza od chwili kiedyśmy ją po raz ostatni widzieli o całe trzy lata, nabrała w tym czasie dużo powagi. Tylko czarne oczy zachowały blask brylantów, policzki pozostały jak dawniej różowe, a doleczki tak czarowne jak w owe dawne, minione dni, kiedy to ona i Ania Shirley na stołach ogrodu przysięgały sobie wieczną przyjaźń. W objęciach trzy mała małe, śpiące stworzonko o czarnych łokach, które od dwóch pełnych radości lat znane było w całym Avonlea jako mała Anna–Kordelia. Oczywiście, w Avonlea wiedziano, dlaczego Diana małą swą nazwała Anią, ale wszyscy byli zaintrygowani drugim imieniem — Kordelii. Nie spotykało się nigdy tego imienia ani wśród rodzin Wrightów, ani Barry’ch. Pani Harmon Andrews była zdania, że Diana musiała je wyczytać w jakimś strasznym romansie, i była mocno zdziwiona, że Fred nie miał dość rozsądku, by czegoś podobnego zabronić. Ania jednak i Diana uśmiechały się tylko do siebie. Wiedziały dobrze, jak się to stało, że mała Anna–Kordelia otrzymała takie imię.

— Tyś zawsze nie znosiła geometrii — rzekła Diana z uśmiechem — i myślę, że musisz być bardzo szczęśliwa skończywszy raz z tym nauczycielstwem.

— Ach, wykładać lubiałam zawsze, z wyjątkiem jednej geometrii. Toteż te trzy ostatnie lata w Summerside były doprawdy bardzo mile. A pani Harmon Andrews zapewniała mnie po moim powrocie do domu, że prawdopodobnie małżeństwo nie będzie tyle piękniejsze od nauczycielstwa, ile ja to sobie wyobrażam. Najwidoczniej pani Harmon jest tego zdania co Hamlet, że lepiej jest znosić kłopoty, które się zna, aniżeli szukać innych, o których się nic nie wie.

Wesoły śmiech Ani, któremu jak dawniej nie można się było oprzeć, tylko słodszy i pełniejszy, zadźwięczał na facjatce. Maryla, zajęta na dole w kuchni przyrządzaniem powidel, uśmiechnęła się, usłyszawszy go, potem jednak westchnęła, bo przypomniała sobie, jak rzadko odtąd ten śmiech serdeczny będzie dźwięczał na Zielonym Wzgórzu. Nic nie radowało Maryli tak bardzo jak przeświadczenie, że Ania wyjdzie za mąż za Gilberta Blythe. Ale w każdej radości jest jednak ziarnko goryczy. Przez trzy lata pobytu w Summerside Ania często spędzała w domu wakacje oraz przyjeżdżała na niedzielę, a po ślubie najwyżej raz na dwa lata można się będzie spodziewać jej wizyty.

— Nie martw się zupełnie tym, co mówi pani Harmon — rzekła Diana z całą powagą mężatki od lat czterech. — Stanowczo w małżeństwie są dobre i złe chwile. Nie powinnaś się także spodziewać, że wszystko pójdzie zupełnie gładko. Ale wierzaj mi, Aniu, że to wielkie szczęście wyjść za mąż za odpowiedniego człowieka.

Ania stłumiła uśmiech. Sposób, w jaki Diana okazywała swoje wielkie doświadczenie, zawsze ją bawił.

„Z pewnością będę taka sama po czterech latach małżeństwa — myślała — chociaż moje poczucie humoru może mnie od tego uchronić”.

— Czy już postanowione, gdzie będziecie mieszkać? — spytała Diana tuląc do siebie małą Anię–Kordelię tym trudnym do naśladowania gestem macierzyństwa, który zawsze wywoływał w pełnym słodyczy i niewypowiedzianej tęsknoty sercu Ani uczucie na polu jakiegś cudownej rozkoszy, a na polu dziwnego, niezemskiego bólu.

— Tak. O tym właśnie chciałam z tobą pomówić, jak do ciebie telefonowałam. Ale, ale! Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, że Avonlea ma telefony. Brzmi to tak niezwykłe nowoczesnie w tej kochanej, starej mieście.

— Możemy za to podziękować zarządowi K.M.A.\* — rzekła Diana. — Nigdy nie zdążylibyśmy uzyskać połączeń telefonicznych, gdyby koło nie wzięło sprawy w swoje ręce i nie doprowadziło jej do końca. Dość było trudności na drodze, by zniechęcić każde inne towarzystwo, członkowie jednak K.M.A. trzymali się wytrwale raz powziętego planu. Stworzenie tego koła przez ciebie, Aniu, było doprawdy dobrodziejstwem dla Avonlea. A ile mieliśmy uciechy z tego powodu na naszych zebraniach! Czy mogłabyś zapomnieć kiedykolwiek o niebieskim domu albo o projekcie Jutsona Parkera — malowania na swym parkanie ogłoszeń o środkach leczniczych?

— Nie mogę powiedzieć, abym była zbyt wdzięczna K.M.A. za ten cały telefon — powiedziała Ania. — Ach, ja sobie zdaję dokładnie sprawę, że jest to wielka wygoda, nawet stary nasz sposób porozumiewania się za pomocą światła świecy nie może się z tym równać. Poza tym, jak mówi pani Małgorzata: „Avonlea musi iść z prądem”, i tyle. Ja jednak wolałabym, aby Avonlea nie było popsute przez „nowoczesne niedogodności”, jak zwykł mawiać pan Harrison, kiedy chce być dowcipny. Chciałabym, by zachowało cały swój, niczym nie tknięty urok, jak za starych, kochanych czasów. Niestety, muszę przyznać, że jest to nierozsądne, sentymtalne i niemożliwe. I wobec tego staję się już rozsądną i praktyczną. Telefon, jak powiada pan Harrison, jest to cudowny wynalazek nawet wówczas, gdy masz prawie pewność, że połowa interesujących się tobą osób podsłuchuje rozmowę.

— Otóż to jest najgorsze! — westchnęła Diana. — To takie nieznośne, jak się słyszy, że ktoś podnosi słuchawkę, ile razy dzwonisz do kogo innego. Powiadają, że pani Harmon Andrews uparła się koniecznie, aby ich telefon został założony w kuchni, tak aby mogła słyszeć, ilekroć zadzwoni, a równocześnie nie spuszczać z oka obiadu. Dziś, kiedyś ty mnie zawołała, zupełnie dokładnie słyssałam podczas naszej rozmowy uderzenia tego niezwykłego zegara u Pye’ów. Jestem przekonana, że Józia albo Gertie podsłuchiwały.

— Ach, więc to było powodem pytania, czy mamy nowy zegar na Zielonym Wzgórzu? Nie mogłam zrozumieć, o co ci chodzi. A z chwilą kiedyś to tylko powiedziała, usłyszałam takie jakieś silne stuknięcie. Przypuszczam, że to była słuchawka u Pye’ów, zawieszona z powrotem ze zbytnią energią. No, ale Bóg z Pye’ami. Jak mówi pani Linde: „Byli Pye’ami i zostaną nimi do końca świata”. Przyznam się, że chcę już rozmawiać o bardziej przyjemnych rzeczach. Pomyśl, że już postanowiliśmy, gdzie mamy założyć nowe gniazdko.

— Ach, gdzie, Aniu? Spodziewam się, że będzie to gdzieś niedaleko?

— Niestety, to jest ta zła strona. Gilbert zamierza osiąść nad Przystanią Czterech Wiatrów oddaloną stąd o sześćdziesiąt mil.

— Sześćdziesiąt mil! Z równym powodzeniem mogłoby być sześćset! — wykrzyknęła Diana. — Nie mogę się ruszyć z domu dalej jak do Charlottetown.

— Będziesz musiała przyjechać do Czterech Wiatrów. Jest to najpiękniejsza przystań na całej Wyspie. Znajduje się tam mała wioska Glen St. Mary, gdzie doktor Tomasz Blythe był lekarzem przez pięćdziesiąt lat. Jest to stryj Gilberta. Chce już przestać pracować, a Gilbert ma po nim objąć praktykę. Ponieważ jednak doktor Blythe zatrzymuje dla siebie cały swój dom, musimy poszukać sobie innego mieszkania. Nie wiem w tej chwili, gdzie ono jest, ani też, jak wygląda. Ale w mej wyobraźni wymarzyłam już sobie taki domek, cały umeblowany według mego gustu — wiesz, taki malutki, rozkoszny domeczek

— A dokąd masz zamiar udać się w podróż poślubną? — zapytała Diana.

— Nigdzie. Najdroższa, nie patrz na mnie takim przerażonym wzrokiem. Przypominasz mi zupełnie panią Harmon Andrews. Już słyszę jej laskawą uwagę, że ludzie, którzy nie mają pieniędzy, postąpią najrozsądniej, pozostając w domu, a potem doda, że jej Janka objechała w podróży poślubnej całą Europę. Ja jednak chcę spędzić moje miodowe miesiące w Czterech Wiatrach, w moim wymarzonym domku.

— I postanowiłaś również, że nie będziesz miała druhen?

— Nie mam żadnej. I ty, i Iza, i Priscilla, i Janka — wszystkieście mnie wyprzedziły w małżeństwie, a Stella jest nauczycielką w Vancouver. Poza wami nie mam żadnej pokrewnej duszy, a nie chcę mieć druhy, która by nie była nią z serca.

— Ale welon będziesz miała? — zapytała trochę niespokojnie Diana.

— Bezwarunkowo! Nie chciałabym się panną młodą bez welonu. Przypominam sobie, jak zapewniałam Mateusza, w ten wieczór, kiedy mnie wiozł do Zielonego Wzgórza, że nigdy się nie żaręcę, bo nikt przecież nie zechce się ożenić z taką brzydłą jak ja, chyba jakiś misjonarz z dalekich krajów. Wyobrażałam sobie, że misjonarze nie mają prawa pozwalać sobie na zbyt wybredny gust, bo nie mogą żądać, by dziewczyna narażała swoje życie dla nich, udając się między

ludożerców. A tymczasem, gdybyś ty zobaczyła tego misjonarza, za którego wyszła Priscilla! Był tak przystojny i tajemniczy, jak ci wybrańcy naszych marzeń; był najlepiej ubranym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam, i zachwycał się „niebiańską i złocistą pięknoscia” Priscilli. Ale i to prawda, że w Japonii nie ma ludożerców.

— Twoja suknia ślubna to jedno marzenie — z podziwem powiedziała Diana. — Przy twym wzroście będziesz w niej wyglądała jak prawdziwa królowa. Jak ty to robisz, że zachowujesz taką szczupłość? Ja staję się coraz pełniejsza i niedługo stracę figurę.

— Obfita tusza czy szczupłość to wszystko kwestia przeznaczenia — odparła Ania. — W każdym razie pani Harmon Andrews nie będzie mogła powiedzieć do ciebie tego, co mnie powiedziała po moim powrocie z Summerside: „Wiesz, Aniu, jesteś prawie tak chuda jak zawsze”. To brzmi bardzo romantycznie — być szczupłą, ale słówko „chuda” ma zupełnie inny ton.

— Pani Harmon opowiadała o twojej wyprawie i przyznawała, że jest tak piękna jak jej Janki, chociaż Janka wyszła za mąż za milionera, a ty wychodzisz za młodego doktora bez złamanego grosza przy duszy.

Ania roześmiała się.

— Moje sukienki są rzeczywiście piękne. Ja też lubię ładne rzeczy. Przypominam sobie mą pierwszą ładną sukienkę, jaką kiedykolwiek miałam. Wiesz, to była ta brązowa, którą mi sprawił Mateusz z okazji naszego szkolnego koncertu. Do tej pory wszystko to, co miałam, było takie brzydkie. A tego wieczoru zdawało mi się, że wchodzę w nowy świat.

— Wiem. Było to w ten wieczór, kiedy Gilbert deklamował „Bingen nad Renem” i przy słowach „Jest tam inne dziewczę, lecz nie siostra” spojrział na ciebie. A tyś była taka strasznie zła, bo włożył do butonierki twą różę z jasnego jedwabiu. Nie przy puszczałaś wówczas, że kiedyś zostanie twoim mężem.

— Widzisz, to jest znowu inny przykład na przeznaczenie — zaśmiała się Ania schodząc z przyjaciółką na dół po schodach.



# II. Wymarzony dom Ani

Więcej było ożywienia na Zielonym Wzgórzu anieli kiedykolwiek w całej jego historii. Nawet Maryla była tak podniecona, że nie umiała tego ukryć, co było rzeczą zupełnie niezwykłą.

— Nigdy nie mieliśmy wesela w tym domu — mówiła, jakby usprawiedliwiając się, do pani Małgorzaty Linde. — Kiedy byłam dzieckiem, słyszałam zdanie pewnego starego pastora, że dom staje się prawdziwym ogniskiem dopiero wówczas, gdy zostanie poświęcony narodzinami, ślubem lub też śmiercią. Zgony mieliśmy już tutaj — zmarli tu i mój ojciec, i moja matka, i Mateusz; i mieliśmy tu także narodziny. Dawno temu, zaraz jakęśmy się sprowadzili do Zielonego Wzgórza, wynajęliśmy na krótki czas żonatego człowieka do posług i jego żona powiła dziecko. Lecz nigdy przedtem nie było tu wesela. Dziwną jest dla mnie myśl o małżeństwie Ani. Ciągłe wydaje mi się, że jest jeszcze tym małym dziewczętkiem, które Mateusz przy prowadził czternaście lat temu. Nie mogę sobie uprzytomnić, że to już dorosła osoba. Nigdy nie zapomnę uczucia, jakiego doznałam w chwili, kiedy Mateusz wprowadził dziewczynkę do pokoju. Ciekawe jest, co by się stało z chłopakiem, którego byśmy dostali, gdyby nie przytrafiła się omyłka. Jaki też los mógłby go spotkać?

— Tak była to szczęśliwa omyłka — zauważyła pani Małgorzata Linde — chociaż była chwila, kiedy myślałam inaczej, i to w ten wieczór, jak przyszedł do was, aby zobaczyć Anię, a ona urządziła nam taką scenę. Wiele rzeczy zmieniło się od tego czasu — tak, tak...

Pani Małgorzata westchnęła, lecz w tej chwili znów się ożywiła. Tam gdzie chodziło o wesele, pani Linde gotowa była zapomnieć o przeszłości.

— Mam zamiar dać Ani dwie z mych kap na łóżka — dodała — jedną w tabaczkowe pasy, a drugą w listki. Mówiła mi Ania, że stają się bardzo modne. Moda nie moda, ale myślę, że nie ma nic praktyczniejszego w gościnnym pokoju jak piękna kapa na łóżku z deseniem w listki. Muszę je jeszcze tylko wybielić. Od czasu śmierci Tomasza znajdują się zaszyte w workach i z pewnością straciły ogromnie na kolorze. Ale do wesela jeszcze cały miesiąc, a wybielenie na rosie robi cuda.

— Tylko miesiąc jeszcze!

Maryla westchnęła, a potem powiedziała z dumą:

— A ja dam Ani pół tuzina tych plecionych dywaników, które mam na facjatec. Nigdy nie przypuszczałam, że ona je zechce mieć — takie już niemodne, a przy tym wszyscy dziś żądają gotowych słomianek. Ale Ania, tylko o nie prosiła mówiąc, że woli moje dywaniki aniżeli wszystkie inne. Zresztą one są rzeczywiście ładne, bo splatałam je z najpiękniejszych gałganek. To było całe moje zajęcie w ciągu kilku ostatnich zim. Poza tym zrobię im jeszcze tyle powideł, by mieli w spiżarnce zapas na cały rok. Muszę przy tym powiedzieć, że ze śliwami w naszym ogrodzie zdarzyła się także dziwna historia. Nie kwitły w ciągu trzech ostatnich lat i już miałam zamiar kazać je ściąć. Tymczasem w tym roku na wiosnę pokryły się tak gęstym kwieciami, że były zupełnie białe i nie pamiętam tak obfitego zbioru śliwek na Zielonym Wzgórzu.

— No, chwała Bogu, że koniec końcem Ania i Gilbert się pobiorą. Zawsze o to prosiłam Boga — powiedziała pani Małgorzata tonem osoby zupełnie przekonanej, że jej modlitwy w tym wypadku dużo pomogły. — Szczerze odetchnęłam slysząc, że Ania nie myśli wyjść za mąż za tego pana z Kingsport. Jest wprawdzie bogaty, a Gilbert biedny, ale zawsze to chłopak z naszej Wyspy.

— On jest Gilbertem Blythe — powiedziała Maryla z dumą. Maryla raczej by umarła, niżby miała wyrazić słowami myśl, która tkwiła w niej podświadomie, ile razy, i to od jego chłopięcych lat, spoglądała na Gilberta — myśl, że gdyby nie jej nierozsądne, uporczywe milczenie dawno, dawno temu, Gilbert mógłby być jej synem. Maryla wyczuwała, że w jakiś dziwny sposób małżeństwo Ani wyrówna tę starą omyłkę i że wreszcie dobrze skończą się cierpienia tych gorzkich wspomnień.

Ania była tak szczęśliwa, że prawie ze strachem o tym myślała. Stary przesąd powiada, że bogowie nie lubią patrzeć na zbyt szczęśliwych ludzi. W każdym razie pewne jest, że nie lubią tego niektóre ludzkie stworzenia. Pewnego dnia o zmroku dwie takie istoty spadły na Anię i zaczęły robić wszystko, co tylko w ich mocy, by szpilkami swych uwag rozbić tęczowe bańki jej szczęścia. Jeżeli ona sobie wyobraza, że wygrywa jakiś niezwykły los, przyjmując młodego Gilberta Blythe, albo jeżeli myśli przypadkiem, że on wciąż jest jeszcze taki w niej zaślepiony jak z początku, to ich świętym obowiązkiem jest przedstawić jej sprawę w zupełnie innym świetle. A przecież te dwie czcigodne damy nie należały wcale do nieprzyjaciółek Ani — gotowe były bronić jej przed każdym atakiem, jak swoje własne młode. Natura ludzka nie ma obowiązku być konsekwentną.

Pani Inglis, urodzona Janina Andrews — żeby zacytować „Nowiny Codzienne” — przyszła razem z matką i z panią Jasper Bell. Na szczęście wrodzona zycziwość Janki nie doznała uszczerbku. Życie przyjemnie jej się ułożyło. Mimo tego iż — jakby to powiedziała pani Małgorzata — wyszła za milionera, małżeństwo jej było szczęśliwe. Bogactwo nie zepsuło jej wcale. Pozostała jak dawniej spokojną, miłą, o różowej buzi, przyjacielską Janka ze starej czwórki, cieszącą się serdecznie ze szczęścia dawnej koleżanki, i tak samo zainteresowaną wszelkimi szczegółami wyprawy przyjaciółki, jak gdyby to były jej własne jedwabne, klejnotami obspane wspaniałości. Janka nigdy nie odznaczała się błyskotliwym umysłem i bodaj nigdy w życiu nie powiedziała nic takiego, co warto by było usłyszeć; ale również nie obrażała niczym nigdy cudzych uczuć, co jest może zaletą w negatywnym znaczeniu, co się jednak rzadko spotyka i jest rzeczą godną zazdrości.

— No i Gilbert mimo wszystko nie cofnął się — rzekła pani Harmon Andrews starając się nadać swym słowom wyraz zdziwienia — ale co prawda, Blythe’owie zwykli dotrzymywać raz danego słowa, bez względu na to, co się stanie. Czekaj no, Aniu. Ty masz teraz dwadzieścia pięć lat, prawda? Kiedy ja byłam młodą dziewczyną, dwudziesty piąty rok uważało się jako pierwszy zakręt. Ty jednak wyglądasz zupełnie młodo, jak zresztą wszyscy ludzie o rudych włosach.

— Rude włosy są teraz modne — powiedziała Ania dość zimnym tonem, starając się uśmiechnąć. Życie rozwinęło w niej poczucie humoru, które pomagało jej często przezwyciężać rozmaite trudności; nic jednak nie było w stanie uodpornić Ani na temat jej rudych włosów.

— Tak, tak — zgodziła się pani Harmon. — Po prostu nie ma się wyobrażenia o niezwykłych kapryсах mody. Wiesz, Aniu, że wszystkie twoje rzeczy są bardzo ładne i bardzo odpowiednie do twojego stanowiska w życiu, prawda, Janko? Spodziewam się, że będziesz bardzo szczęśliwa. W każdym razie masz wszystkie moje najlepsze życzenia. Długie narzeczeństwo nie zawsze kończy się pomyślnie. Ale w twoim wypadku nie mogło być inaczej.

— Gilbert wygląda bardzo młodo. Boję się, że ludzie nie będą mieli zbyt dużo zaufania do niego jako doktora — powiedziała z ponurą miną pani Jasper Bell. Potem zaś zacisnęła usta, jak gdyby przekonana, że jej obowiązkiem, dla uspokojenia swego sumienia, było powiedzieć to, co powiedziała. Pani Bell należała do typu kobiet, u których na kapeluszu sterczało zawsze czarne piórko, a na szyi zwisały źle uczesane włosy.

Zewnętrzne zadowolenie Ani, wywołane posiadaniem tylu pięknych rzeczy, zostało nieco przyćmione. Ale słowa te nie mogły dosięgnąć jej wielkiego, głęboko utajonego szczęścia i ukłucia pań Andrews i Bell szybko poszły w zapomnienie, jak tylko zjawił się Gilbert. Oboje skierowali swe kroki do rosnących nad strumieniem brzoź, które były maleńkimi drzewkami, gdy Ania zjawiła się na Zielonym Wzgórzu, a które teraz rozrosły się i o zmroku wyglądały jak wspaniałe kolumny zaczarowanego zamku, wspierającego cudowne sklepienie gwiazdzonego nieba. W ich cieniu Gilbert i Ania, zwyczajem kochanków, snuli marzenia o swym nowym domu i nowym życiu.

— Wiesz, Aniu, znalazłem już gniazdko dla nas.

— Ach, gdzie? Spodziewam się, że nie w samej wsi, wcale by mi się to nie podobało.

— Nie. We wsi nie można było zupełnie dostać mieszkania. Ja znalazłem mały domek nad brzegiem morza, w porcie, w połowie drogi między Glen St. Mary a Czterema Wiatrami. Leży trochę na uboczu, ale to się nie da odczuć, jak założyły telefon. Za to położenie jest przepiękne. Okna wychodzą na zachód, a przed domkiem rozpościera się widok na cały stary port. Tuż obok ciągną się obryzgiwane pianą wydmy piaszczyste, po których hulają wiatry morskie.

— Ale sam domek, Gilbertcie, nasz pierwszy domek, jak on wygląda?

— Nie bardzo duży, ale wystarczający dla nas dwojga. Jest tam wspaniały pokój bawialny z kominkiem i pokój jadalny wychodzący na morze, i jeszcze jeden mniejszy pokoiłk w którym urządzę swój gabinet. Domek jest stary, najstarszy bodaj w Czterech Wiatrach, bo zbudowany przed około sześćdziesięciu laty. Ale zawsze był utrzymywany w dobrym stanie, a przed piętnastu laty został gruntownie odnowiony; pokryto go wówczas nowym dachem, ściany pomalowano i dano nową podłogę. Najważniejsze jest jednak to, że budowa z samego początku była bardzo solidna. Słyszałem, że z domkiem tym łączy się jakaś romantyczna historia, ale pan, od którego go wynająłem, nic o tym nie wiedział. Wspomniał tylko, że kapitan Jim mógłby opowiedzieć mi coś o tych starych dziejach.

— Któż to jest kapitan Jim?

— Strażnik latarni morskiej w Czterech Wiatrach. Będziesz, Aniu, zachwycona tym światelkiem. Gaśnie i zapala się wciąż i przebyskuje o zmroku jak najpiękniejsza gwiazda. Będziemy mogli je zawsze widzieć z okien naszej bawialni i

przez drzwi frontowe.

— A do kogo domek należy?

— Do prezbiteriańskiego kościoła w Glen St. Mary. Ja go wynająłem od pełnomocnika. Ale do niedawna należał do staruszki, panny Elżbiety Russel, która zmarła przeszłej wiosny. Ponieważ nie miała krewnych, zapisała kościółowi w Glen St. Mary cały swój majątek. Jej meble wciąż jeszcze znajdowały się w tym domku i kupiłem je prawie za grosze, ponieważ były tak stare i niemodne, że panowie pełnomocnicy w ogóle stracili nadzieję sprzedania ich komukolwiek. Mam wrażenie, że ludek z Glen St. Mary woli meble pluszowe i szafy z lustrami i ozdobami. Moim zdaniem jednak meble panny Russel są bardzo ładne i jestem przekonany, że ci się będą podobały.

— Jak dotychczas wszystko dobrze — ostrożnie zgodziła się Ania. — Ale przyznasz, Gilbercie, że ludzie nie powinni się zadowalać samymi tylko meblami. Nie wspomniałeś dotychczas o jednej bardzo ważnej rzeczy. Czy są tam drzewa dookoła domu?

— Ależ całe masy! Jest najpierw duży lasek jodłowy poza domem, następnie dwa szeregi włoskich topól wzdłuż drogi i wreszcie pierścień białych brzoź dookoła przemilego ogrodu. Drzwi frontowe naszego domku wychodzą wprost na ogród, ale oprócz tego jest inne jeszcze wyjście — mianowicie mała furtka, zawieszona między dwoma jodłami. Zawiasy przy mocowane są do jednego pnia, a zasuwa do drugiego i gałęzie tworzą nad głową łuk.

— Ach, jakże jestem szczęśliwa! Nie mogłabym egzystować bez drzew — czuję, że bez nich zamierałoby we mnie coś bardzo żywotnego. Przyznam się, że po tym wszystkim nie śmiem już pytać, czy gdzieś niedaleko płynie strumyk. Byłoby to już za dużo wymagań.

— Oczywiście, że i strumyk jest, a nawet przecina w jednym rogu nasz ogród.

— Wobec tego tylko ten domek, któryś ty wynalazł, może być moim wymarzonym domkiem, żaden inny! — rzekła Ania z uczuciem zadowolenia.





# III. W krainie marzeń

Czyś się już zdecydowała, kogo chcesz mieć na weselu, Aniu? — zapytała pani Małgorzata Linde, pilnie zajęta obrabianiem serwetek — Najwyższy czas już, by wysłać zaproszenia, chociażby nieformalne.

— Nie chcę zapraszać zbyt dużo osób — odpowiedziała Ania. — Chciałabym, aby na ślubie byli obecni tylko nasi najmiłsi przyjaciele. Rodzina Gilberta, państwo Allan i państwo Harrison.

— Był czas, kiedy trudno było powiedzieć, abyś pana Harrisona zaliczyła do swych najlepszych przyjaciół — sarkastycznie zauważyła Maryla.

— To prawda, że przy naszym pierwszym spotkaniu nie bardzo byłam nim zachwycona — przyznała Ania ze śmiechem. — Ale w ciągu naszej znajomości pan Harrison dużo się poprawił, a pani Harrison jest naprawdę kochaną osobą. Następnie muszą być oczywiście panna Lawenda i Jaś.

— Alboż zdecydowali się odwiedzić podczas lata naszą Wyspę? Słyszałam, że mają odbyć podróż po Europie.

— Zmieniłi swe plany z chwilą, kiedy się dowiedzieli o moim małżeństwie. Dziś właśnie otrzymałam list od Jasia. Pisze mi, że musi być na moim ślubie bez względu na to, co się stanie z Europą.

— Ten dzieciak zawsze cię ubóstwiał — zauważyła pani Małgorzata.

— Ten dzieciak jest obecnie dziewiętnastoletnim mężczyzną, droga pani Linde.

— Boże, jakże ten czas leci! — ogromnie przenikliwie i oryginalnie odpowiedziała pani Małgorzata.

— Karolina Czwartha ma przyjechać razem z nimi. Kazała mi powiedzieć przez Jasia, że przyjedzie, jeżeli ją tylko mąż puści. Jestem ciekawa, czy ona wciąż jeszcze nosi te olbrzymie niebieskie kołardy i czy mąż nazywa ją Karoliną, czy Eleonorą. Strasznie bym chciała widzieć Karolinę na moim ślubie. Już dawno, jakśmy były na ślubie panny Lawendy. Wszyscy oni spodziewają się znaleźć w Chatce Ech w przyszłym tygodniu. Następnie będzie Iza i czcigodny Jo.

— Brzmi to okropnie, kiedy wyrażasz się w ten sposób o służce bożym — surowo zauważyła pani Małgorzata.

— Ależ jego żona tak go nazywa.

— Powinna mieć więcej szacunku dla jego świątobliwego urzędu — odpowiedziała pani Linde.

— Ach, słyszałam, jak pani dość ostro krytykowała pastorów! — drwiąco zawołała Ania.

— Tak, lecz ja to robię z należytym szacunkiem — gorąco zaprzeczyła pani Linde. — I nigdy nie słyszałaś, bym kiedykolwiek pozwalała sobie nadawać pastorom jakieś przezwiska.

Ania stłumiła śmiech.

— Następnie będzie Diana i Fred, i mały Fred, i mała Ania—Kordelia, i Janka Andrews. Chciałabym bardzo, by i panna Stacy była obecna, i ciotka Jakubina, i Priscilla, i Stella. Tymczasem Stella jest w Vancouver, Priscilla — w Japonii, panna Stacy wyszła za mąż i jest obecnie w Kalifornii, a ciotka Jakubina wyjechała do Indii, mimo swej obawy przed zmijami, aby tam zbadać pole działalności jej córki. Doprawdy to straszna rzecz, jak się ludzie rozbiegają po całym świecie.

— Nigdy to nie leżało w zamiarach boskich — powiedziała z całą stanowczością pani Małgorzata. — Za moich młodych lat ludzie rośli, żenili się i osiadali gdzieś niedaleko. Dzięki Bogu ty, Aniu, trzymasz się tego miejsca, gdzieśmy się urodzili, a w każdym razie naszej Wyspy. Byłam niespokojna, że Gilbert zechce po skończeniu uniwersytetu pędzić na koniec świata i ciebie ze sobą zabrać.

— Gdyby każdy chciał zostać całe życie tam, gdzie się urodził, prędko nie starczyłoby miejsca, pani Linde.

— Ach, nie chcę się z tobą spierać, Aniu. Ja nie należę do K.M.A. O której godzinie ma się odbyć ceremonia ślubna?

— Z całą punktualnością o dwunastej w południe, jak powiadają sprawozdawcy świata. Da nam to możność złapać wieczorem pociąg do Glen St. Mary.

— A czy ślub odbędzie się w salonie?

— Nie. Tylko w razie niepogody. Chcemy brać ślub w ogrodzie, pod błękitem niebios, otoczeni jasnymi promieniami słońca. Wie pani, kiedy i gdzie chciałabym brać ślub, gdybym tylko mogła? W czerwcowy poranek przy cudownym wschodzie słońca, wśród kwitnących róż, spotkałabym Gilberta i razem poszlibyśmy aż do wnętrza bukowego lasu i tam pobralibyśmy się pod zielonym baldachimem drzew jak w jakiejś przepięknej katedrze.

Maryla spojrziała z wyrzutem, a pani Linde była wprost oburzona.

— Wiesz, Aniu, byłby to bardzo niezwykły ślub. Nie wiem nawet, czy byłby zupełnie legalny, a co by na to wszystko powiedziała pani Harmon Andrews?

— Otóż w tym całe nieszczęście — westchnęła Ania. — Tylu rzeczy w życiu nie możemy zrobić po prostu ze strachu przed tym, co powie pani Harmon Andrews. Prawdziwe to, niestety, i szkoda, że prawdziwe. Ile pięknych rzeczy można by dokonać, gdyby nie pani Andrews!

— Czasami, Aniu, nie jestem pewna, czy cię zupełnie dobrze rozumiem — poskarżyła się pani Linde.

— Wiesz przecież, że Ania zawsze była romantyczna — usprawiedliwiła ją Maryla.

— No, spodziewam się, że ją małżeństwo wyleczy z tej choroby — odpowiedziała, pocieszając się, pani Linde.

Ania z uśmiechem wymknęła się z pokoju i pobiegła w Aleję Zakochanych, gdzie już czekał na nią Gilbert; i żadne z nich nie miało obawy ani też nadziei, że małżeństwo wyleczy ich z romantyzmu.



Znajomi z Chatki Ech przybyli następnego tygodnia i napelnili Zielone Wzgórze szczerą radością. Panna Lawenda tak mało się zmieniła, jak gdyby trzy lata, odkąd ostatni raz była na Zielonym Wzgórzu, były tylko krótkim snem, ale wprost zdumiona była Ania widokiem Jasia. Czy to możliwe, by ten mężczyzna, wysoki na sześć stóp, miał być tym małym Jasiem ze szkolnych czasów?

— Wiesz, Jasiu, czuję się przy tobie zupełnie stara — powiedziała Ania. — Bój się Boga, przecież ja muszę wysoko zadzierać głowę, aby cię zobaczyć!

— Moja Nauczycielko, ty nigdy nie będziesz stara. Należysz do tych szczęśliwych osobników, którzy pili ze źródła młodości. Ty i mama Lawenda. I słuchaj, nawet jak wyjdiesz za mąż, ja cię nie będę nazywał panią Blythe. Dla mnie zawsze będziesz Nauczycielką — i to nauczycielką najmiłszych lekcji, jakie kiedykolwiek miałam. A teraz muszę ci coś pokazać.

To „coś” była to książeczka zapisana wierszami. Jaś swe piękne marzenia ubrał w formę poezji, a wydawcy książek pokazali, że nie są znów tak bardzo niedostępni, jak się o nich mówi. Ania z prawdziwą rozkoszą czytała wiersze Jasia. Pełne były wdzięku i obietnic na przyszłość.

— Ty będziesz jeszcze sławny, Jasiu! Zawsze o tym marzyłam, by mieć chociaż jednego sławnego ucznia. Miał to być rektor uniwersytetu, ale teraz widzę, że poeta — to będzie jeszcze lepiej. Któregoś dnia będę się mogła pochwalić, że dałam rózgą wybitnemu pocie Janowi Irving. Choć zdaje mi się, że ja cię w ogóle nigdy nie uderzyłam, prawda? Cóż za stracona okazja! Ale za to kazałam ci stać w kącie.

— Ty sama staniesz się jeszcze sławną, Nauczycielko. W ciągu ostatnich trzech lat widziałem dużo twych prac.

— Nie. Ja wiem dokładnie, co potrafisz. Umiejętnie piszę małe i wdzięczne historyjki, które podobają się dzieciom i za które nakładcy przysyłają miłe widziane czeki. Ale nie umiem dokonać czegoś wielkiego. Wszystkie moje widoki na nieśmiertelność — to kącik w twych pamiętnikach!

Karolina Czwartha zarzuciła wprawdzie niebieskie kokardy, natomiast jej piegi pozostały prawie tak widoczne jak dawniej.

— Nigdy nie przy puszczałam, że będę na weselu Jankeś, laskawa panno Shirley — powiedziała. — Ale człowiek nie wie nigdy, co go spotka, a zresztą to nie jego wina. Urodził się już taki.

— Sama jesteś Jankeś, Karolino, boś za takiego wyszła za mąż.

— Laskawa panno Shirley, nie jestem i nie będę, choćbym poślubiła tuzin Jankeśów! Tom jest przecież wcale miłym człowiekiem. A zresztą, jak wychodziłam za mąż, powiedziałam sobie, że nie powinnam być zbyt nieprzystępna, bo druga sposobność niełatwo mogłaby się nadarzyć. Tomasz nie pije i nie kłóci się, bo musi dużo pracować, a ja uważam, że jak człowiek wszystko robi, co do niego należy, to wszystko jest w porządku, proszę pani.

— Czy on cię nazywa Eleonorą? — spytała Ania.

— Ależ na miły Bóg, nie, laskawa panno Shirley. Nie wiedziałabym nawet, kogo ma na myśli, gdyby na mnie tak wołał. To prawda, że podczas ślubu musiał powiedzieć: „Biorę cię, Eleonoro”, ale zapewniam panią, panno Shirley, że od tej chwili zawsze miałam takie obrzydliwe wrażenie, że on nie do mnie to mówił i że ja wcale nie wyszłam należycie za mąż. No, a teraz pani także wychodzi za mąż, panno Shirley. Zawsze myślałam, jakby to było dobrze wyjść za mąż za doktora. Byłby pod ręką, gdyby które z dzieci zachorowało na odrę albo na anginę. Tom jest tylko murarzem, ale to jest naprawdę bardzo łagodny człowiek. Jak do niego powiedziałam: „Tomaszu, czy mogę pojechać na wesele panny Shirley? Bo musisz wiedzieć, że pojedę, czy chcesz, czy nie chcesz, ale wołałabym to zrobić z twoim pozwoleniem”, to mi odpowiedział: „Zrób tak, żeby tobie było dobrze, Karolinko, to i mnie będzie dobrze”. Prawda, panno Shirley, że przyjemnie mieć takiego męża?

Iza i czcigodny Jo przybyli na Zielone Wzgórze w przeddzień ślubu. Ania i Iza padły sobie w objęcia, a potem usiadły do cichej pogawędki o tym wszystkim, co było i miało jeszcze nastąpić.

— Aniu, Królowo, jesteś tak królowa jak zawsze. Ja strasznie schudłam od czasu wydania na świat dzieci. Nawet w polowie nie wyglądam tak ładnie jak przedtem, ale zdaje mi się, że z tym jeszcze więcej podobam się memu Jo. Nie ma, widzisz, między nami tak wielkiej różnicy. Ach, i muszę ci powiedzieć, że doskonale robisz wychodząc za mąż za Gilberta. Robert Gardner byłby wcale nie na miejscu. Teraz rozumiem to doskonale, chociaż początkowo byłam strasznie rozczarowana, że ty się bardzo źle obeszłaś z tym Robertem.

— Słyszę jednak, że przyszedł do siebie — zaśmiała się Ania.

— Ach, tak! Ożenił się, a jego żona jest przemilą, słodką osobłą i oboje są bardzo szczęśliwi. Wszystko się dobrze układa, jak mówi Jo i Święta Biblia, a są to dwie bardzo wielkie powagi.

— Czy Alek i Alonzo już się pożenili?

— Alek tak, ale Alonzo jeszcze nie. Boże, jak mi się przy pominają te stare, dobre czasy, kiedy z tobą rozmawiam, Aniu! Ile też myśmy zawsze miały uciechy!

— Czy byłaś w ostatnich czasach w Ustroniu Patty?

— Ależ tak Często tam chodzę. Panna Patty i panna Maria stale siedzą przy kominku z robótką w ręką, co mi przypomina zresztą, że przywiozłam od nich ślubny upominek dla ciebie. Zgadnij, co to jest?

— Absolutnie nie wiem. Jak one się dowiedziały, że wychodzę za mąż?

— Sama im o tym powiedziałam. Byłam u nich w ostatnim tygodniu. I takie były przejęte twoim małżeństwem. Dwa dni temu panna Patty prosiła mnie listownie, abym do nich wpadła, a potem poprosiły, bym dla ciebie zabrała prezent od nich. Czego byś sobie zyczyła najwięcej z Ustronia Patty?

— Chyba nie sądzisz, że panna Patty przysłała mi swe chińskie pieski?

— Wstań i chodź! Są w tej chwili w moim kufrze! Mam dla ciebie także list. Czekał chwilę, zaraz ci go dam.

*Kochana Panno Shirley! — pisała panna Patty. — Maria i ja usłyszałyśmy z wielkim zaciekawieniem o zbliżającej się uroczystości ślubnej Pani. Przesyłamy Pani nasze najlepsze życzenia. Wprawdzie ja i Maria nie wyszłyśmy dotychczas za mąż, ale nie mamy nic przeciwko temu, by inni to robili. Posyłamy Pani chińskie pieski. Właściwie miałam zamiar zapisać je Pani w testamentie, albowiem zdawało mi się, że Pani się do nich szczerze przywiązała.*

*Ponieważ jednak obie mamy nadzieję żyć jeszcze dość długo, postanowiłam ofiarować Pani te pieski teraz, kiedy Pani jest jeszcze młoda. Niech Pani nie zapomina, że Gog patrzy na prawo —, a Magog na lewo.*

— Wyobraź sobie te miłe, stare pieski, leżące przy kominku w moim wymarzonej domu! — zawołała z uciechą Ania. — Nie spodziewałam się tak pięknego upominku!

Tego wieczora Zielone Wzgórze rozbrzmiewało przygotowaniami do uroczystości następnego dnia. O zmroku Ania wymknęła się jednak z domu. Czekała ją w ten ostatni dzień jej wieczór mała pielgrzymka, którą musiały odbyć

sama jedna. Pobieгла na mogilkę Mateusza, na mały, zacieniony topolami cmentarz, i tam odbyła cichą schadzke ze starymi wspomnieniami i niegasnącymi uczuciami.

— Jak bylbę szczęśliwy Mateusz, gdyby dożył jutrzejszego dnia! — szepnęła. — Wierzę jednak, że on wie o wszystkim i jest szczęśliwy z tego powodu w lepszym świecie. Czytałam gdzieś, że nasi zmarli umierają naprawdę dopiero wówczas, gdy o nich zapominamy. Ale Mateusz nigdy dla mnie nie umrze, bo ja też nigdy o nim nie zapomnę!

Złożyła na grobie przyniesione kwiaty i poszła z wolna w dół pagórka. Był przepiękny wieczór. Na zachodzie długie pasy zielonego nieba wyglądały spoza purpurowych i pomarańczowych chmur, przepych morza rozpalonego promieniami zachodzącego słońca i nieustający szum fal uderzających o brzeg przypominał o potędze i pięknie natury. Dokoła Ani rozciągały się spowite cudowną, wiejską ciszą pagórki, pola i lasy tak znane jej od dawna i tak przez nią ukochane.

— Historia się powtarza — powiedział Gilbert podchodząc do niej w chwili, kiedy znalazła się u furtki Blytheów. — Pamiętasz, kiedyśmy to po raz pierwszy szli w dół tego pagórka i kierowali pierwsze nasze wspólne kroki do domu?

— Ja wracałam od grobu Mateusza, a tyś wyszedł przed furtkę; wówczas przemogłam całą dumę i przemówiłam do ciebie pierwsza.

— A przede mną otwarły się niebiosa! — dokończył Gilbert. — Od tej chwili weselej patrzyłem w przyszłość. Kiedy pożegnawszy się z tobą, wracałem do domu, byłem najszczęśliwszym chłopakiem pod słońcem. Ania mi przebaczyła!

— Zdaje mi się, żeś to ty miał najwięcej do przebaczenia. Ja byłam nieznośnym, upartym stworzeniem, i to nawet w ów dzień, kiedyś ty mi życie uratował nad stawem. Wówczas nie mogłam znieść tej myśli, że tyle ci jestem winna. Wcale nie zasługuję na to szczęście, które mnie spotkało.

Gilbert zaśmiał się i silnie uściśnął dziewczęcą rękę, na której połykiwał jego pierścionek. Obrączka z pereł stanowiła pierścień zaręczyny Ani. Nie chciała nosić brylantów.

— Przestałam lubić brylanty, kiedy się przekonałam, że nie są tak pięknie purpurowe, jak sobie wymarzyłam. Zawsze by mi przypominały moje rozczarowanie.

— Ale perły oznaczają łzy — mówi stara legenda — zaoponował Gilbert.

— Wcale się tego nie obawiam. A łzy mogą być zarówno szczęśliwe, jak i smutne. W najszczęśliwszych chwilach mego życia miałam łzy w oczach. Było to wówczas, kiedy Maryla powiedziała mi, że mogę zostać na Zielonym Wzgórzu, kiedy Mateusz sprawił mi pierwszą, piękną sukienkę i kiedy dowiedziałam się, żeś przezwyciężył gorączkę i znajdujesz się na drodze do wyzdrowienia. Niech więc perły pozostaną na naszej zaręczynowej obrączce, a chętnie przyjmę na siebie wszystkie troski życia i wszystkie jego radości.

Ale w tę noc kochankowie myśleli tylko o radościach życia, a nie o jego smutkach. Nazajutrz bowiem miał być dzień ich ślubu, a wymarzony domek czekał na nich nad mglistym, purpurowym brzegiem Przystani Czterech Wiatrów.



# IV. Pierwsza panna młoda na Zielonym Wzgórzu

Ranitko, w dzień ślubu, przywitało Anię słońce zagładające do malej facjatki i wrześnieowy wiaterek igrający z firankami.

„Taka jestem szczęśliwa, że słońce dziś świeci” — myślała z rozkoszą.

Przypomniała sobie pierwszy poranek na malej facjatce, kiedy to zbudzoną dziewczynkę ucałowały promienie słońca wpadające do pokoiku napełnionego zapachem kwiatów, pochodzącym od starej jak świat Królowej Śniegu. Nie było to wówczas wesołe przebudzenie, przynosiło bowiem ze sobą gorzkie rozczarowanie poprzedniego wieczoru. Ale od tego czasu mały pokoiik stał się umiłowany i uświęcony latami szczęśliwych marzeń dziecięcych i dziewczęcych snów. Do niego wracała uradowana po każdej nieobecności; tam, u okna, kłęzczała noc całą, myśląc z rozpaczą, że Gilbert może umrzeć; tam też spędziła w cichym szczęściu noc po swych zaręczynach. Dużo nocy szczęśliwych, a trochę i smutnych przeżyła na facjatce czuwając; aż dziś przyszła chwila, kiedy będzie musiała rozstać się z małą izdeblką na zawsze. Od dziś nie będzie już do niej należała — w spadku obejmie ją piętnastoletnia Tola. Ania niczego innego sobie nie życzyła; mały pokoiik poświęcony był młodości i dziewczęcym marzeniom; należał do przeszłości zamykającej się przed nowym rozdziałem, którego treścią miało być życie kobiety.

Zielone Wzgórze rozbrzmiewało weselem w ten poranek Diana zjawiała się wcześniej z małym Fredem i z małą Anią–Kordelią i zabrała się natychmiast do pomocy. Tadzio i Tola — para bliźniąt z Zielonego Wzgórza — zaopiekowały się dziećmi, zabierając je do ogrodu.

— Uważajcie, żeby Ania–Kordelia nie powalala sobie sukienki — przestrzegala Diana.

— Nie bój się o nią, kiedy jest Tola. To dziecko jest bardziej uważające aniżeli sporo matek, które znalazł — rzekła Maryla. — Czasami jest wprost niezwykła. Niepodobna do tej szalawity, którą wychowałam.

Maryla, przyrządzając sałatkę z kurecząt, uśmiechnęła się do Ani. Można było podejrzewać, że ta szalawiła była jej najbardziej droga.

— Te dzieciaki są naprawdę bardzo miłe — zauważyła pani Małgorzata, kiedy nabrała pewności, że jej już nie usłyszą. — Tola ma w sobie dużo kobiecości i potrafi być taka pomocna, a Tadzio wyrabia się na bardzo porządnego chłopaka. I nie potrzeba być w ciągłym strachu, że coś nowego zbroi.

— Nigdy nie byłam tak zdenerwowana jak przez pierwsze sześć miesięcy jego pobytu tutaj — przyznała Maryla. — Później już się przyzwyczaiłam do niego. Bardzo się zainteresował gospodarstwem w ostatnich czasach i prosi mnie, bym mu pozwoliła w następnym roku prowadzić folwark. Prawdopodobnie zrobię to, bo pan Barry nie ma zamiaru dużej dzierżawić go l wobec tego trzeba będzie całą sprawę na nowo ułożyć.

— Piękny masz dzień na swoje wesele — powiedziała Diana naciągając szeroki fartuch na jedwabną sukienkę. — Lepszego nie mogłabyś zamówić nawet u Eatona.

— Doprawdy, za dużo pieniędzy ucieka z Wyspy do tego Eatona — zauważyła z oburzeniem pani Linde. Miała swoje wyrobione zdanie o wielkich magazynach, które w jej pojęciu jak potworne osmiornice wyciągały swe maczki, i nigdy nie traciła sposobności, by wypowiedzieć się na ten temat. — A już co się tyczy ich katalogów, to stały się prawdziwą Biblią dla dziewcząt z Avonlea. Zagłębiają się w nie w niedzielę i studiują pilniej aniżeli Pismo święte.

— Ależ one wspaniale nadają się do zabawy dla dzieci — rzekła Diana. — Fred i mała Ania mogą je całymi godzinami przeglądać.

— Ja potrafiłam zabawić sześcioro dzieci bez pomocy katalogu Eatona — surowym tonem powiedziała pani Małgorzata.

— Przestańcie, nie kłóćcie się z powodu katalogu! — zawołała wesoło Ania. — Dziś jest mój wielki dzień. Jestem taka szczęśliwa i chcę, aby wszyscy byli także szczęśliwi.

— Wierzę, że szczęście twoje będzie trwałe — z westchnieniem rzekła pani Małgorzata. Była szczerze przekonana, że inaczej nie może być, nie chciała jednak zbyt głośno o tym mówić z obawy, by nie było to do pewnego stopnia wyzwaniem Opatrzności. Z tego też powodu uważała, że zbytnią radość Ani powinna być dla jej własnego dobra nieco przytłumiona. Pomimo tych przytłumień Ania, szczęśliwa i piękna panna młoda, w to cudowne wrześnieowe południe schodziła po starych, usłanych własnej roboty chodnikiem, schodach. Pierwsza panna młoda na Zielonym Wzgórzu, szczipła, o jasnych oczach, osłonięta ślubnym welonem, z pękiem róż w ręku. Gilbert, oczekujący w sali na dole, spojrzal na nią zachwyconymi oczyma. W końcu należała do niego na zawsze, ta wymykająca się, dawno poszukiwana Ania, pozyskana wreszcie po latach cierpliwego czekania. Do niego schodziła w słodkim wahanii panny młodej. Czy też był jej wart? Czy będzie w stanie dać jej to szczęście, o którym marzy!? A gdyby ją zawiódł, gdyby nie okazał się takim, jakim ona go sobie wyobrażała?... Wtem Ania wyciągnęła doń ręce, oczy ich się spotkały, cała niepewność znikła i po chwili zamieniła się w szczęśliwą ufnosć. Oboje należeli do siebie i nic nie mogło zmienić tego faktu, cokolwiek życie mogło im jeszcze przynieść. Każde z nich trzymało szczęście drugiego w swych rękach i oboje bez obawy spoglądali w przyszłość.

Pobrali się w ogrodzie zalanym promieniami słońca, otoczeni kochającymi twarzami starych przyjaciół; ślub im dawał pan Allan, a czcigodny Jo odmówił — jak później oznajmiła pani Linde — najpiękniejszą modlitwę ślubną, jaką kiedykolwiek slyszala. We wrześnieu nieczęsto slyszy się śpiew ptaków, jednak podczas uroczystości zaślubin, kiedy Ania i Gilbert powtarzali święte słowa przy sięgi, śpiewała im słodką pieśń ukryta wśród gałęzi mała ptaszyna. Slyszala ten śpiew w upojeniu Ania, slyszal i Gilbert i zdziwil się tylko, że wszystkie ptaszki ze świata całego nie zebrały się w ogrodzie, aby zanucić pieśń weselną — slyszal śpiew ten i Jaś i napisał cudny poemat uznany za najpiękniejszy w pierwszym tomiku jego poezji; slyszala ptaszka i Karolina Czwarła, która potem z błogim przeświadczeniem twierdziła, że oznacza to szczęście dla ubóstwianej panny Shirley. Ptaszyna śpiewała podczas całej uroczystości i zakończyła pieśń swą jednym głośnym i słodkim trelem. Stary, szarzielonego koloru dom, otoczony ze wszech stron ogrodem, nie przeżył nigdy weselszego i szczęśliwszego dnia. Wszystkie zarciki i przycinki, znane jeszcze za czasów Adama i Ewy, i tym razem były powtórzone, a mimo to wydawały się tak nowe, świetne i dowcipne, jakby po raz pierwszy były opowiadane. Panowały śmiech i radość, a kiedy Ania i Gilbert żegnali się z całym towarzystwem, by zdążyć na pociąg do Carmody, już na nich czekała para bliźniąt z przygotowanymi ryżem i starym obuwiem, przy czym gorący udział w ich rzucaniu za odjeżdżającymi wzięli Karolina Czwarła i pan Harrison. Maryla stała w bramie długo i patrzyła za bryczką oddalającą się w dół drogi ciągnącej się między dwoma rzędami złocistych kwiatów. Na zakręcie Ania raz jeszcze obejrzała się i ręką przesłała ostatnie pozdrowienie. Odeszła i Zielone Wzgórze przestało być jej domem; ze smutną, postarzałą twarzą wracała Maryla do osieroconego mieszkania, które Ania, nawet podczas swej nieobecności, napełniała przez czternaście lat światłem i życiem.

Lecz Diana ze swymi maleństwami, mieszkańcy Chatki Ech i państwo Allan pozostali, by dwóm starym damom dotrzymać towarzystwa i pomóc im znieść przykre chwile samotności tego pierwszego wieczoru. Udało im się też przy małym obiedzie spędzić czas na milej pogawędce o przejściach i wypadkach dnia.

W tym samym czasie, kiedy na Zielonym Wzgórzu gawędzono przy stole, Ania i Gilbert wysiadali na stacji w Glen St. Mary.



# V. Przyjazd do domu

Doktor Blythe wysłał na stację swą bryczką z koniem, a mały urwis, który po nich pojechał, ulotnił się, wyszczerzając wesoło zęby, i pozostawił im całą rozkosz powrotu sam na sam do domu w cudowny ten wieczór.

Nigdy później w życiu Ania nie zapomniała wspaniałego widoku, jaki przedstawił się jej oczom, kiedy minęli wioskę i wyjechali na pagórek; domku ich jeszcze nie było widać; przed nią jednak leżał w całej wspaniałości Port Czterech Wiatrów podobny do połyskującego srebrną i różową barwą zwierciadła.

Daleko, daleko widniało wejście do zatoki, ściśnięte z jednej strony wąskim pasmem wydm piaszczystych, a z drugiej — wysoką skałą z czerwonego piaskowca. Poza wydmą drzemało gładkie, groźne morze. Mała wioska rybacka, usadowiona w zatoce, w miejscu gdzie pasmo piasku schodziło się z wybrzeżem, wyglądała we mgle jak piękny, duży opał. Niebo nad tym wszystkim zdawało się być czarą usianą drogimi kamieniami, z której wylewały się na ziemię cienie nocy; powietrze przesycone było jędrnym zapachem morza, a cały krajobraz zlewał się w jedną, wielką symfonię wieczornych półcieni.

Wzdłuż zarośniętych jodłą brzegów portu przesuwano się kilka żaglówek. Z wieży małego, białego kościółka, na drugim brzegu portu, dźwięczał głos dzwonu; miękko i słodko płynął głos ten przez zatokę, mieszając się z szumem fal. Wielkie, jaśniejące i gasnące na przemian światło na skałe wysuniętego cypla migotało na czystym, północnym niebie ciepłymi, złocistymi promieniami i jak drżąca gwiazda dobrej nadziei. Daleko na horyzoncie widniała szara, pomarszczona wstęga dymu, wyrzucana z kominą przepływającego parowca.

— Jak cudownie, ach, jak cudownie! — wyszeptła Ania. — Będę bardzo kochała Cztery Wiatry. Lecz gdzie nasz dom, Gilbertcie?

— Nie możemy go stąd zobaczyć. Jest ukryty za tym pierścieniem buków, biegnących od małej zatoki. Od Glen St. Mary jest oddalony o dwie mile, a do latarni jest potem jeszcze parę mil. Nie będziemy mieli dużo sąsiadów, Aniu. Jeden jedyny dom znajduje się w pobliżu i nawet nie wiem, kto tam mieszka. Czy będziesz się czuła bardzo samotna, jakja będę poza domem?

— Ach, mając to światelko i to uroczę otoczenie dookoła siebie, nie będę tęskniła za towarzystwem. Lecz kto tam mieszka w tym domu, Gilbertcie?

— Nie wiem. Nie wygląda poza tym, jakgdyby jego mieszkańcy należeli do pokrewnych nam dusz, prawda, Aniu?

Była to duża, solidna budowla, pomalowana na takkrzyczący zielony kolor, że cały krajobraz zdawał się blednąć przy nim. Za domem ciągnął się ogród, z frontu widniał dobrze utrzymany trawnik mimo wszystko jednak całość sprawiała wrażenie czegoś smutnego i opuszczonego. Może to wrażenie wywołane było panującym tam porządkiem i czystością. Wszystko bowiem: domy, stodoły, ogród, sad, trawnik i droga, było niezwykle czyste i właśnie dlatego takie surowe.

— Nie wygląda mi na to, by ktoś mający taki gust w doborze kolorów mógł należeć do pokrewnych nam dusz — przytaknęła Ania — chyba że byłaby to taka sama omyłka jak z naszym niebieskim domem K.M.A. Jestem pewna, że nie ma tam dzieci. Dom ten wygląda nawet czystziej niż willa Koppów przy drodze. Przyznam ci się, że nie spodziewałam się widzieć kiedykolwiek czegoś bardziej porządnie utrzymanego.

Na wilgotnej, czerwonej drodze, wijącej się wzdłuż brzegu, nie widać było żywej duszy. Ale w chwili kiedy dojeżdżali do drzew bukowych, za którymi skrywał się ich domek, Ania ujrzała dziewczynę, która po grzbiecie pagórka, leżącego z prawej strony, pędziła stado śnieżnobiałych gęsi; między ich pniami widniały pola złocistych zbóż, poprzerywane pasmami żółtych piasków, oraz migotały w oddali plamy niebieskiego morza. Dziewczyna była rosla i miała na sobie sukienkę z niebieskiego perkalu. Szła wyprostowana, sprężystym, pewnym krokiem. W chwili kiedy Ania i Gilbert przejeżdżali, wypędzała gęsi z bramy u stóp pagórka. Na ich widok zatrzymała się i oparłszy rękę na zasuwie bramy, spojrziała na przejeżdżających wzrokiem, w którym nie było ani zbyt dużo uwagi, ani ciekawości. Ani przywidziało się nawet, że na jedną chwilkę zablęsnął w oczach dziewczyny jakby cień wrogości. Ale co ją uderzyło najwięcej i wywołało na ustach przytłumiony okrzyk zdumienia, to piękność dziewczyny tak niezwykła, że musiała zwrócić uwagę każdego, kto ją zobaczył. Była bez kapelusza, a sploty jej połyskujących włosów koloni dojrzałej pszenicy okalały na kształt korony jej cudowną głowę. Oczy głębokie, podobne do dwóch gwiazd, były błękatne jakniebo; miłąką linią rysowała się pod perkalikową sukienką smułka jej postać, usta zaś były takie karminowe jak maki przypięte u jej pasa.

— Gilbertcie, kto jest ta dziewczyna, którą minęliśmy w tej chwili? — zapytała Ania cichym głosem.

— Nie zauważyłem żadnej dziewczyny — odrzekł Gilbert, który nie miał oczu dla nikogo poza swą żoną.

— Stała przy tej bramie — ależ nie, nie oglądaj się, ona wciąż za nami patrzy. W życiu nie widziałam takcudnej twarzy.

— Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek podczas mego pobytu tutaj widział jaką ładną twarz. Jest kilka przystojnych dziewcząt w Glen St. Mary, ale nie powiedziałbym, aby je można było nazwać pięknymi.

— Ta dziewczyna z pewnością jest piękna. Musiałeś jej nie widzieć, w przeciwnym razie nie uszłaby twej uwagi. Nikt nie byłby w stanie jej zapomnieć. Nigdy nie widziałam takiej twarzy, chyba na obrazkach. A jej włosy! Przypomniały mi Browninga „Złotą lilię” i „Śniącego węża”.

— Może być, że jest tylko gościem Czterech Wiatrów — przyszła prawdopodobnie z tego wielkiego, letniego hotelu w porcie.

— Miała na sobie fartuszek i pędziła gęsi.

— Mogła to zrobić dla zabawy. Patrz, Aniu, oto nasz domek

Ania spojrziała i na chwilę zapomniała o nieznamomej i jej zawistnych oczach. Z rozkoszą patrzyła po raz pierwszy na swój domek, tak wydał jej się podobny do wielkiej, kremowej muszli, którą morze wyrzuciło na brzeg. Szeregi wysokich włoskich topól, rosnących wzdłuż prowadzącej doń drogi, odcinały się na niebie wysokimi, purpurowymi kolumnami. Dalej, chroniąc ogród przed zbyt ostrym podmuchem morza, rósł lasek jodłowy, w którym wichry mogły urządzać swe dzikie i ponure harce. Jak wszystkie lasy, zdawał się ukrywać w swych załkatch tajemnice, których głębie mógł zbadać tylko ten, kto wszedł do jego wnętrza i cierpliwie je obserwował. Na zewnątrz bowiem ciemnozielone ramiona chroniły je przed ciekawymi, obojętnymi i oczyma.

Ania i Gilbert jechali topolową aleją. Wichry nocne rozpoczęły swój zwykły tan wśród wydm, a rybacka wioska po drugiej stronie portu zdawała się być usiana drogimi kamieniami. Drzwi małego domku otworzyły się i ciepłe światło kominika wypięzło im na spotkanie. Gilbert pomógł Ani wysiąść z bryczki i przez furtkę, zawieszoną między rudawymi pniami jodeł, poprowadził czerwona ścieżką ogrodu aż do kamiennego stopnia.

— Witaj w domu — szepnęła i ramię przy ramieniu przestąpili oboje próg domku swych marzeń.





# VI. Kapitan Jim

Stary doktor Tomasz i pani doktorowa przybyli do małego domku, by powitać młodą parę. Doktor był wysokim, wesolym, starszym panem o białych bokobrodach, a pani doktorowa miłą, o różowych policzkach damą, która od pierwszego wejrzenia odniosła się do Ani z całą serdecznością.

— Taka jestem rada, kochanie, że cię widzę. Musiałaś się bardzo zmęczyć. Obiad już przygotowany, a kapitan Jim przyniósł wam nawet kilka pstrągów. Kapitanie, gdzie pan jest? Ach, zdaje mi się, że już się wymknął, aby zajrzeć do konia. Chodź, dziecko, na górę przebrać się.

Ania, idąc po schodach z doktorową do swego pokoiku, przyglądała się całemu otoczeniu rozradowanymi i pełnymi uznania oczyma. Urządzenie jej nowego domku, w którym, zdawał się panować duch Zielonego Wzgórza, przy padło jej bardzo do serca.

— Zdaje mi się, że w pannie Elżbiecie Russel znalazłabym pokrewną duszę — szepnęła do siebie, kiedy została sama. Pokój ten miał duże okna szczytowe, które wychodziły na latarnię Czterech Wiatrów.

— „Czarodziejskie okno w dalekiej krainie duchów” — zadeklamowała cicho Ania, spoglądając na spienione fale zagniewanego morza.

Z drugiego okna widziało się dolinę, zasłaną złościymi i polami, środkiem której płynął mały strumyk. Idąc w górę strumyka, w oddaleniu pół mili, widniał jedyny dom, jaki znajdował się w pobliżu — stara, szara i szeroka budowla, której okna spoza wysokich wierzb patrzyły w ciemną dal, na kształt lęklwych, pytających oczu. Ania zastanawiała się, kto mógł zamieszkiwać ten dom. Mieszkańcy jego byli jej najbliższymi sąsiadami i spodziewała się, że będą miłi. Nagle przy pomniała sobie dziewczynę z gąskami, którą spotkała niedawno po drodze.

„Gilbert był zdania, że ona nie stąd pochodzi — rozmyślała Ania — ja jednak jestem pewna, że należy do tych stron. Było w niej coś, co stanowiło cząstkę i morza, i nieba, i zatoki. Cztery Wiatry leżą u niej we krwi”.

Kiedy Ania pokazała się na dole, Gilbert właśnie zajęty był koło kominka rozmową z obcym jakimś panem. Obaj zwrócili, się w stronę wchodzącej Ani.

— Aniu, to jest kapitan Boyd. Panie kapitanie, oto moja żona.

Po raz pierwszy Gilbert nazwał Anię przed obcym człowiekiem „moją żoną” i omal z tego powodu duma go nie rozsadziła.

Stary kapitan wyciągnął żylastą rękę. Oboje uśmiechnęli się do siebie i od tej chwili pozostali przyjaciółmi. Pokrewne dusze spotkały się.

— Jestem rad, że panią poznałem, i spodziewam się, że pani będzie tak szczęśliwa jak pierwsza panna młoda, która tu mieszkała. Niczego lepszego nie mogę pani życzyć. Ale pani mąż nie przedstawił mnie należycie. Nazywam się kapitan Jim i proszę, aby mnie pani również taktylko nazywała. Pani jest doprawdy bardzo miłą, małą kobietką. Gdy patrzę na panią, czuje się, jakbym sam był kiedyś żonaty.

Wśród ogólnego śmiechu, jaki nastąpił po tych słowach, pani doktorowa poprosiła kapitana Jima, by został z nimi na obiedzie.

— Dziękuję bardzo serdecznie, to będzie dla mnie prawdziwą przyjemnością, pani doktorowo. Musi pani wiedzieć, że najczęściej spożywam obiad w towarzystwie mej własnej podobizny odbitej w wiszącym naprzeciw zwierciadle. Nieczęsto mam sposobność siedzieć przy stole z dwiema takurocznymi damami.

Komplementy kapitana Jima mogłyby wydawać się na papierze bardzo blade, gdyby nie to, że mówił je spokojnie, z uszanowaniem, w którym równocześnie przebijają tyle uprzejmości, że kobieta, dla której były przeznaczone, mogła je przyjąć z uczuciem prawdziwej dumy. Kapitan Jim był człowiekiem prostolinijnym, o szlachetnej duszy, z ogniem wiecznej młodości w oczach i sercu. Była to wysoka, dość niezgrabna, nieco pochylona postać, w której się jednak wy czuwało wielką siłę i wytrwałość.

Był gładko ogolony, o ostrej, od wiatru i słońca brązowej twarzy, z siwą czupryną spadającą prawie na ramiona i parą bardzo niebieskich, głęboko osadzonych oczu, czasami błyszczących, czasami rozmarzonych, patrzących chwilami w zadumie w stronę morza, jak gdyby szukał tam jakiejś drogiej zguby. Któregoś dnia Ania miała się dowiedzieć, czego wypatrywały oczy kapitana Jima.

Nie można było zaprzeczyć, że kapitan był brzydki człowiekiem. Jego zapadłe policzki, pomarszczone usta, kwadratowe czoło nie mogły służyć za wzór piękności. Musiał poza tym znieść w swym życiu dużo ciężkich trudów i dużo doznać cierpień, które ślady swe wyryły na ciele i na duszy, tyle jednak było szlachetności cechującej całą jego postać, iż Ania, stwierdziwszy przy pierwszym spotkaniu, że kapitan jest brzydki, nigdy już nie wracała do tej myśli.

Towarzystwo weselo gawędziło siedząc dookoła stołu. Na kominku trząskał ogień, a ciepłe jego płomienie wypędziły chłód wrześniowego wieczoru. Przez otwarte okna wpadał do pokoju słodki i delikatny powiew morza. Wspaniały widok rozpościerał się na cały port i szeregi rozciągających się dalej za nim purpurowych pagórków. Stół był zastawiony smakołykami, które przyniosła pani doktorowa, ale najwięcej zachwytu wzbudzał stanowczo duży półmisek pstrągów.

— Sądziałem, że będą państwu smakować po długiej podróży — powiedział kapitan. — Są tak świeże, jaktylko pstrągi mogą nimi być. Dwie godziny temu pływały sobie spokojnie w stawie w Glen.

— Kto dziś pilnuje światła, kapitanie? — zapytał doktor.

— Mój siostrzeniec Olek. Rozumie się na tym równie dobrze, jak ja. A teraz muszę wyznać, że jestem bardzo rad, że zaprosiliście mnie na obiad. Nie jadłem dziś dużo i byłem dość głodny.

— Mam wrażenie, że pan się najczęściej zagląda przy pilnowaniu tego światła — zauważyła surowo doktorowa. — Nie chce się panu po prostu zająć przyrządzeniem porządnego obiadu.

— Ależ wcale nie — zaprzeczył kapitan. — Zwykle żyję jak król. Wczoraj wieczorem kupiłem w Glen dwa funty mięsa i chciałem sobie przyrządzić dziś wspaniały obiad.

— I co się stało z mięsem? — zapytała doktorowa. — Czy je pan zgubił w drodze?

— Nie! — kapitan spojrział nieśmiały w wzrokiem. — Późno w noc zjawila się biedna, opuszczona psina i prosiła o nocleg. Przy puszczałem, że musi należeć do kogoś z rybaków na wybrzeżu. Nie mogłem odpędzić biedaka, miał przy tym skaleczoną nogę. Zamknąłem go w przedsionku, dałem mu stary worek, by miał na czym leżeć, i położyłem się spać. Ale jakoś nie mogłem zasnąć. Zacząłem nad tym rozmyślać i doszedłem do wniosku, że pies robił wrażenie bardzo wygodzonego stworzenia.

— I wobec tego wstał pan i oddał mu cały kawał mięsa — z wyrzutem, lekko triumfująco, zakończyła pani doktorowa.

— Przecież nie miałem nic innego, czym by go można było nakarmić — błagalnym tonem powiedział kapitan. — Jestem pewien, że pies był głodny, bo cały kawał mięsa starczył mu ledwie na dwa kęsy. Spałem wprawdzie potem dobrze, ale za to mój obiad wypadł w następstwie bardzo słabo — kartofle, i basta. Pies drapnął do domu dziś rano. Zapewne nie należał do jaroszy.

— No, wie pan, że to już trochę dziwny pomysł, aby głodzić się samemu z powodu jakiegoś bezwartościowego psa — oburzył się doktor.

— Skąd to można wiedzieć? A może on był bardzo drogi dla kogoś? — usprawiedliwiał się kapitan. — Nie wyglądał, jakby był dużo wart, ale psa nie można oceniać z jego wyglądu. Może był piękny od wewnątrz. Mój Maciuś nie bardzo był nim zbudowany i nawet w dość dosadnym miauczeniu wyraził swój pogląd — nie można jednak brać pod uwagę tego co o psie mówi kot. W każdym razie, ja straciłem mój obiad i jestem bardzo rad, że siedzę przy suto zastawionym stole w tak miłym towarzystwie. To ważna rzecz mieć dobrych sąsiadów.

— Kto mieszka w tym domku, pomiędzy wierzbami, przy drodze wiodącej w górę strumyka? — zapytała Ania.

— Pani Ryszardowa Moore — odrzekł kapitan i dodał po namyśle: — I jej mąż.

Ania uśmiechnęła się ze sposobu, w jaki kapitan sprawę przedstawił. Stworzyła sobie w myśli obraz pani Ryszardowej Moore. Ani chybi — druga pani Małgorzata Linde.

— Nie będzie pani miała zbyt wielu sąsiadów. Ta część portu jest słabo zaludniona — ciągnął kapitan Jim. — Większy obszar gruntu należy do pana Howarda, mieszkającego dalej jeszcze za Glen, a on wydzierżawia go na pastwiska. Natomiast druga strona portu jest gęsto zaludniona, a specjalnie dużo jest tam MacAllisterów. Cała ich kolonia tam się usadowiła. Gdzie się obrócić — zawsze na kogoś z nich trafisz. Ostatnimi dniami rozmawiałem o tym ze starym Leonem Blacquierem, z tym, co pracował całe lato w porcie. Mówił mi, że prawie wszyscy nazywają się tam MacAllister. Jest tam Fred MacAllister, Dawid MacAllister, Wilhelm MacAllister i Aleksander MacAllister, i bodaj myślę, że może być i diabeł MacAllister.

— Jest tam prawie tyłu Elliotów i Crawfordów — rzekł doktor, jak tylko śmiech przycichł. — Wiesz, Gilberte, my tu, po stronie Czterech Wiatrów, mamy starą przysłówkę: » Od zrozumiałości Elliotów, od dumy MacAllisterów i od samolubstwa Crawfordów zachowaj nas, Panie! ».

— Ale jest między nimi dużo porządných ludzi — wtrącił kapitan. — Przez długie lata pływałem z Wilhelmem Crawfordem i powiem, że nie widziałem człowieka, który by mu dorównał w wytrwałości, szczerości i odwadze. Oni tam mają dobre głowy, w tamtej dzielnicy Czterech Wiatrów. Może być, że z tego powodu ta strona lubi też trochę zabawić się ich kosztem. Dziwne to, jak ludzie muszą zawsze brać za złe, gdy j ktoś jest odrobinę sprytniejszy od nich.

Doktor, który od czterdziestu lat wiodł spór z ludźmi z tamtego brzege, zaśmiał się i przycichł.

— A kto zamieszkuje ten szmaragdowy dom przy drodze,? oddalony stąd o pół mili? — spytał Gilbert.

Kapitan uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Panna Kornelia Bryant. Prawdopodobnie zjawia się u was niedługo, wobec tego, że jesteście prezbiterianami. Gdy byście byli metodykami, wcale by się tu nie pokazała. Odczuwa szalony strach przed metodykami.

— Och, ona ma niewzruszone zasady — zachichotał doktor Tomasz — a poza tym jest zdecydowaną nieprzyjaciółką męskiego rodu.

— Kwaśne winogrona? — zapytał ze śmiechem Gilbert.

— Ach nie, wcale nie kwaśne winogrona — odpowiedział kapitan — poważnie. — Miała duże powodzenie, jak była młoda. Nawet teraz, gdyby tylko zechciała słówko powiedzieć, wielu wdowców pośpieszyłoby na jej zawołanie. Ona, zdaje się, przyszła na świat z chroniczną złością na wszystkich mężczyzn i metodyków. Ma najgorszy język i najlepsze serce w Czterech Wiatrach. Gdzie tylko zdarzy się jakieś nieszczęście, ta kobieta się zjawia, by w najdelikatniejszy w świecie sposób nieść pomoc. Nigdy nie powie złego słowa o drugiej kobiecie, a jeżeli lubi używać sobie na męskim rodzie, to powiem, że nasze twarde skóry potrafią to znieść.

— Zawsze wyraża się jak najlepiej o panu, kapitanie — zauważył doktor.

— Boję się, że tak jest. Wcale się z tego nie cieszę. Robi to na mnie takie wrażenie, jakby we mnie było coś nienaturalnego.



# VII. Narzeczona nauczyciela

Kapitanie, niech nam pan opowie, jaka pierwsza panna młoda mieszkała w tym domu — powiedziała Ania, gdy tylko po obiedzie usiedli koło kominka.

— Czy ona będzie częścią tej historii, która, jak slyszalem, jest związana z tym domem? — zapytał Gilbert. — Ktoś mi mówił, że pan coś wie o tym, kapitanie.

— No tak, wiem. Zdaje mi się, że jestem jedynym żyjącym człowiekiem w Czterech Wiatrach, który pamięta narzeczoną nauczyciela, jak zjawiała się na Wyspie. Aniela leży w grobie bodaj od trzydziestu lat, ale należy do tych kobiet, których się nigdy nie zapomina.

— Niech nam pan opowie tę historię — prosiła Ania — chciałabym wiedzieć o wszystkich kobietach, które tu przede mną mieszkały.

— Było ich trzy: Elżbieta Russel, pani Helena Russel i narzeczona nauczyciela. Elżbieta Russel była to mała, rozsądna kobietka, a pani Helena Russel była także miłą osobką. Żadna z nich jednak nie dorównywała narzeczonej nauczyciela.

Nazywał się ten pan nauczyciel Jan Selwyn i przybył ze Starego Kraju, aby dawać lekcje w szkole w Glen, w czasie kiedy ja miałem szesnaście lat. Nie był wcale podobny do innych ofiar, które zwykle zjawiały się tu, by uczyć dzieci. Większość ich stanowili chytry, najczęściej zapijaczeni nieszczęśnicy, którzy w stanie trzeźwym wlewali w głowy dzieciaków pierwsze zasady czytania i pisania, a znęcali się nad nimi, kiedy by li pijani.

Jan Selwyn jednak, w przeciwieństwie do tamtych, był Pięknym i miłym chłopcem. Mieszkał i stołował się u mego ojca i łączyła nas największa przyjaźń, mimo że był ode mnie starszy o dziesięć lat. Dużo razem czytaliśmy, dużo chodziliśmy i mieliśmy zawsze sobie wiele do powiedzenia. Zdaje się, że on znał wszystkie poezje, jakie kiedykolwiek były napisane, i wieczorami deklamował mi je podczas naszych przechadzek wzdłuż wybrzeża. Ojciec mój nazywał to zawsze marnowaniem czasu, ale po cichu godził się z tym, bo sądził, że w ten sposób zaniecham myśli o morskich podróżach. Mylił się, bo nic nie było w stanie mnie od nich oderwać; moja matka pochodziła z ludzi, którzy całe życie spędzili na morzu, i ja miałem ich krew w żyłach. Ale lubiłem słuchać Jana, gdy czytał lub deklamował wiersze. Blisko sześćdziesiąt lat minęło od tego czasu, ale bodaj że całe strofy mógłbym teraz jeszcze powtarzać, tyle się tego wówczas nasluchałem i nauczyłem. Blisko sześćdziesiąt lat...

Kapitan zamyslił się na chwilę, wpatrzony w ogień płonący na kominku, jakby szukał tam tych wszystkich, którzy już odeszli. Po czym, z westchnieniem, ciągnął dalej:

— Pamiętam, pewnego wiosennego wieczora spotkałem go na piaszczystych wydmach; miał tyle szczęścia w oczach, zupełnie jak pan, doktorze Blythe, kiedy wprowadzał pan tu dziś swoją żonę. Pomyślałem o nim w chwili, gdy pana zobaczyłem. Powiedział mi, że w domu zostawił swą ukochaną i że ona do niego przyjedzie. Nie bardzo mi to wówczas przypadło do gustu, taki byłem samolubny i myślałem tylko o tym, że po jej przybyciu nie będziemy już więcej takimi dobrymi przyjaciółmi. Byłem jednak na tyle przyzwoty, by mu tego nie okazać. Wszystko mi o niej opowiedział. Nazywała się Aniela Leigh i gdyby nie jej stryj, byłaby od razu z nim przyjechała do Glen. Był chory, a zaopiekował się nią po śmierci rodziców i wobec tego nie chciała go opuścić. Teraz jednak stryj umarł i ona miała przyjechać, aby pobrać się z Janem. Nie była to łatwa podróż w owe czasy dla kobiety. Musicie wiedzieć, że parowców wówczas nie było wcale.

„Kiedy spodziewasz się jej przybycia?” — zapytałem.

„Nela odbywa podróż na okręcie » Royal William« — odrzekł mi — który opuszcza port dwudziestego czerwca, wobec tego należy się spodziewać, że będzie tu w połowie lipca. Muszę zamówić cieślę Johnsona, aby dla nas zbudował dom.

Przyszedł dziś list od niej. Zanim go otrzymałem, wiedziałem, że zawiera dobre nowiny. Widziałem ją kilka dni temu”.

Nie mogłem go zrozumieć i wówczas on starał się mi to wytłumaczyć, ale po tym tłumaczeniu rozumiałem go jeszcze mniej. Mówił, że ma w sobie dar albo przekleństwo. To były jego własne słowa, pani Blythe. Dar albo przekleństwo. Nie wiedział dokładnie, czy to pierwsze, czy też to drugie. Mówił, że tym była obdarzona jego praprababka i że ją za to spalono na stosie jako czarownicę. Mówił mi, że miewa od czasu do czasu dziwne jakieś stany odurzenia, rodzaj transu; zdaje mi się, że takto nazywał. Czy zdarzają się takie rzeczy, doktorze?

— Są ludzie, którzy skłonni są do popadania w stan podobny — odpowiedział Gilbert. — Cała ta kwestia należy jednak bardziej do sfery badań psychicznych aniżeli do medycznych. A czym się objawiało to odurzenie Jana Selwyn?

— Były to prawdopodobnie sny — sceptycznie zauważył doktor Tomasz.

— Mówił, że miewa wówczas widzenia — powoli odrzekł kapitan. — Zwróćcie uwagę, że ja wam powtarzam to tylko, co on mi mówił o rzeczach, które już się zdarzyły, i o tych, które miały się zdarzyć. Czasami były dlań te widzenia miłe, czasami zaś straszne. Przed czterema dniami zapadł w podobne odurzenie, w chwili kiedy siedział u siebie w pokoju, przy kominku. Wówczas ujrzał stary pokój w rodzinnym domu, tak mu dobrze znany, i swą narzeczoną wyciągającą doń obie ręce, z uśmiechem pełnym radości i szczęścia. Stąd sądził, że spotka go coś przyjemnego i że dostanie od narzeczonej dobre nowiny.

— Sen, to był sen — szydził stary doktor.

— Bardzo możliwe — zgodził się kapitan. — Tak samo i ja mu wówczas tłumaczyłem i sam się tym uspokajałem, nie podobała mi się bowiem myśl, że on coś w ten sposób widzi.

Było to niesamowite.

„Nie — powiedział do mnie — ja nie śniłem wcale. Ale nie mówmy o tym więcej. Stracę jeszcze twoją przyjaźń, j zaczniesz o tym dużo rozmyślać”.

Uspokajałem go, że nic nie będzie w stanie wpłynąć na moją przyjaźń ku niemu. On jednak potrząsnął głową i tak odpowiedział:

„Z tej przyczyny straciłem już wielu przyjaciół. Nie gniewam się o to na nich. Czasami zdaje mi się, że nienawidzi sam siebie z tego powodu. Tego rodzaju siła ma coś niezmięskiego w sobie i nie wiadomo tylko, czy pochodzi od dobrego, czy od złego bóstwa. A my, zwykli śmiertelnicy, wdzyrgamy się przed zbyt bliskim zetknięciem się z bóstwem czy ze złym duchem”.

To były jego słowa, pamiętam je, jak gdyby wczoraj były wypowiedziane, chociaż wówczas nie rozumiałem dobrze ich znaczenia. Co też one mogły znaczyć, jak pan myśli, doktorze?

— Wątpię bardzo, czy on sam dobrze rozumiał ich znaczenie — mruknął doktor Tomasz.

— Zdaje mi się, że ja je rozumiem — szepnęła Ania. Siedziała, jak zawsze zasłuchana, z rozchyłonymi i ustami i błyszczący mi oczyma. Kapitan z podziwem spojrział na nią, a potem tak dalej opowiadał:

— Otóż wkrótce wszyscy ludzie z Glen i w Czterech Wiatrach wiedzieli, że narzeczona ich nauczyciela ma przyjechać, i wszyscy byli temu bardzo radzi, bo go wysoko cenili. I każdy interesował się jego przysłym domem — tym właśnie domem. Pod wybudowanie go wybrał dlatego to miejsce, ponieważ rozciągał się stąd widok na cały port i dolatywał szum morza. Założył ogród dla swej narzeczonej, ale nie on zasadził topole lombardzkie — sadziła je pani Helena Russel. Poza tym małe dziewczątka, które uczęszczały do szkoły w Glen St. Mary, zasadziły w ogrodzie potrójny rząd róż. Mówił, że bladioróżowe kwiaty były przeznaczone dla jej policzków, białe dla jej czoła, a czerwone dla jej ust. Tak często cytował poezje, że w końcu sam zaczął mówić wierszami.

Prawie każdy ze znajomych posłał mu jakiś mały upominek potrzebny do wyprawy domowej. Kiedy Russelowie się tu sprowadzali, a byli to ludzie zamożni, umebłowali, jak widziacie, pięknie całe mieszkanie, ale pierwsze meble, jakie tu przywieziono, były bardzo niepozorne. Za to dużo było w tym domu dowodów życzliwości. Niewiasty przysłały kapy, obrusy i ręczniki, a z mężczyzn jeden zrobił szafę, drugi stół i tak dalej. Nawet ślepa ciotka Małgorzata Boyd spłotła dla niej z pachnącej trawy, rosnącej na pagórkach, mały koszyczek. Zona nauczyciela trzy mała w nim stałe chusteczki do nosa.

W końcu wszystko było gotowe na przyjęcie. Nawet polana ułożone na kominku, przyszykowane do palenia. Nie był to co prawda ten sam kominek, chociaż stał na tym samym miejscu. Panna Elżbieta zmieniła go wówczas, kiedy

przeprowadzała piętnaście lat temu remont domu. Wtedy było to duże, starego typu ognisko, w którym można było upiec całego wołu. Ileż to razy siedziałem przy tym kominku i opowiadałem jaki i w tej chwili różne historie...

Zapadło milczenie, podczas którego kapitan myślą zdawał się spieszyć na spotkanie ze znajomymi, których ani Ania, ani Gilbert nie widzieli, z ludźmi, którzy niegdyś, w latach dawno minionych, razem z nim siedzieli przy tym samym kominku z weselem i radością wspólnego szczęścia w oczach, dziś zamkniętych już na zawsze i spoczywających pod ziemią cmentarną obok kościółka lub pod masami wód oceanu. Tu, w dawno minione dni, dzieciaki biegały uradowane i rozbawione, a śmiech ich rozbrzmiewał we wszytkich kątach. W zimowe wieczory zbierali się tu przy jaciele, gościli i muzyka, i tańce, i karty. Młodzi chłopcy i młode dziewczęta snuli swe marzenia. Dla kapitana miejsce to zapelnione było postaciami, które prosiły, by o nich nie zapomniano.

— W początkach lipca dom był ukończony — mówił dalej kapitan. — Wówczas to nauczyciel zaczął liczyć dni. Często widywaliśmy go błądzącego wzdłuż wybrzeża i powtarzaliśmy między sobą: „Wkrótce ona będzie z nim razem”. Oczekiwaliśmy jej przybycia w połowie lipca. Ona jednak nie przybyła w tym czasie. Nikt nie był z tego powodu zaniepokojony. Okręty często spóźniały się o całe dni, a nawet o całe tygodnie. „Royal William” jednak spóźniał się o tydzień, potem o dwa, a potem o trzy tygodnie i wówczas sprawy zaczęły iść coraz gorzej. W końcu nie miałem odwagi spojrzeć Selwynowi w oczy. Wie pani, droga pani Blythe — tu kapitan zniżył głos — zawsze myślałem, że oczy jego podobne były do oczu jego praprababki w chwili, kiedy ją prowadzono na stos. Nigdy nie mówił dużo — w szkole jednak uczył jak człowiek znajdujący się we śnie, a po skończeniu lekcji pędził na brzeg. Wieli nocy widzieliśmy go tam błądzącego od wieczora do wschodu słońca. Ludzie twierdzili, że traci rozum. Wszyscy żegnali się po trochu z nadzieją. „Royal William” spóźniony był o osiem tygodni. Już była połowa września, a narzeczona nauczycieli nie przybyła jeszcze — i nie przybędzie — myśleliśmy sobie.

Wówczas to nadeszła burza, która trwała trzy dni, a tego wieczora, kiedy ucichła, pobiegłem na brzeg morza. Zostałem tam nauczyciela obejmującego rękami i skąd i patrzącego na otwarte morze.

Przemówiłem doń, ale on nie odpowiedział. Jego oczy zdawały się widzieć w dali coś, czego ja nie mogłem dostrzec. Martwy spokój malował się na jego twarzy.

„Janie, Janie! — zawolałem jak przerażone dziecko. — Zbudź się, zbudź się!” Ten dziwny, straszny wyraz zdawał się powoli zniknąć z jego twarzy. Odwrócił głowę i spojrzął na mnie. Nigdy od tej chwili nie zapomniałem jego twarzy, nigdy; jej też nie zapomnę, aż do mej ostatniej podróży.

„Wszystko dobrze, chłopcze — przemówił. — Widziałem okręt wiozący moją narzeczoną, jak okrążał wschodni cypel. Ona będzie tu o wschodzie słońca. Jutro wieczór usiądziemy razem przy kominku”.

Czy myśli pan, że on ją widział? — zapytał kapitan Gilberta, przerywając opowiadanie.

— Bóg jeden wie — odpowiedział cicho Gilbert. — Wielka miłość i wielki ból potrafią dokazywać nie wiadomo jakich cudów.

— A ja jestem pewna, że on ją widział — z powagą oświadczyła Ania.

— Tereferę — dodał doktor Tomasz, ale z mniejszym niż poprzednio przekonaniem.

— Otóż wiedziecie — zakomunikował uroczyście kapitan — „Royal William” wpłynął do portu następnego dnia o wschodzie słońca. Wszyscy mieszkańcy z Glen i okolicy wylegli na brzeg, by przywitać Anielę. Nauczyciel czekał na brzegu noc całą. Jakimi też okrzykami witali ją, gdy płynęła kanałem w górę, możecie sobie wyobrazić.

Oczy kapitana błyszczały. Przed nim stał obraz Przystrani Czterech Wiatrów sprzed sześćdziesięciu laty ze starym, zniszczonym okrętem, płynącym w blaskach wschodzącego słońca.

— No, a czy Anieli Leigh była na pokładzie? — spytała Ania.

— Tak Ona i żona kapitana. Mieli bardzo ciężką przeprawę. Burza za burzą, a w dodatku zapasy okrętowe były prawie wyczerpane, lecz jakoś dobili do portu. Kiedy Anieli Leigh wyszła na brzeg, a Selwyn chwycił ją w swe ramiona, ucichły okrzyki. Ludzie zaczęli płakać. Sam płakałem, chociaż dopiero po latach zacząłem się do tego przyzwyczajać.

— A czy Anieli Leigh była bardzo piękna? — zapytała Ania.

— Nie wiem, czy pani nazwałaby ją piękną. Doprawdy nie wiem — powoli mówił kapitan. — Nigdy nie zastanawiałem się nad jej urodą. Nikt na to nie zwracał uwagi. Było w niej jednak coś tak słodkiego i pociągającego, że musiało się ją lubić. Ale bezwzględnie była przy stojna: wysoka, o brunatnych oczach, ciemnych, polyskających włosach i bardzo delikatnej, jasnej cerze. Jan wziął ślub z nią tego samego wieczora u nas, przy świetle świecy — tłumy całej z bliska i z daleka przybyły na uroczystość ślubną, a potem wszyscy odprowadziliśmy ich tutaj. Pani Selwyn rozpalila ogień i zostawiliśmy ich samych przy kominku, tak jak Jan ujrzał to w swym widzeniu. Dziwne to, bardzo dziwne, ja jednak widziałem strasznie dużo dziwnych rzeczy. Kapitan Jim kiwał z powagą głową.

— Piękne zdarzenie — zauważyła Ania, wysłuchawszy z zajęciem opowiadania. — Jak długo oni tu mieszkali?

— Piętnaście lat. Wkrótce po ich ślubie uciekłem na morze. Lecz ilekroć wracałem z podróży, pierwsze kroki kierowałem nie do domu, ale do nich i opowiadałem pani Selwyn o moich przygodach. Piętnaście szczęśliwych lat! Tych dwoje miało jakiś ukryty dar: umieli być szczęśliwi. Są ludzie, którzy z tym darem na świat przychodzą. Tych dwoje nie potrafiło być nieszczęśliwymi, choćby się nie wiadomo co stało. Czasem posprzeczała się, gdyz oboje byli bardzo gwałtowni. Ale kiedyś pani Selwyn powiedziała do mnie ze swym miłym uśmiechem:

„Czuję się nieszczęśliwa, jak posprzeczaamy się z Janem, ale wewnątrz zawsze jestem z tego rada, bo myślę sobie, że dobrze jest się posprzeczać, a potem pogodzić z tak kochanym mężem”.

Później przenieśli się Selwynowie do Charlotetown, a Ned Russel kupił ten dom i sprowadził tu swoją żonę. Oni też byli młodą, wesołą parą, jak ich sobie przypominam. Panna Elżbieta Russel była siostrą Neda. W rok później sprowadziła się tutaj, by z nimi razem zamieszkać, a była to osoba również bardzo wesoła. Mam wrażenie, że ściany tego domu są do pewnego stopnia przesiąknięte wesołością i szczęśliwymi dniami. Pani jest trzecią młodą mężatką, którą tu widzę, i najpiękniejszą z nich. Z dumą usłyszała Ania komplement wypowiedziany z wielką delikatnością przez kapitana. Doskonale wyglądała tego wieczora z zaróżowionymi policzkami, ogniem miłości w oczach i nawet mrudkiwy doktor z uznaniem spojrział na nią, a w drodze powrotnej przyznał doktorowej, że żona ich chłopca to prawie piękność.

— Muszę wracać do mego światła — oświadczył kapitan. — Niezwykłe przyjemnie spędziłem dzisiejszy wieczór.

— Pan musi nas często odwiedzać — powiedziała Ania.

— Nie wiem, czy pani byłaby bardzo skora do zaprosin, gdyby pani wiedziała, jak chętnie je przyjmuję.

— Czyli, innymi słowy, chce pan wiedzieć, czy ja na serio mówię — zaśmiała się Ania. — Otóż szczerze zapraszam. „Przy sięgam na mą duszę” — jakeśmy mówiły w szkole.

— No, to będę przychodził i zapewniam, że pod tym względem nie będzie pani pewna dnia ani godziny. Ale będę bardzo dumny również, jeśli pani zechce mnie odwiedzić od czasu do czasu. Zwykle nie mam towarzysza do rozmowy, chyba mego Maciusia. Bóg niech weźmie w opiekę jego towarzyskie serce. Potrafi on doskonale słuchać, ale nie można powiedzieć, żeby był zbyt rozmowny. Pani jest młoda, a ja jestem stary, ale mam wrażenie, że nasze dusze są bodajże w tym samym wieku. Oboje należymy do tych ludzi, którzy „znają Józefa”, jak mówi Kornelia Bryant.

— Ludzie, którzy „znają Józefa”? — zapytała zdumiona Ania.

— Tak Kornelia dzieli wszystkich ludzi na dwie kategorie: takich, którzy „znają Józefa”, i takich, którzy nie znają. Jeżeli ktoś może patrzeć pani prosto w oczy i ma mniej więcej te same poglądy co pani, ten sam ton w żartach, to należy do gatunku ludzi znających Józefa.

— Ach, teraz rozumiem! To jest to samo, co ja nazywałam i nazywam „pokrewieństwem dusz”.

— To samo, to samo! — zawołał kapitan. — To właśnie my jesteśmy tacy. Jak tylko pani przyjechała dzisiejszego wieczora, zaraz pomyślałem sobie: „Ona jest z tych, co znają Józefa”, i byłem tym bardzo uradowany, bo gdyby tak nie było, niedużo mielibyśmy pociechy z naszej znajomości. Myślę, że rodzaj ludzi, którzy znają Józefa, to wszystko, co najlepsze na ziemi.

Wysoko już podniósł się księżyc na niebie, kiedy Ania i Gilbert żegnali swych gości. Przystrani Czterech Wiatrów zamieniła się powoli w krainę marzeń i cudów, w zaczarowaną zatokę, do której żadna burza nie mogła dotrzeć. Topole lombardzkie rosnące wzdłuż drogi, wysokie, ciemne i nakrapiane srebrem, wyglądały jak jakaś tajemnicza wstęga na odświeżonych szatach.

— Zawsze lubiłem topole włoskie — zauważył kapitan — to księżęce drzewa. Dziś są już niemodne. Ludzie skarżą się, że obumierają od wierzchołka i wyglądają potem jak obszarpane. Tak jest w rzeczywistości, jeżeli ryzykując kark, nie obcina się im czubów każdej wiosny przy pomocy drabiny. Ja to zawsze robiłem dla panny Russel i jej topole nie miały wytartych wierzchołków. Ona je wyjątkowo lubiła. Podobała się jej ich powaga i odrębność. To nie kompania dla Maćka, Bartka i Wojtka — to prawdziwa arystokracja drzew.

— Jaka cudowna noc — zauważyła pani doktorowa wsiadając do bryczki.

— Prawie zawsze noce są tu cudowne — powiedział kapitan. — I gdy patrzę na Cztery Wiatry zalane światłem księżycy, myślę, co też zostanie jeszcze do zobaczenia w niebie. Księżyc jest moim wielkim przyjacielem. Odłąd pamiętam, zawsze go lubiłem. Jako mały, ośmioletni brzdąc zasnąłem raz na dworze, a w domu tego nie zauważono. Zbudziłem się w nocy i byłem strasznie przerażony. Jakie tam czały się cienie i jakie dziwne dochodziły głosy! Przykucnąłem ze strachu i nie śmiałem się poruszyć. Nagle zobaczyłem, że księżyc spogląda na mnie z góry przez liście jabłoni, i to mnie natychmiast uspokoiło. Wstałem i poszedłem do domu odważnie jak lew. I podczas wielu nocy patrzyłem na księżyc z pokładu okrętu na dalekich wodach. Ale nie wiem, dlaczego nie każecie mi wreszcie umilknąć i iść do domu.

Radosne życzenia dobrej nocy ucihły. Gilbert i Ania, trzymając się za ręce, szli dookoła ogrodu. Strumyk szemrał w ciszy nocnej wśród cienia drzew. Maki, rosnące nad jego brzegami, miały wygląd płtykich czarek, wypełnionych srebrem księżycy. Kwiaty, zasadzone niegdyś rękami żony nauczyciela, napełniały powietrze swym słodkim zapachem. Ania zatrzymała się w cieniu, by zerwać gałązkę.

— Lubię zapach kwiatów w nocy. Ach, Gilbertcie, Gilbertcie! To jest taki dom, jaki sobie wymarzyłam, i taka jestem rada, że nie jesteśmy pierwszą młodą parą, która go zamieszkuje!





# VIII. Wizyta panny Kornelii Bryant

Wrzesień w Czterech Wiatrach był miesiącem złocistych poranków, zabarwionych purpurą delikatnych mgieł, miesiącem dni kąpiących się w słońcu i nocy zalanych światłem księżyca, pulsujących tysiącami migocących gwiazd. Burze nie mąciły tego spokoju; chłodne wichry ucihły. Ania i Gilbert przy prowadzili do porządku swoje gniazdko, bładzili wzdłuż brzegów morza, urządzali przejażdżki żagłową po przystani, odbywali wycieczki w głąb Wyspy i do Glen po ustroonych i cichych drogach, wijących się wśród lasów i wśród czarownych okolic przystani. Miesiąc miodowy spędzali w sposób, którego niejedna para kochanków mogłaby im pozazdrościć.

— Gdyby życie miało się skończyć w tej chwili, to przecież warto by —było żyć dla tych kilku tu godni, któreśmy razem ze sobą spędzili — powiedziała Ania. — Nie sądzę, abyśmy kiedykolwiek jeszcze w życiu mieli takie szczęśliwe cztery tygodnie, ale to, cośmy przeżyli, już jest nasze. Wiatr, pogoda, ludzie, nasz wymarzony domek — wszystko to zebrało się, by uczynić nasz miesiąc miodowy jednym pasmem szczęścia. Przecież ani razu nie padał deszcz, odłąd tu jesteśmy.

— I ani razu nie posprzecaliśmy się.

— No tak, to jest tym większa przyjemność, im dalej się ją odsuwa — zacytowała Ania stare przysłowie. — Taka jestem rada, że zdecydowaliśmy się tu spędzić nasz pierwszy miesiąc. Nasze wspomnienia zawsze będą należeć do tego wymarzonego domku, a nie; rozproszą się po różnych ch zakątkach świata.

Wymarzony domek zdawała się otaczać atmosfera romantyczności i jakiejś tajemniczości, której Ania nie odczuwała nigdy w Avonlea. Tam również miała morze niedaleko, a przecież zdawała się nie dostrzegać tej jego bliskości. W Czterech Wiatrach zawsze ją otaczało i zawsze ją przyzywało. Z każdego okna domku przybierało inny jakiś wygląd. W uszach miała ciągle jego szum. Do przystani co dzień przyływały okręty, jedne sunące wolno w stronę mola w Glen, inne wypływające na pełne morze i zdążające do portów rozsianych na całej kuli ziemskiej. Łódki rybackie o białych skrzydłach żagli opuszczały rano przystań puste, by wieczorem wrócić z obfitym żniwem całodziennego połowu. Rybacy i marynarze, wszyscy zadowoleni i uradowani, zapelniali drogę wijącą się wzdłuż portu i ubarwioną czerwonym piaskiem. Zawsze było się pod wrażeniem, że coś się stanie, stale oczekiwano się jakiegoś niezwykłego zdarzenia. Drogi w Czterech Wiatrach nie były takie spokojne jak w Avonlea. Zmieniały ciągle swój wygląd. Morze wciąż wołało mieszkańców brzegów i nawet ci, którzy nie mogli podążyć za tym zewem, czuli cały jego urok, niepokój i tajemniczość oraz jego wielką potęgę.

— Teraz rozumiem, dlaczego niektórzy mężczyźni muszą uciekać na morze — oznajmiła Ania. — Ta tęsknota, która nieraz nas wszystkich ogarnia, aby popłynąć na „krańce świata, gdzie słońce zachodzi”, musi być bardzo przemożna, gdy się zrodzi w sercu. Nie dziwię się, że kapitan Jim uciekł na morze. Zawsze, ilekroć widzę okręt wypływający na pełne morze albo mewę z rozwiniętymi skrzydłami, ulatającą w przestworza, budzi się we mnie żal, że nie jestem na pokładzie okrętu. To znowu pragnę mieć skrzydła, nie jak gołąb, by ulecieć daleko, a potem spokojnie spocząć, lecz skrzydła mewy, która rzuca się w największy wir gwałtownej burzy.

— Zostaniesz ze mną, moja mała dziewczynko — spokojnie powiedział Gilbert — wcale nie mam ochoty, byś ulatywała ode mnie w wiry burz.

Późno po południu siedzieli razem na progu, w czerwonego piaskowca. Cisza panowała dokoła nich i w powietrzu, na morzu i na niebie. Nad nimi przelatywały srebrzyste mewy. Na horyzoncie przesuwały się delikatne koronki żarózwionych chmurek Łagodny wietrzyk wyspiewywał w liściach drzew monotonną pieśń, która zlewała się w jedną melodię z szumem fal. Bładymi i astrami ubrana była łąka, znaj dująca się między ich domem a przystanią.

— Myślę, że lekarze, których obowiązkiem jest czuwać noc całą przy łożu chorego, nie bardzo wiele mają skłonności do awanturnicznych przedsięwzięć — z pobłażaniem powiedziała Ania. — Gdybyś tak jak ja spał przez całą noc spokojnie, jestem pewna, Gilbercie, że więcej miałbyś chęci uciec razem ze mną w krainę wyobraźni.

— Zrobiłem ostatniej nocy dobrą robotę — spokojnie odrzekł Gilbert — uratowałem życie. Był to pierwszy wypadek, gdzie mogę sobie przypisać zasługę w tym względzie. Zwykle tylko niosłem pomoc. Ale tym razem, gdybym był nie pozostał w Allenby i nie stawiał mężnie czoła śmierci, ta kobieta nie byłaby dożyła dzisiejszego ranka. Wypróbowałem sposób, który jeszcze nigdy nie był praktykowany w Czterech Wiatrach. Wątpię nawet, czy gdziekolwiek był w użyciu, poza szpitalami. Był to najnowszy sposób leczenia w szpitalu w Kingsport ostatniej zimy. Nigdy nie odważyłbym się próbować go tutaj, gdybym nie był bezwarunkowo pewny jego wyniku. Zaryzykowałem — i udało mi się. A w rezultacie dobra żona i matka została uratowana, aby przez długie lata jeszcze być pożyteczną dla swej rodziny. Wracając nad ranem do domu i patrząc na słońce wschodzące nad przystanią, dziękowałem Bogu, że wybrałem ten zawód, a nie inny. Prowadziłem wielką walkę i wygrałem. Pomyśl tylko, Aniu, zwyciężyłem potężnego niszczyciela. Było to spełnienie tych dawnych moich marzeń, o których kiedyś rozmawialiśmy i których urzeczywistnienia tak bardzo pragnęliśmy.

— Czy to było pierwsze twoje marzenie, jakie się spełniło? — spytała Ania, która z góry wiedziała, jaka będzie odpowiedź, ale która chciała tę właśnie odpowiedź ciągle słyszeć.

— Ty wiesz, kochanie — odrzekł Gilbert patrząc z uśmiechem w oczy Ani.

W tej chwili na progu małego domku nad Przystanią Czterech Wiatrów siedziało dwoje bardzo szczęśliwych ludzi.

— Czy mi się zdaje, czy też rzeczywiście widzę „okręt z pełnymi żaglami”, zbliżający się ku nam? — powiedział Gilbert zmienionym tonem. Ania spojrzała i zerwała się z miejsca.

— Musi to być albo panna Kornelia Bryant, albo pani Moore z wizytą do nas! — zawołała.

— Ja uciekam do swego gabinetu, ale zapowiadam, że jeżeli to jest panna Kornelia, będę podслуchiwał pod drzwiami — oświadczył Gilbert. — Z tego wszystkiego, co już słyszałem, odniosłem wrażenie, że rozmowy z nią nigdy nie bywają nudne.

— A może to jest pani Moore?

— Wygląd jej nie wskazuje, żeby to miała być pani Moore. Widziałem ją pracującą w ogrodzie i wprawdzie byłem zbyt daleko, by się móc przyjrzeć, ale przecież zauważyłem, że jest ona raczej szczupła. Sądząc po tym, że jeszcze u ciebie, mimo że jest najbliższą sąsiadką, nie była, wydaje mi się, że nie jest bardzo towarzysko usposobiona.

— Stwierdzam, że ona nie jest podobna do pani Linde, inaczej sama ciekawość by ją tu przygnała — powiedziała Ania. — Ten gość, który się tutaj zbliża, jest, zdaje się, mimo wszystko, panną Bryant.

Rzeczywiście była to panna Kornelia, która zresztą wcale nie po to przyszła, aby złożyć krótką i ceremonialną wizytę młodej parze. W rękę trzywała pokazny pakunek, a skoro tylko Ania poprosiła ją usiąść, zaraz zdjęła szeroki kapelusz, chroniący ją od słońca, a przytrzymywany na głowie, na przekór niesfornym wiatrom wrześnieowym, mocno przylegającą, zaczepioną pod zwiniętymi włosami, gumową tasiemką bez żadnych szpilek Gumowa tasiemka dobra była dla jej matki, dobra będzie i dla niej. Panna Kornelia miała różowe, okrągłe policzki i wesołe, brunatne oczy. Wcale nie wyglądała na tradycyjną starą pannę, a w wyrazie jej twarzy było coś, czym sobie momentalnie Anię ujęła. Z instynktowną szybkością, z którą odszukiwała pokrewne dusze, wyczuła, że polubi pannę Kornelię, i to mimo pewnych dziwactw w wygłaszanych przez nią zdaniach i w ubiorze.

Nikt inny, tylko panna Kornelia mogła sobie pozwolić na złożenie wizyty w fartuchu w białe i niebieskie pasy, okryta chustką czekoladowego koloni w duże, jasne róże. Nikt inny, tylko panna Kornelia mogła w tym stroju wyglądać zupełnie staccieście i stosownie. Nawet gdyby poszła tak ubrana na dwór książycey, to i tam miałyby ten sam godny wygląd i byłaby całkowicie panią sytuacji. Nie zrobiłyby na niej pewno wrażenia marmurowe krużganiki i wspaniałe sale i z tym samym spokojem postarałaby się księżniczkę wyprowadzić z błędnego mniemania, że mężem nie należy Sieżbytnio chwalić, bez względu na to, czy to byłby książe, czy kniutek

— Przyniosłam ze sobą moją robotkę, droga pani Blythe — zauważyła rozwijając jakiś delikatny materiał. — Spiesz się to wykończyć i doprawdy nie mam ani chwili czasu do stracenia.

Ania z pewnym zdumieniem popatrzyła na białą tkaninę rozpostatą na kolanach panny Kornelii. Była to sukieneczka dla małego dziecka, przepięknie wykończona drobniutkimi falbaneczkami i zakładeczkami. Panna Kornelia poprawiła swoje szdła i zaczęła nader kunstownie wyszywać.

— Przygotowuję to dla pani Proctor z Glen — zakomunikowała. — Oczekuje każdego dnia ósmego dziecka, a dotychczas nie ma żadnej wyprawki. Siedmioro innych zdarło wszystką wyprawkę pierwszego dziecka, a potem nie mieli już ani siły, ani głowy, aby cały ten zapas uzupełnić. Ta kobieta jest męczennicą, droga pani Blythe. Kiedy wychodziła za Freda Proctora, wiedziałam dokładnie, co z tego wyniknie. Należał on do tych niegodziwych, a tak czarujących mężczyzn. Jak tylko z nią się ożenił, przestał być czarującym, a pozostał tylko niegodziwym. Pije i zaniedbuje swoją rodzinę. Idźcie po męsku, prawda? Nie wiem doprawdy, czy pani Proctor byłaby w stanie ubrać swe dzieci należycie, gdyby nie pomoc sąsiadów.

Później Ania dowiedziała się, że panna Kornelia była byłą jedyną osobą z sąsiedztwa, która troszczyła ją o to, aby latorośle Proctorów były należytym ubrane.

— Jak tylko usłyszałam, że to ósme dziecko ma przyjść na świat — ciągnęła dalej panna Kornelia — zaraz postanowiłam zająć się jego wyprawką. To właśnie ostatnia sukieneczka i chcę koniecznie dziś jeszcze ją wykończyć.

— Ależ to przesliczna robota — powiedziała Ania. — Przy nosię w tej chwili igłę i nici, będziemy szyły razem. Pani jest skończoną artystką pod tym względem, panno Kornelio!

— Tak, tak Jestem najlepszą szwaczką w całej okolicy — powiedziała panna Kornelia najspokojniejszym tonem. — Nie może być inaczej. Boże, przecież ja więcej tego naszyłam, niż gdy bym sama miała sto dzieci. Poza tym zdaje mi się, że trzeba być do pewnego stopnia wariatką, by tak pięknie wyszywać sukienkę dla ósmego dziecka. Ale przecież nie można mu robić wyrzutów, że jest ósmym z rzędu, ja zaś chciałabym, żeby miało jedną naprawdę ładną sukieneczkę, tak jak gdyby jego przybycia oczekiwano z utęsknieniem. Tymczasem, w rzeczywistości, nikt nie życzy sobie przyjścia na świat tego robaka. Właśnie dlatego dołożyłam przy robocie specjalnych starań.

— Każde dziecko mogłoby być dumne z takiej sukieneczki — powiedziała Ania czując, że panna Kornelia coraz więcej jej się podoba.

— Przypuszczam, że pani w ogóle nie spodziewała się mojej wizyty — podjęła rozmowę panna Kornelia. — Teraz jest miesiąc zbiorów i byłam bardzo zajęta; miałam tylu robotników w domu, oczywiście mężczyźni objadających się raczej aniżeli pracujących. Chciałam wczoraj przyjść do pani, ale musiałam być na pogrzebie pani Rudolfowej MacAllister. Początkowo myślałam, że nie będę mogła oddać jej ostatniej posługi z powodu szalonego bólu głowy. Pomyślałam sobie jednak, że staruszka miała ponad sto lat i że przyrzekłam sobie być na jej pogrzebie.

— Czy pogrzeb był bardzo uroczysty? — spytała Ania stwierdzając, że drzwi do gabinetu stały otworem.

— Ach, tak To był olbrzymi pogrzeb, staruszka miała bardzo wielką rodzinę. Za pogrzebem jechało ponad sto dwadzieścia powozów. Zdarzyły się dwa czy trzy komiczne wypadki. Myślałam, że umrę na widok starego Jakuba Bradshaw — który jest prawdziwym niedowiarakiem i nigdy nie przestępuje progu świątyni — śpiewającego z wielkim zapalem pieśń „Szczęśliwa na rękach Jezusa”. On jest bardzo dumny ze swego głosu i to jest przyczyna, dla której nie opuszcza żadnego pogrzebu. Za to biedna pani Bradshaw nie bardzo wyglądała na usposobioną do śpiewu, taka była wyczerpana i przepracowana. Stary Jakub od czasu do czasu wyrwa się z obietnicą jakiegoś prezentu dla niej i w końcu przynosi do domu nową maszynę rolniczą. Iśćcie po męsku — prawda? Czego można jednak oczekiwać od mężczyzny, który nigdy nie uczęszcza na nabożeństwa, nawet do metodystów? Byłam bardzo szczęśliwa, widząc panią i młodego doktora w pierwszą niedzielę po waszym przyjeździe w kościele prezbiteriańskim. Nie uznaję doktora, który nie jest prezbiterianinem.

— Ale w ostatnią niedzielę wieczorem byliśmy na nabożeństwie u metodystów — złośliwie zauważyła Ania.

— Ach, przypuszczam, że doktor Blythe musi uczęszczać na nabożeństwa do metodystów ze względu na swoją praktykę.

— Ogromnie nam się podobało kazanie — odważnie oświadczyła Ania. — Poza tym modlitwa odczytana wówczas przez pastora była najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek słyszałam.

— Och, wcale nie wątpię, że on umie się modlić. Nigdy nie słyszałam piękniejszych modlitw niż te, które wygłaszał stary Szymon Bentley, który wiecznie albo był pijany, albo spodziewał się nim wkrótce być. Tym piękniej się modlił, im więcej przesiąknięty był alkoholem.

— Pastor od metodystów jest bardzo pięknym mężczyzną — powiedziała Ania mając specjalnie na uwadze drzwi od gabinetu.

— Przyznaję, że jest bardzo dekoracyjny — zgodziła się panna Kornelia — i bardzo lubi panie. I myśli także, że każda dziewczyna, która nań spojrzy, musi się w nim zakochać; jak gdyby pastor od metodystów, błagający się jak Żyd wieczny tulać, miał być takim szczęściem. Jeżeli pani i doktor zechcą wziąć do serca moją uwagę, to lepiej państwo zrobicie nie zbliżając się zbyt do metodystów. Moja zasada brzmi: Jesteś prezbiterianinem i pozostaj nim za zawsze.

— Czy pani myśli, że tylko prezbiterianie idą do nieba? — z powagą zapytała Ania.

— Nie my o tym decydujemy, leży to w innych i mocniejszych rękach niż nasze — uroczyście oświadczyła panna Kornelia. — Ale ja nie chcę szukać ich towarzystwa na ziemi, bez względu na to, co się stanie w niebie. Ten pastor metodystów nie jest żonaty. Ostatni pastor miał żonę, a była to najgłupsza i najpytsza kobieta, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć. Raz powiedziałam jej mężowi, że powinien był zacząć ze ślubem, zanim ona nie podrośnie. Odpowiedział mi na to, że chciał ją sobie wychować — iście po męsku, prawda?

— To przecież bardzo trudno ustalić, kiedy ktoś jest dorosłym — zaśmiała się Ania.

— Święte słowa, kochanie. Czasem ktoś się rodzi dorosłym, a innym razem jest dzieckiem do osiemdziesiątego roku życia, wierzą mi. Ta sama pani Rudolfowa, o której wspomniałam, nigdy nie była dorosłą osobą. Tak samo głupia w setnym roku życia, jak w dziesiątym.

— Może właśnie dlatego tak długo żyła — zauważyła Ania.

— Możliwe, ja jednak wolałabym przeżyć pięćdziesiąt lat jako mądra kobieta niż sto jako” głupia.

— Ale niech pani sobie pomyśli, jak świat byłby nudny, gdyby wszyscy ludzie byli mądrzy.

Panna Kornelia gardziła wszelką słowną utarczką.

— Pani Rudolfowa była z domu panną Milgrawę, a ta rodzina nie odznaczała się nigdy rozsądkiem. Jej siostrzeniec, Ebenezer Milgrawę, lata całe był chory na umyśle. Wciąż sądził, że już umarł, i krzyczał na swą żonę, że nie chce go pochować. Ja bym mu zrobiła tę przyjemność.

Panna Kornelia miała w tej chwili takzcięty wyraz twarzy, że Ania niemal ją widziała z łopatą w ręku.

— Czy pani nie słyszała o żadnym dobrym mężu, panno Kornelio?

— O, tak, bardzo dużo nawet — odrzekła panna Kornelia wskazując ręką przez otwarte okno w stronę małego cmentarza obok kościołka, po drugiej stronie przy stani.

— Ale o żywych, z krwi i kości? — pytała Ania.

— Ach, jest paru stanowiących istny dowód, że Pan Bóg wszystko może zdziałać — przyznała panna Kornelia. — Nie mogę zaprzeczyć, że tu i ówdzie trafi się jakiś porządny człowiek, o ile się za młodu ożeni i zostanie odpowiednio przez żonę wytrenowany, a poza tym o ile matka mu porządnie garbowała skórę w swoim czasie. Na przykład z tego, co słyżę, mąż pani ma być wcale niezły. Przypuszczam — tu panna Kornelia popatrzyła ostro na Anię przez szklę — że pani sobie wyobraża, iż lepszego odeń nie ma na całym świecie?

— I nie ma — prędko powiedziała Ania.

— Tak, tak Słyszałam już niejedną młodą mężatkę mówiącą to samo. Janka Dean myślała także, że na całym świecie nie było człowieka tak nadzwyczajnego jak jej mąż. Miała rację: rzeczywiście nie było. Prowadził straszne życie, a kiedy ona leżała umierająca, on zabawiał się ze swą następną żoną. Iście po męsku — prawda? Spodziewam się jednak, że pani wiara będzie lepiej nagrodzona, kochanie. Młody doktor zyskuje sobie wielkie uznanie. Obawiałam się, że tak nie będzie, bo ludzie sobie wyobrażali, że poza starym doktorem Tomaszem nie ma innego lekarza na świecie. Przyznać trzeba, że doktor Tomasz nie miał nigdy dużo taktu i stale opowiadał o stryczku w domach, gdzie się ktoś powiesił. Ale Judzie zapominali mu zranione uczucia, jak tylko zjawili się boleści w żołądku. Nie zapominalbysy z pewnością, gdyby zamiast być doktorem, był pastorem. Cierpienia duszy nie sprawiają ludzkości ani w połowie takich dolegliwości jak cierpienia żołądka. No, ale wobec tego, że należymy obie do kościoła prezbiteriańskiego, a nie ma tu w pobliżu metodystów, czy może mi pani powiedzieć całkiem szczerze swe zdanie o naszym pastarze?

— No tak, ale... — zawahała się Ania. Panna Kornelia skinęła głową.

— Zupełnie słusznie, zgadzam się z panią. Zrobiliśmy omyłkę, zapraszając go tutaj. Twarz jego podobna jest do tych podłużnych, wąskich kamieni cmentarnych, prawda? „Świętej pamięci” powinno być wyryte na jego czole. Nigdy nie zapomnę jego pierwszego kazania. Było to na temat, że każdy powinien to robić, do czego się najlepiej nadaje. Doprawdy bardzo piękny temat, ale przykłady, jakie on podał! „Gdybyś miał krowę i drzewo jabłoni i gdybyś jabłoni przywiązał w stajni, krowę zasadził w ogrodzie tylnymi nogami, ile też mleka otrzymałbyś z drzewa, a ile jablek przyniosłaby ci krowa?” Czy pani kiedy w życiu słyszała coś podobnego, kochanie? Byłam szczęśliwa, że dnia tego nie było nikogo w kościele z

metodystów. Na zawsze miałby powodó do śmiechu. Lecz najbardziej mi się w nim nie podoba jego sposób przytakiwania wszystkiemu, a co od kogokolwiek usłyszy. Powie mu kto: „Panie, pan jest wielką galgan”, to uśmiechając się błogo, odpowie mu: „Tak”. Pastor powinien mieć więcej samodzielności. Krótko mówiąc, uważam go za świętobliwego osła. Oczywiście, mówię to tylko wówczas, jak jesteśmy same. Skoro w pobliżu znajduje się jakiś metodysta, wychwalam go pod niebiosa. Niektórzy ludzie twierdzą, że jego żona za jaskrawo się ubiera, ale ja jestem tego zdania, że jak już musi żyć z takim osobnikiem, to powinna mieć także coś na swoją pociechę. Nigdy pani ode mnie nie usłyszy słów potępienia dla jakiegokolwiek kobiety z powodu zbyt jaskrawego stroju. Jestem doprawdy zadowolona, jak tylko mąż nie jest wybitnym sknerą. I to nie dlatego, by mię samą stroje co obchodziły. Kobieta zwykle w tym celu się stroi, aby przypodobać się mężczyźnie, a ja do czegoś podobnego nigdy się nie zniżyłam. Życie płynie mi rzeczywiście spokojnie i wygodnie, i to jedy nie z tego powodu, że nigdy nie zatroszczyłam się o to, co mi się ród męski.

— Za co ich też pani tak bardzo nienawidzi, panno Bryan?

— Boże, wcale mi do głowy nie przychodzi ich nienawidzić! Przecież oni na to nie zasługują. Ja na nich tylko patrzę z pewnego rodzaju pogardą. Mam zresztą nadzieję, że mąż pani będzie mi się podobał, o ile oczywiście pozostanie takim, jakim był dotychczas. A poza nim jedynymi moimi mężczyznami, dla których mam szacunek, to doktor Tomasz i kapitan Jim.

— Ach, kapitan to doprawdy wspaniały człowiek! — przyznała Ania szczerze.

— Kapitan Jim jest dobrym człowiekiem, ale jest do pewnego stopnia irytujący. Nie można go nigdy doprowadzić do szału. Od dwudziestu lat robię starania w tym kierunku, on jednak wciąż jest jednakowo łagodny. To mnie wprowadza z równowagi. Przypuszczam zresztą, że kobieta, z którą on mógłby się ożenić, dostałaby męża, który co najmniej dwa razy dziennie okazuje swój zły humor.

— Kogo też, jaką kobietę, ma pani na myśli?

— Ach, tego nie wiem, moja droga. I nie przypominam sobie, żeby kapitan Jim starał się kiedykolwiek pozyskać czyjeś względy. Jak daleko sięga moja pamięć, obcował tylko ze starszymi. Musi pani wiedzieć, że ma dziś siedemdziesiąt sześć lat. Nigdy nie udało mi się usłyszeć powodu, dlaczego pozostał kawalerem. Ale niech mi pani wierzy, jakaś przyczyna musi w tym być. Prawie całe swoje życie spędził na morzu i dopiero przed pięciu laty porzucił służbę na okręcie, a na całym świecie nie ma chyba zakątką, gdzie by nie wetknął swego nosa. Był wielkim przyjacielem Elżbiety Russel, ale, o ile wiem, nigdy nie mieli się ku sobie. Elżbieta wcale nie wyszła za mąż, mimo że miała ku temu wiele sposobności. Za młodych lat była prawdziwą pięknoscią. W tym samym roku, kiedy ksiądz Wali zagościł na naszej Wyspie, mieszkała u swego wują w Charlottetown, a— ponieważ był to urzędnik państwowy, przeto otrzymała zaproszenie na wielki bal, jaki się odbył z okazji tej wizy ty. Elżbieta była najpiękniejszą dziewczyną na balu i ksiądz tylko z nią tańczył. Później wszystkie inne panie, które zajmowały wyższe stanowiska towarzyskie aniżeli ona, a z którymi ksiądz nie tańczył, były wściekle i twierdziły, że ksiądz nie powinien był ich w ten sposób lekceważyć. Elżbieta stała się bardzo dumna od chwili tego tańca. Prości ludzie mówili, że to był powód, dlaczego nigdy za mąż nie wyszła. Twierdzili, że nie mogła znaleźć sobie męża odpowiedniego między zwykłymi śmiertelnikami, kiedy tańczyła z księciem. Ale to wcale nie tak było. Ona mi sama o tym wspomniała i mówiła, że właściwym powodem był jej niezwykle gwałtowny temperament, tak że obawiała się, iż nie potrafiłby zadnem u mężowi zapewnić spokojnego życia. A temperament ten był rzeczywiście niezwykle wybuchowy. Były chwile, kiedy uciekała na górę do swego pokoiku i po prostu gryzła biurko, aby się uspokoić. Tłumaczyłam jej, że to nie powinno być przeszkodą do zamążpójścia, bo nie jest powiedziane, by tylko mężczyźni mieli mieć monopol na zły humor. Nieprawdaz, kochana pani Blythe?

— Ja sama od czasu do czasu mam napady złego humoru — westchnęła Ania.

— To bardzo dobrze. Niech mi pani wierzy, że tym jako tako uchroni się pani przed zupełnym zawojowaniem! Mój Boże, jak pięknie kwitną te zlotogłowy. Ogród pani cudownie wygląda. Biedna Elżbieta tyle trudu weń włożyła.

— Ja strasznie kocham mój ogród — powiedziała Ania — i jestem tak bardzo rada, że kwitną tu sobie takie zwyczajne kwiaty. Ale skoro już mówimy o ogrodnictwie, muszę powiedzieć, że chciałabym dostać człowieka do przekopania kawałka ogrodu za łaskiem jodlowym, gdzie bym mogła zasadzić truskawki. Gilbert tak jest zajęty cały dzień, że chyba nigdy nie znajdzie chwili czasu na wykonanie tej roboty. Zna pani może kogoś takiego?

— Ależ tak Henryk Hammon z Glen nadaje się do tego. Bardzo możliwe, że on to robi. Muszę tylko zaznaczyć, że zasadniczo więcej go interesuje wynagrodzenie aniżeli sama robota — zresztą w tym, jako prawdziwy mężczyzna, nie stanowi wyjątku. Poza tym jest tak powolny, że potrzebuje co najmniej pięciu minut, aby stwierdzić, że przerwał pracę. Jak był mały, ojciec rzucił za nim polanem. Delikatny pocisk, nieprawdaz? Tak po męsku! Na chłopaka pozostawiło to wieczny ślad. Ale to jedyny człowiek, którego mogę do tej roboty polecić. Ostatniej wiosny pomalował mi mój domek, który teraz bardzo pięknie wygląda.

Anię uratował w końcu zegar wydzwaniając piątą godzinę.

— Wielki Boże! Czy to już tak późno? — zawołała panna Kornelia. — Jak też czas szybko mija przy milej pogawędce. Niestety, muszę już uciekać do domu.

— Ależ nie! Pani zostanie u nas na herbatce — serdecznie powiedziała Ania.

— Czy pani mnie prosi, że tak wypada, czy też dlatego, że pani sobie istotnie tego życzy? — zapytała panna Kornelia.

— Ależ oczywiście, ponieważ sobie tego bardzo życzę.

— W takim razie pozostaję. Pani należy do ludzi, co znają Józefa.

— Czuję, że będziemy przyjaciółkami — powiedziała Ania z najbardziej miłym uśmiechem.

— Na pewno nimi zostaniemy, kochanie. Całe szczęście, że naszych przyjaciół możemy sobie wybierać. Naszych krewnych musimy brać takimi, jakimi są, i jeszcze dziękować Bogu, jeżeli nie ma wśród nich złoczyńców. Mówię to nie dlatego, bym sama miała zbyt dużo krewnych. W każdym razie nie bliskich, tylko dalszą rodzinę. Jestem trochę samotna, droga pani Blythe.

Wyczuwało się pewną zadumę w głosie panny Kornelii.

— Chciałabym, aby mnie pani nazywała Anią! — impulsywnie zawołała Ania. — Brzmiałoby to bardziej serdecznie. Wszyscy w Czterech Wiatrach, z wyjątkiem mego męża, nazywają mnie „pani Blythe” i wskutek tego czuję się tu taka obca. Czy pani wie, że jej imię prawie podobne jest do tego, o jakim marzyłam dla siebie jako mała dziewczynka? Nienawidziałam swego imienia i w wyobraźni nazywałam siebie Kor—delią.

— Lubię imię Anna. Tak nazywała się moja matka. Starodawne imiona były i są dla mnie najmiłsze i najpiękniej brzmiące. Ale jeżeli pani chce podać herbatkę, to proszę mi tymczasem do pogawędki przysłać swego męża. Od chwili kiedy tu przysłam, leży na otomanie w swoim gabinecie i śmieje się z tego wszystkiego, o czym tu gładzimy.

— Skądże pani o tym wiedziała? — krzyknęła Ania zbyt zdumiona tym niezwykłym przykładem niesamowitej wszechwiedzy panny Kornelii, by zdobyć się na jakąś grzeczną wymówkę.

— Widziałam go siedzącego obok pani, kiedy szłam przez łąkę, a poza tym znam już te sztuczki — odpowiedziała panna Kornelia. — Tak... skończyłam moją sukieneczkę i ósmy dziecinek może przyjść na świat, jak i kiedy mu się będzie podobało.



# IX. Wieczór w morskiej latarni

Dopiero w ostatnich dniach września mogła Ania z Gilbertem złożyć przyrzeczoną wizytę w latarni Czerech Wiatrów. Kilkakrotnie mieli zamiar tam się udać, wciąż jednak zjawiała się jakaś przeszkoda. Kapitan natomiast kilka razy już wpadał do małego domka.

— Nie znoszę ceremonii, pani Blythe — zapowiedział Ani. — Spędzenie kilku chwil z wami to dla mnie prawdziwa rozkosz, której nie chcę się pozbawić jedynie, dlatego, że nie zdążyliście zająć jeszcze do mnie z wizytą. Tego rodzaju handel powinien być wykluczony między ludźmi, którzy mają Józefa. Ja przyjdę, jak i kiedy będę mógł, państwo zajdziecie do mnie, kiedy wam się nadarzy sposobność. I za każdym razem pogawędzimy sobie, nie zwracając uwagi na to, jakiego rodzaju dach mamy nad głowami.

Kapitanowi ogromnie podobali się Gog i Magog, którzy z taką samą godnością i powagą śledzili losy kominka w małym domku, jak w swoim czasie robili to w Ustroniu Patty.

— Czy to nie najsprytniejsze dwa stworzenia? — mówił z wielkim zadowoleniem i witał ich i żegnał zawsze z taką powagą, jakby robił to z gospodarzami. Nie chciał nigdy urazić bogów domowych brakiem uszanowania lub lekceważeniem.

— Teraz doprowadzila pani swój domek prawie do doskonałości — powiedział pewnego razu do Ani. — Nigdy przedtem nie wyglądał tak ślicznie. Pani Selwyn miała taki sam dobry gust jak i pani i ona również dokonywała cudów; ale w owych czasach ludzie nie znali ani takich pięknych firanek, ani obrazów, ani też takich uroczych drobiazgów jak teraz. Co się tyczy Elżbiety, to żyła raczej przeszłością. Pani wniosła do domu trochę przyszłości, że tak powiem. Ja bylbym zupełnie szczęśliwy, nawet gdy byśmy nie rozmawiali podczas naszych wizyt; wystarczyłoby mi samo patrzenie na panią, na panine obrazi i kwiatki. Wszystko to takie cudowne, cudowne...

Kapitan Jim był gorącym czcicielem piękna. Każda miła rzecz, o której słyshał albo którą widział, napelniała go wewnętrzną wielką i głęboką radością, upiększającą mu życie. Równocześnie zdawał sobie sprawę z tego, że sam był brzydki, i bardzo nad tym ubolewał.

— Mówią ludzie, że jestem dobry — zauważył przy pewnej rozmowie z irytacją. — Ale czasem sobie życzę, ażeby Pan Bóg zrobił mnie o połowę mniej dobrym, a zużył drugą połowę na poprawę mego zewnętrznego wyglądu. Chociaż sądzę, że musiał wiedzieć, jako Dobry Kapitan, co czyni. Niektórzy z nas muszą być brzydkimi — inaczej inni, jak na przykład pani Blythe — nie mieliby sposobności jaśnieć tym większą urodą.

W końcu jednego wieczora Ania i Gilbert udali się do latarni Czerech Wiatrów. Dzień był początkowo smutny, owinięty w mgły i szare chmury, lecz pod wieczór zamienił się w symfonię złota i szkarlatu. Dlatego, za przystanią i za pagórkami, pod burszty nową głębią niebios, zachodzące słońce rzuciło na ziemię ogniste promienie. Od północy niebo pokryte było puszystymi, złotem przeżyłanymi i chmurkami. Słońce zabarwiło czerwienią rozpięte żagle statku pływającego do jakiegoś dalekiego portu w krainie palm, a dalej promienie te z siłą uderzyły i zalały purpurą błyszczące, białawe, pozbawione trawy połacie wydm piaszczystych. Po prawej stronie promienie te padły na stary dom nad strumykiem, ukryty między wierzbami, i na jedną chwilkę uzczyły mu okien wspanialszych aniżeli w jakiejś starej katedrze. Zabyły one w ciszy i szarzyźnie domu na kształt pulsującej i żywej duszy, zamkniętej w smutnej i monotonnej lupinie.

— Ten dom nad strumykiem robi wrażenie wielkiej samotności — powiedziała Ania. — Nigdy nie widziałam, żeby kto siedł w tamtą stronę w gościnie. Prawda, że jest on frontem zwrócony do drogi, ale jakoś nie mam wrażenia, aby tam było dużo ruchu. Dziwne to, że Moore'ów jeszcze dotychczas nie spotkałam, mimo że mieszkają nie dalej jak piętnaście minut od nas. Bardzo zreszta możliwe, że widziałam ich kiedyś w kościele, ale nie znając nie mogłam poznać. Szkoda, że jako nasi najbliżsi sąsiedzi, tak mało się udzielają.

— Widocznie nie należą do ludzi znających Chózefa — zaśmiał się Gilbert. — Czyś się już dowiedziała, kto była ta dziewczyna, o której mówiłaś, że jest taka piękna?

— Nie. Jakoś nie pamiętałam, żeby się o to zapytać. Ponieważ jej nigdy więcej nie spotkałam, sądzę, że musiała być jednak przyjezdna. No, słońce się schowało — a oto i latarnia.

Z chwilą nastania większego mroku potężna latarnia zaczęła przecinać pasami światła pola, przystań, wał z piasku i odnogę morską.

— Mam wrażenie, jak gdyby promień takiego światła chciał mię porwać i rzucić o mile całe, daleko w morze — rzekła Ania w chwili, kiedy ją całą zalał snop światła, i prawie z ulgą westchnęła, gdy o tyle zbliżyła się do latarni, że to oślepiające, a wciąż powracające blaski nie mogły jej już więcej dosięgnąć.

Kiedy skierowali swe kroki na małą drożynę prowadzącą do przyładka, na którym stała latarnia, wyszedł z przeciwnej strony człowiek o tak niezwykłym wyglądzie, że na chwilę oboje szeroko rozwarli oczy. Bez wątpienia był to piękny mężczyzna, wysoki, barczysty, o regularnych rysach, rzymskim nosie i szczerych, siwych oczach; ubrany był w odświętny strój zamoznego wieśniaka; mógł być jakimkolwiek mieszkańcem Czerech Wiatrów albo Glen. Fantastyczne wrażenie jednak sprawiała zakrywająca pierś i sięgająca mu prawie że do kolan, długa, kędzierzawa broda; ciekawe było, że i z tyłu, spod kapelusza, spadała mu na ramiona równie długa kaszka gęstych, ciemnych włosów.

— Aniu — szepnęł Gilbert, jak oddalili się już tak daleko, że nie można ich było słyszeć — czyś ty nie wlała do lemoniady, którąś mi dała przed wyjściem, jakichś kropeł?

— Ależ nie, nie — odrzekła Ania tłumiąc śmiech, by go nie usłyszała przypadkiem oddalająca się zagadkowa postać. — Na miły Bóg, kto to może być?

— Nie wiem; ale jeżeli kapitan trzyma u siebie zjawę tego rodzaju, będę tu musiał przychodzić z bryłą zimnej stali w kieszeni. To nie był marynarz. W tym bowiem wypadku można by mu przebaczyć niezwykłość jego wyglądu; raczej mi się, że należy do któregoś z rodów zamieszkujących drugą stronę przystani. Wuj Tomasz powiada, że oni mają tam różne dziwactwa.

— Wuj Tomasz jest trochę uprzedzony, mam takie wrażenie. Wiem przecież, że ludzie z tamtej strony, którzy przychodzą do kościoła, wszyscy wyglądają bardzo przyzwoicie. Ach, Gilbertcie, czy to nie cudowne?

Latarnia Czerech Wiatrów zbudowana była na cyplu skalistym z czerwonego piaskowca, wybiegającym w głąb odnogi morskiej. Z jednej strony rozciągał się srebrzysty pas zapory piaskowej, z drugiej zaś strony wilo się długie, kręte wybrzeże, posielane czerwonymi, stromymi skałami. Był to brzeg, któremu nie obce były tajniki burz szalonych i pogodnych nocy gwiazdzystych. Na takich wybrzeżach panuje zawsze wielka samotność. Lasy nigdy nie znajdują takiej samotności. Wiecznie w nich coś szepcze i wola i pełne są wciąż radosnego życia... Ale morze — to potężna dusza, nieustannie skarżąca się na jakąś wielką, nie dającą się utulić boleść, zamkniętą w sobie po wieczne czasy. Nigdy nie będziemy w stanie zgłębić tej nieskończonej tajemnicy, możemy tylko wędrować z uczuciem głębokiej czci i oczarowania po jej wąskim kraju. Lasy przemawiają do nas tysiącem głosów; morze zna tylko jeden głos, potężny, urzekający naszą duszę swą wspaniałą harmonią. Lasy są ludzkie, natomiast morze zdaje się mieć w sobie coś z potęgi niebios.

Ania i Gilbert zastali kapitana siedzącego na ławce przed więzją latarni, wykańczającego pełnoząglowy, malutki okręcik. Ujrawszy gości, wstał i przywitał ich z miłą, naturalną uprzejmością, z którą tak mu było do twarzy.

— Ładny mieliśmy dziś dzień, pani Blythe, ale najpiękniejsza jego część dopiero teraz przychodzi. Czy zechcecie państwo usiąść tu na dworze, jak długo jeszcze jest trochę widno? Ja w tej chwili wykończyłem małą zabawkę dla mego siostrzeńca w Glen. Załowałem nawet swego przyrzeczenia, bo jego matka z tego powodu trochę się na mnie gniewała. Obawia się, że później jej jedyny syn zechce uciec na morze, i wcale sobie nie życzę, aby takie zabawki już teraz go do tego zachęcały. Ale co ja mogę zrobić, pani Blythe? Przyrzekłem i uważam, że byłoby nieładnie nie dotrzymać obietnicy danej dziecku. Ale proszę usiąść. Taka mała godzinka szybko minie.

Wiatr dął od strony ładu i tworzył na gładkiej powierzchni morza długie, srebrzyste zmarszczki, zostawiając na nim jasne zarysy — cienie nadbrzeżnych skał, przelatujące na kształt przezroczytych skrzydeł. Zmrok zarzucił fioletową zasłonę na wydmy piaszczyste i na skały, wśród których tulily się mewy. Niebo lekko przysłonięte było delikatną mgłą. Wzdłuż horyzontu przesuwały się gromady białych chmur. Nad zatoką ukazała się gwiazda wieczorna.

— Czy nie warto zobaczyć takiego widoku? — zapytał kapitan z dumą gospodarza. — Piękne to i dalekie od miejskiego zgiełku, nieprawdaż? Ani tego kupić nie można, ani sprzedać, ani na tym zarobić. I płacić za to też nie potrzeba. Wolne są i niebo, i morze — bez pieniędzy i bez ceny. Niezadługo wejdzie księżyc i przyznam się, że sam nigdy jeszcze nie byłem zmęczony oglądaniem, jak ta srebrzysta tarcza podnosi się nad skałami, nad morzem i nad przystanią. Za każdym razem jakaś inna w tym tkwiła niespodzianka.

Doczekali się wschodu księżyca, oglądali ten cud i czar w milczeniu, które niczego nie żąda ani od świata, ani od nikogo innego. Potem weszli do wieży, a kapitan pokazał im i objaśnił mechanizm wielkiego światła. W końcu znaleźli się w jadalnym pokójku. Płomienie rozpalonego na kominku ognia splatały się w drzące, rozświetlające się i przysagające barwy. — Sam postawiłem ten kominek — zauważył kapitan. — Rząd jest tego zdania, że pracownikom jego nie należą się takie zbytki. Niech pani patrzy, jakimi barwami mieni się ogień. Gdyby pani potrzebowała dla swego kominka drzewa, jakie morze na brzeg wyrzuci, to mógłbym pani dostarczyć któregoś dnia całą furę. Proszę, siadajcie, państwo. Zaraz przyrządzę herbatę. Kapitan Jim postawił przed Anią krzesło usunąwszy zeń wprzód rudego kota i gazetę.

— Wy nocha, Maciusi, twoje miejsce na sofie. A gazety muszę umieścić w bezpiecznym miejscu, aż znajdę chwilę czasu na przeczytanie drukowanej prasy. Ma ona tytuł: „Szalona miłość”. Nie jest to mój ulubiony temat, ale czytam, aby się dowiedzieć, kiedy to wszystko wreszcie się skończy. Teraz jest sześćdziesiąty drugi rozdział, a narzeczem, jak widzę, wciąż są jeszcze tak daleko od ślubu, jak na początku. Czasami przychodzi tu mój mary siostrzeniec Joe, muszę mu wtedy czytać „Historię o piratach”. Czy to nie dziwne, że takie niewinne stworzenia jak dzieci lubują się w najkrwawszych opowieściach? — Zupełnie jak mój Tazio w domu — powiedziała Ania. — Słucha ty lko bajek dyumiących krwią.

Pokazało się, że herbata kapitana to prawdziwy nektar. Jak dziecko cieszył się z pochwał, którymi obсыpywała go Ania, na zewnątrz jednak zachował maskę zupełnej obojętności.

— Cały sekret w tym, że nigdy nie zbieram śmietanki — zauważył z dumą. Kapitan nie słyszał wprawdzie nigdy o Olivierze Wendell Holmesie<sup>\*</sup>, ale widocznie zgadzał się z twierdzeniem tego pisarza, że „wielkie serca nie zadowolają małym garnuszkiem śmietanki”.

— Spotkałiśmy taką cudaczną postać idącą pańską drogą — zauważył Gilbert popijając herbatę. — Kto to taki by?

Kapitan uśmiechnął się.

— To był marszałek Elliot. Wybitnie miły człowiek, który na jednym punkcie tylko trochę jest pomyłony. Przypuszczam, że zdziwilo państwa, co go też mogło skłonić, by z siebie zrobić pewnego rodzaju okaz muzealny?

— Czy to nowoczesny Nazaretanin, czy może prorok żydowski, który cudem zachował się do naszych czasów? — zapytała Ania.

— Nie podobnego. Polityka leży u sedna całego tego dziwactwa. Wszyscy ci Ellioci, Crawfordowie, MacAllisterzy to zapamiętali politycy. Każdy z nich rodzi się albo liberałem, albo konserwatystą, takim żyje i takim w końcu umiera, a co oni robią w niebie, gdzie w mym przeświadczeniu nie ma żadnej polityki, to jest już więcej, aniżeli mogę zbać. Marszałek Elliot urodził się jako liberał. Ja sam jestem umiarkowanym zwolennikiem tego stronnictwa, ale nie ma umiarkowania pod tym względem u marszałka. Piętnaście lat temu odbywały się wyjątkowo gorące wybory. Marszałek walczył rękami, nogami i głową na korzyść swojej partii. Był zupełnie pewien, że zwyciężą liberałowie — tak pewny, że na jednym zebraniu przysiągł, iż nie zgoli brody i nie zetnie włosów dopóty, dopóki liberałowie nie dojdą do władzy. Stało się tak, że nie wygrali wówczas i nie zwyciężyli do dnia dzisiejszego — a wynik tego widzieli państwo dzisiejszego wieczora. Marszałek dotrzywał słowa.

— A cóż o tym myśli jego żona? — zapytała Ania.

— On nie jest żonaty. Ale nawet żona, gdyby ją miał, nie byłaby w stanie zmusić go do złamania przysięgi. Cała rodzina Elliotów była taka niesamowicie uparta. Brat marszałka, Aleksander, miał psa, którego bardzo cenił. A kiedy pies zdechł, temu człowiekowi naraz zachciało się pochować go na cmentarzu, jak mówił, razem z innymi, chrześcijańskimi duszami. Nie pozwolono na to, wówczas pochował psa tuż za parkanem cmentarnym i od tego czasu nigdy nie pokazał się w drzewiach świątyni. W niedzielę przywoził całą rodzinę do kościoła, a sam siadał na mogiłce psa i czytał podczas całego nabożeństwa Biblię. Powiadają, że przed śmiercią prosił żonę, aby go pochowała tuż obok psa. Na ogół była to kobieta spokojna i uległa, ale wówczas i ją wyprowadził swoim żądaniem z równowagi. Powiedziała, że nie chce być pochowana w takim miejscu, a jeśli on woli po śmierci leżeć obok zwierzęcia aniżeli obok niej, to niech tak będzie. Aleksander Elliot był upartym człowiekiem, ale żonę kochał, ustąpił więc i powiedział: „No to pochowaj mnie, gdzie chcesz, ale jak zażrmią trąby archanioła Gabriela, jestem pewien, że i mój pies powstanie razem z nami wszystkimi, ponieważ ty le w nim było duszy, co w każdym Elliocie, MacAllisterze i Crawfordzie”. To były ostatnie jego słowa. A co się tyczy marszałka, to myśm się doń przyzwyczaili. Obcy jednak muszą patrzeć na niego jak na dziwoląga. Ja go znałem, jak miał dziesięć lat. Teraz ma ich pięćdziesiąt i lubię go. Dziś obaj jeździliśmy razem na połow szkofiszów. To wszystko, do czego się obecnie nadaję: łowienie od czasu do czasu strągów i innych ryb. Nie zawsze tak jednak było. Dokonywało się i innych rzeczy, co zresztą musiałyby pani przyznać, gdyby pani przeczytała księgę mojego życia.

Ania chciała właśnie spytać o tę księgę życia, ale przeszkodził jej kot Maciusi, który wskoczył kapitanowi na kolana. Było to wspaniałe stworzenie z pyszczkiem okrągłym jak księżyc w pełni, żywymi, zielonymi ślepiami i pięknymi, białymi łapami. Kapitan delikatnie gładził go po aksamitnym grzbiecie.

— Nigdy nie miałem wielkiego wyobrażenia o kotach, póki nie znalazłem Maciusia — zauważył przy akompaniamencie głośnego mruczenia. — Uratowałem mu życie, a stworzenie, któremu uratowało się życie, musi się lubić. To prawie tak samo, jakby się dało życie. W świecie znajduje się ogromnie dużo bezmyślnych ludzi, pani Blythe. Niektórzy z mieszcuchów, co to mają letnie mieszkania nad przystanią, są tak bezmyślni, że dochodzą w tym do okrucieństwa. Jest to najgorszy rodzaj zbrodni, takie bezmyślne okrucieństwo. Nie sposób z tym walczyć. W lecie trzymają sobie koty, żywią je i pieszczą, ubierają we wstążeczki i kryzy, a kiedy zbliża się zima, odjeżdżają do miasta, zostawiając biedne stworzenia bez opieki na głód i zimno. Krew się we mnie burzy, jako o tym myślę. Pewnego razu, w zimie, znalazłem na brzegu zmarzniętą kotkę, leżącą obok ciałek swych trojga wygłodzonych kociąt. Zmarzała, starając się utulić je swoją drobną postacią. Obemywała je małymi łapkami. Boże, krzyczałem wówczas i kłąłem. W końcu zabrałem kocięta do domu, odkarmilem i znalazłem dla każdego jakiś przytulek. Znałem panią, która je tak porzuciła. Poszedłem do niej do domu i powiedziałem jej w oczy moje o tym zdanie. Wiem, że to jest mieszanie się do nie swoich rzeczy. Ale w dobrej sprawie i to jest czasami konieczne.

— Jak ona to przyjęła? — spytał Gilbert.

— Rozplakała się i powiedziała, że „nie myślała o tym”. A ja jej powiedziałem: „Czy pani sobie wyobraza, że to będzie dostateczna wymówka na sądzie ostatecznym, jak przyjdzie pani odpowiadać za życie tej nieszczęsnej matki? Mam wrażenie, że Stwórca zapyta panią wówczas, na co dał pani mózg właściwie, jeżeli nie w tym celu, aby pani myślała”. Przypuszczam, że drugi raz nie zostawi kotów, by z głodu ginęły.

— Czy Maciusi jest również jednym z tych opuszczonych? — zapytała Ania darząc go pieszczotą, która została przyjęta mručeniem.

— Tak. Znalazłem go w pewien zimowy dzień, zaczepionego na tym głupim naszyjniku z kokardy, między gałązkami drzew. Prawie że zdychał z głodu. Gdyby pani mogła widzieć jego oczy, pani Blythe! To był mały kociak i prawdopodobnie byłby się w jakiś sposób potrafił uchwycić przez zimę, gdyby nie to, że się zaczepił o gałęzie. Gdy uwolnilem go z przykrego położenia, wtedy swoim czerwonym języczkiem polizał mi rękę. Nie był to dzielny marynarz, jakiego pani widzi, tylko takie sobie łagodne stworzonko. Było to dziewięć lat temu. Jakna kota ma długi żywot i jest moim dobrym towarzyszem, cały ten Maciusi.

— Raczej spodziewałem się, że pan będzie miał psa — rzekł Gilbert.

Kapitan potrząsnął głową.

— Miałem raz psa. Tak go kochałem, że kiedy zakończył życie, nie chciałem już więcej innego szukać na jego miejsce. To był przyjaciel. Czy pani rozumie, pani Blythe? Maciusi to tylko towarzysz. Lubię go, i to tym więcej, że tkwi w nim jakaś szczypta złośliwości — jak zresztą we wszystkich kotach. Ale mego psa kochałem. Zawsze czulem sympatię do Aleksandra Elliota z powodu jego przywiązania do psa. W dobrym psie nie ma złości. I to jest przyczy na, dlaczego psy więcej dają się lubić aniżeli koty. Inna rzecz, że nie są tak interesujące. Ale widzę, że zaczynam już dużo mówić. Czemu mnie państwo nie powstrzymacie? Jak tylko znajdę dobrych słuchaczy, staję się zupełnie niezmośny. Po skończeniu herbatki pokażę państwu trochę drobiazgów, jakie znalazłem w rozmaitych dziwnych zakątkach, w których zdarzyło mi się przebywać.

Pokazało się, że te „trochę drobiazgów” kapitana Jima to niezwykła kolekcja osobliwości — i brzdękich, i dziwnych, i pięknych. A prawie do każdej rzeczy przywiązana była jakaś historia.

Ania nigdy nie zapomniała rozkoszy, z jaką słuchała tych starych opowieści, siedząc w tę księżycową noc przy czarowanym kominku, podczas gdy srebrzyste morze wołało na nią przez otwarte okno i z łkaniem rozbijało się o nadbrzeżne skały.

Kapitan Jim nie chętnił się swoimi czynami, ale trudno było nie widzieć, co to był za człowiek pełen pomysłów, szczery, wiorny, bezinteresowny. Siedział w swoim pokoiku przed sympatycznymi słuchaczami i do życia przywoływał dawne obrazy. Jednym podniesieniem brwi, skrzywieniem ust, jednym ruchem albo słowem odmalowywał tak dokładnie jakieś zdarzenie, że wszyscy zdawali się widzieć je w rzeczy wistoci.

Niektóre przygody kapitana Jima były tak niezwykłe, że Ania i Gilbert w duszy żywili pewne wątpliwości, czy też rzeczywiście miały one miejsce. Ale w tym — jak się później przekonali — nie mieli racji. Wszystkie jego opowiadania były bezwarunkowo prawdziwe, a taki dar wymowy miał kapitan Jim, iż jego historie jak żywe stawały im przed oczyma.

Ania i Gilbert to śmieli się, to wstrząsali słuchając jego opowieści. Ania w pewnej chwili rozplakała się. Kapitan z zadowoleniem patrzył na lezki spływające po jej twarzy.

— Lubię, jak ludzie w ten sposób płaczą — powiedział. — To dla mnie pochwała. Niestety, nie mogę zrobić należytego użytku z tego wszystkiego, co widziałem albo w czym brałem udział. Odnotałem te wszystkie zdarzenia w mej księżce, ale cóż, nie mam dość wprawy, by je opisać w pięknych słowach. Gdybym potrafił ubrać wszystko w odpowiednią formę, co też to za księżkę mógłbym stworzyć! Pobiliłbym na pewno „Szaloną miłość”, a Joe by ją chętniej czytał aniżeli historie o piratach. Tak, tak... Przeżyłem rozmaite przygody w moim życiu. I wie pani, ciągle za nimi tęsknię. Stary jestem i beuzyteczny, a przecież przychodzi chwile, kiedy wielka tęsknota mnie ogarnia, aby popłynąć daleko, daleko i na zawsze.

— Chciałby pan, jak Ulisses, „popłynąć daleko, poza zachód słońca i poza drogi, którymi i wędrują gwiazdy na zachodnim niebie i tak aż do śmierci?” — zadeklaowała w rozmarzeniu Ania.

— Ulisses, tak czytałem o nim. Tak, tak... to jest to, co ja odczuwam i co, jak myślę, odczuwają wszyscy żeglarze. A w końcu będę musiał, zdaje się, mimo wszystko, umrzeć na lądzie. Ha, co się ma stać, to się stanie. Był taki Wilhelm Ford w Glen, który się nigdy nie chciał puścić na morze ze strachu przed zatonieniem. Jakaś wróżka mu to przepowiedziała. Aż raz pewnego zemdlał, upadł twarzą do koryta z wodą i utopił się.

Czy już musicie państwo iść? Ale proszę przyjść znowu i proszę często przychodzić. Na drugi raz na doktora będzie kolej opowiadać. Wie dużo rzeczy, o których i ja chciałbym się dowiedzieć. Ja tu czasami czuję się bardzo samotny. A sytuacja pogorszyła się od czasu śmierci Elżbiety Russel. Byliśmy z sobą w wielkiej przyjaźni.

Kapitan mówił ze wzruszeniem starego człowieka, który widzi swych przyjaciół usuwających się, jeden za drugim, przyjaciół, których miejsce nie może być zajęte przez ludzi młodszej generacji, i to nawet takich, co znają Józefa. Ania i Gilbert obiecali zajść wkrótce i w ogóle przychodzić często.

— To rzadki człowiek — zauważył Gilbert w drodze powrotnej.

— To dziwne, ale ja nie mogę pogodzić jego prostej i milej osoby z tym dzikim, awanturniczym życiem, jakie prowadził — rozmyślała Ania.

— Wcale by ci to nie przyszło tak trudno, gdybyś go widziała kilka dni temu w rybackiej wiosce, nad brzegiem morza. Pewien człowiek z łodzi Piotra Gautier pozwolił sobie na brzydką uwagę w stosunku do dziewczyny stojącej nad brzegiem. Kapitan prawie że spalił chłopaka ogniem swego wzroku. Zmienił się w jednej chwili nie do poznania. Nie mówił dużo. Ale jak on to zrobił! Myślałabyś, że skórę z niego żywcem zdart. Wiem, że kapitan nie znosi, aby w jego obecności obrażano kobiety.

— Ciekawa jestem, dlaczego on się nie ożenił — powiedziała Ania. — Powinien by mieć teraz synów, którzy by na własnych okrętach wypływali na dalekie morza, i wnuków wdrapujących mu się na kolana, którym by opowiadał swe przygody. Tak! to człowiek. A tymczasem jest sam i całym jego towarzystwem jest duży kot.

Ale Ania myliła się. Kapitanowi zostało jeszcze coś — jego wspomnienia.





# X. Ewa Moore

Dziś wieczór pójdę przejść się dalej wzdłuż skalistych brzegów — zapowiedziała Ania Gogowi i Magogowi pewnego październikowego dnia. Nie miała nikogo innego, komu by mogła to oznajmić, bo Gilbert poszedł aż na przystań.

Całe gospodarstwo lśniło największą czystością, jak zresztą można się było spodziewać po osóbcie wychowanej przez Marylę Cuthbert, i Ania czuła, że z czystym sumieniem może udać się nad brzeg morza. Częste i rozkoszne były te jej wędrowki wzdłuż wybrzeża, czasem wspólnie z Gilbertem, czasem i z kapitanem, a czasem tylko z własnymi myślami i nowymi, słodkimi marzeniami, które zdawały się barwami tęczy otaczać jej obecne życie. Lubiła i łagodny, zamglony brzeg przystani, i srebrzysty, nawiedzany wichrami wał piaszczysty, ale najchętniej szła u stóp skał z ich kamiennymi jaskiniami zmywanymi falą i małymi zatokami usłanymi błyszczącymi kamyczkami i żwirem. W stronę tego brzegu skierowała Ania owego wieczoru swe kroki.

Przez trzy dni szalała burza jesienna, połączona z ulewą i wyciem wichru, na kształt grzmotu waliły fale, rozpryskując się białą pianą o skały i wały wymy piaszczystej. Zniknął na czas jakiś błękit i spokój Przystani Czterech Wiatrów. Wszytko to minęło jednak i brzeg spoczywał w tej chwili omyty wodami mórz, otulony w ciszę, której nie mącił najłżejszy wietrzyk, przerywał ją tylko szum fal uderzających miarowo i jednostajnie o skały.

— Oto chwila, dla której warto przecierpieć tygodnie burz i utrapień! — zawołała Ania stojąc na szczycie nadbrzeżnej skały i spoglądając w beznierną dal rozigranych wód. Potem zesza wąską ścieżynką w dół aż do małej zatoki, która ze wszech stron zdawała się być zamkniętą skalami, wodą i niebem.

— Tu muszę zatańczyć i zaśpiewać! — zawołała. — Mewy z pewnością nie rozniosą tej wieści po świecie, tu mogą sobie pozwolić na każde szaleństwo, jakie mi się podoba.

Uniosła trochę sukienkę i zaczęła tańczyć wzdłuż ubitego piasku nad samym brzegiem, tak aby jej tylko nie dosięgły fale, które mimo to zdawały się ostatnim wysiłkiem dobiegać do jej stóp. Wirując w ten sposób dookoła, dobiegła uradowana jak małe dziecko do skały osłaniającej od wschodniej strony zatokę i tu nagle zatrzymała się, a twarzą jej oblała się purpurą: nie była sama — był świadek jej tanów i radosnego śmiechu.

Dziewczyna o złotych włosach i błękitnych oczach spoczywała na dużym kamieniu, schowana na polę przez wystającą skałę. Patrzyła na Anię z dziwnym wyrazem. Malował się na jej twarzy częściowo podziw, częściowo sympatia, a częściowo jakby i zazdrość. Była bez kapelusza, a jej włosy podobne więcej niż kiedykolwiek do „wspaniałego węża” przytrzymywane były czerwoną wstążką. Miała na sobie sukienkę z ciemnego materiału, bardzo prosto skrojoną. Kibic jej była ściągnięta w sposób uwydatniający jej śliczne kształty paskiem z czerwonego jedwabiu. Ręce, złożone na kolanach, były brązowe i wydawały się spracowane, natomiast skóra na szyi i na policzkach przypominała białość śmietanki. Przelotny promień zachodzącego słońca na kształt strzały przebił chmurę i zaplała się w jej włosach. Na chwilę zdawało się, że jest ona ucieleśnioną wróżką mórz, ich tajemniczością, miłością i czarem.

— Boże! Pani pomyśli, że zwiariowałam — wyjąkała Ania starając się odzyskać panowanie nad sobą. To było straszne,, że właśnie ta piękna dziewczyna na musiała widzieć ją, poważną panią Blythe, obowiązaną do zachowania godności mężatki, w stanie takiego dzieciennego podniecenia. — Nie — odpowiedziała dziewczyna — wcale tak nie myślę. Nic więcej nie dodała, głos jej był bez wyrazu, całe jej zachowanie trochę zimne. Ale w oczach jej było coś — jakaś ciekawość i lęk i wyzwanie, i prośba — co spowodowało, że Ania nie poszła dalej, lecz usiadła na kamieniu obok dziewczyny.

— Musimy się zapoznać — rzekła Ania z uśmiechem, który zdobywał jej zawsze nowych przyjaciół. — Nazywam się Anna Blythe i mieszkam w tym małym domku nad brzegiem przystani.

— Wiem — odparła dziewczyna — a ja jestem Ewa Moore; Ryszardowa Moore — dodała sztywno.

Ania na chwilę umilkła ze zdziwienia, nigdy nie przyszło jej na myśl, że osoba ta mogła być mężatką, tak na to nie wyglądała. I to miała być ta sąsiadka, którą Ania wyobrażała sobie jako zwykłą gosposię Czterech Wiatrów? Nieprędko się udało Ani przy stosować swój umysł do tej niezwykłej nowiny.

— W takim razie to pani mieszka w tym domku, jak się idzie w górę strumyka? — wyjąkała.

— Tak Powinnam była już dawno panią odwiedzić — powiedziała tamta. Nie dodała żadnej wymówki ani wyjaśnienia, dlaczego tego nie zrobiła.

— Tak bym chciała, żeby pani do mnie zaszła! — rzekła Ania odzyskując równowagę. — Jesteśmy takimi bliskimi sąsiadka — „mi i powinnyśmy zawrzeć przyjaźń. To jedy na zła strona Czterech Wiatrów, że mamy mało sąsiadów, bo poza tym są one samą doskonałością.

— Czy się pani tu podoba?

— Czy mi się podoba? Jestem zakochana w tych stronach — to najpiękniejszy zakątek, jaki kiedykolwiek widziałam.

— Nie widziałam w życiu dużo innych okolic. — z wolna odparła Ewa Moore — ale zawsze myślałam, że tu jest bardzo pięknie. Ja... Ja również bardzo kocham ten zakątek

Mówiła taksamo, jak patrzyła: gorąco, ale lekko. Ania miała wrażenie, że ta niezwykła dziewczyna — słowo dziewczyna na nie mogło jej wyjść z głowy — mogłaby powiedzieć o wiele więcej, gdyby chciała.

— Często tu przychodzę nad brzeg — dodała.

— Ja również! — zawołała Ania. — Aż mi się dziwnym wydaje, że dotychczas nie spotkałyśmy się.

— Prawdopodobnie pani przychodzi wcześniej aniżeli ja; zwykle jestem tu bardzo późno: już jak jest ciemno. Poza tym lubię przychodzić po burzy, jak dzisiaj; mnie się nie podoba morze ciche i spokojne, ja lubię walkę, grzmot i szum.

— A ja je lubię zawsze — powiedziała Ania. — Morze w Czterech Wiatrach jest dla mnie tym samym, czym Aleja Zakochanych była w domu. Dziś wydawało mi się ono takie wolne, nieujarzmione, aż we mnie samej coś się wyzwoliło i zaczęłam tańczyć. Oczywiście nie przypuszczałam, że ktoś na mnie będzie patrzył. Gdyby mnie widziała panna Kornelia Bryant, miałaby okazję do przepowiedzenia ciemnej przyszłości biednemu młodemu doktorowi Blythe.

— Pani zna pannę Kornelię? — zaśmiała się Ewa. Cudownie zabrzmiał jej śmiech; w jasnym i nieoczekiwanym jego dźwięku slyszalo się dziwną nutę, jak w śmiechu dziecka. Ania również się roześmiała.

— Ależ tak, była kilkakrotnie w moim wymarzonym domku.

— W pani wymarzonym domku?

— No tak, to jest taka kochana, głupia nazwa, jaką daliśmy naszemu domowi. Tylko między sobą go tak nazywamy; wymknęła mi się, zanim o tym pomyślałam.

— Więc mały, biały domek panny Russel jest pani wymarzonym domkiem? — ze zdumieniem powiedziała Ewa. — Ja także miałam wymarzony dom, ale to był pałac — dodała ze śmiechem, którego słodycz załagodziła szczyptę szyderstwa.

— Ach, kiedyś i ja marzyłam o pałacach — rzekła Ania. — Sądzę, że wszystkie dziewczęta o tym myślą. A potem urządzamy się w paru pokojach i jesteśmy zadowolone, bo nasz wymarzony książę w nich mieszka. Ale pani powinna mieć pałac, jest pani taka piękna. Pani mi musi pozwolić, abym pani to powiedziała; to musi być powiedziane, ja panią tak podziwiam. Pani jest najśliczniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałam, pani Moore.

— Jeśli mamy być przyjaciółkami, musi mnie pani nazywać Ewą! — zawołała tania z dziwną gwałtownością.

— Alez chętnie, a moi przyjaciele nazywają mnie Anią.

— Tak zdaje mi się, że jestem piękna — ciągnęła dalej Ewa, patrząc na wzburzone morze. — Ale nienawidzę mej piękności. Wolalabym być szara i niepozorna jak najbrzydsza dziewczyna w tej tam wiosce rybackiej. Czy pani dawno zna pannę Kornelię?

Nagła zmiana tematu zamknęła drogę do dalszych wyrzeń.

— Ach, panna Kornelia to kochane stworzenie, prawda? — zawołała Ania. — Byliśmy zaproszeni do niej w zeszłym tygodniu na uroczystą herbatkę. Czy pani słyszała kiedy o „jęczących stołach”?

— Zdaje się, że spotykałam to wyrażenie w dziennikarskich sprawozdaniach weselnych — ze śmiechem odparła Ewa.

— Otóż to, stół panny Kornelii jęczał, a co najmniej trzeszczał. Nie uwierzyłyby pani, że można tyle rzeczy napiec dla dwojga ludzi. Były tam wszystkie gatunki ciast i pasztetów. Nie było tylko ciasta cytrynowego. Powiedziała, że przed dziesięciu laty otrzymała nagrodę za tort cytrynowy, że mogłaby stracić raz nabytą w tym kierunku opinię.

— Czyście państwo potrafili zjeść dość ciast, aby zyskać jej uznanie?

— Ja nie. Ale Gilbert, zdaje się, zdołał się jej przypodobać.

Jadł, nie powiem ile. Oświadczyła nam przy tym, że nie zna mężczyzny, który by nie stawał wyżej tortu niż Biblii. Ale ja bardzo kocham pannę Kornelię.

— I ja również — powiedziała Ewa. — To mój najlepszy przyjaciel na świecie.

Anię dziwiło to bardzo, dlaczego — jeżeli tak było — panna Kornelia nie wspominała nigdy o pani Moore. Bo przecież bardzo szeroko rozwodziła się o wszystkich mieszkańcach Czterech Wiatrów i okolicy.

— Czy to nie piękne? — spytała Ewa po chwili, wskazując na małą zatokę, kąpiącą się w ostatnich blaskach zachodzącego słońca, które przebiwszy się przez szczelinę w skałe, zatopiły w niej swe strzały. — Gdybym nic ponadto nie zobaczyła, już by mi wystarczyło, żeby z uczuciem rozkoszy i zadowolenia wrócić do domu.

— Gra światła i cieni na tych brzegach jest cudowna — zgodziła się Ania. — Mój pokójko do szycia ma okna wychodzące na przystań i ja tam najczęściej siedzę i napawam się wspaniałym widokiem. Barwy i światłocienie ani przez minutę nie są jednakowe.

— I nigdy nie czuje pani smutku — spytała nagle Ewa — jak pani jest na przykład sama?

— Nie, nie zdaje mi się, bym się kiedy czuła osamotniona — odparła Ania. — Nawet gdy jestem sama, mam koło siebie prawdziwie miłą kompanię: moje marzenia, rojenia, sny. Lubię czasami być sama, aby przemyśleć rozmaite rzeczy i rozkoszować się nimi. Ale również cenię przyjaźń i miłe, kochane chwile w towarzystwie ludzi. Ach, czy pani nie mogłaby przychodzić do mnie często? Niech pani przyjdzie. Jestem pewna, że mnie pani będzie lubić — dodała śmiejąc się — jak mnie pani bliżej pozna.

— Ciekawam, czyby mnie pani polubiła — z powagą powiedziała Ewa. Nie szukała w tej chwili komplementów. Patrzyła na fale, na których zaczęły się skrzyć ich grzbiety osrebrzone światłem księżyca, i oczy jej spochmurniały.

— Jestem pewna, że tak się stanie — rzekła Ania. — Niech mnie pani nie uważa za jakieś bezmyślne, rozbawione stworzenie dlatego, że tańczyłam na brzegu podczas zachodu słońca. Z pewnością z czasem spoważnieję. Widzi pani, ja od niedawna dopiero jestem mężatką. Czuję się jak dziewczyna, a czasem nawet jak dziecko.

— A ja już jestem od dwunastu lat zamężna — oświadczyła Ewa.

Druga zupełnie niewiarogodna wiadomość!

— Boże, przecież pani nie może mieć tylu lat co ja! — zawołała Ania. — Pani chyba jako dziecko wyszła za mąż?

— Miałam szesnaście lat — rzekła Ewa wstając i zabierając leżący obok berecik i palto. — Teraz mam dwadzieścia osiem. Tak... Muszę już wracać do domu.

— I ja również. Gilbert prawdopodobnie już jest w domu. Ale taka jestem rada, że spotkałyśmy się dziś wieczorem tu, na brzegu.

Ewa nic na to odrzekła i Ania czuła się trochę dotknięta. Ona szczerze zaoferowała swoją przyjaźń, która jednak nie bardzo łaskawie była przyjęta, o ile w ogóle nie została odrzucona. W milczeniu weszły na skałę i szły przez pastwiska, których białawe, puszyste trawy rozciągały się w świetle księżyca jak jakiś olbrzymi, aksamitny kobierzec. Skoro doszły do drogi nad brzegiem, Ewa zatrzymała się.

— Muszę iść w tę stronę, pani Blythe, pani przyjdzie kiedy do nas, żeby mnie odwiedzić, prawda?

Ani zdawało się, że to zaproszenie nie było szczerze: miała wrażenie, że pani Moore tylko niechętnie je wymówiła.

— Przyjdę, o ile pani doprawdy tego sobie życzy — odrzekła zimno.

— Ależ koniecznie. — zawołała Ewa gorąco, jakby po zwalczeniu jakiejś niewidzialnej zapory.

— W takim razie przyjdę. Dobranoc... Ewo!

— Dobranoc, pani Blythe!

Ania wróciła do domu i opowiedziała całą przygodę Gilbertowi.

— Ach, w takim razie pani Ryszardowa Moore nie należy do ludzi, którzy znają Józefa — śmiejąc się, zauważył Gilbert.

— Niezupełnie, ale mam wrażenie, że kiedyś należała do ich grona, tylko później ją stamtąd wyrzucono albo sama od nich odeszła — myślała głośno Ania. — Ona jest zupełnie inna niż wszystkie kobiety z okolicy. Nie można z nią rozmawiać o jajkach i o maśle. I pomyśl, że ja ją uważałam za drugą panią Małgorzatę Linde! Czyś ty kiedy widział Ryszarda Moore?

— Nie. Widziałem, że na polach, koło folwarku, pracowało wiele ludzi, ale nie wiem, który z nich był Ryszardem Moore.

— Ani razu o nim nie wspomniała, czuję na pewno, że nie jest szczęśliwa.

— Z tego, co mówisz, wnioskuję, że wyszła za mąż, nim doszła do wieku, w którym mogłaby coś pewnego orzec o swoim sercu i umyśle, a potem już za późno dowiedziała się, że popełniła omyłkę. Te tragedie, niestety, dość często się zdarzają, Aniu. Panią Moore widocznie nastroiły te przejścia bardzo gorzko i zniechęciły do ludzi.

— Nie sądzmy jej, póki nie dowiemy się czegoś pewnego — prosiła Ania. — Nie myślę, aby jej sprawa tak się przedstawiała. Zrozumiesz jej urok, jak ją zobaczysz, Gilbercie, to jest coś zupełnie odmiennego od jej piękności. Czuję, że to bogata natura, gdzie prawdziwy przyjaciel może wejść jak do królestwa; z jakichś powodów jednak zamyka się przed ludźmi i zachowuje dla siebie tylko swe zalety, nie pozwalając im rozwinąć się ani zakwitnąć. Otóż to właśnie! Cały czas, odkąd się z nią poznałam, starałam się stworzyć sobie obraz jej charakteru, aż teraz wreszcie udało mi się to, przypuszczam, dokładnie. Zapytam o nią pannę Kornelię.



# XI. Historia Ewy Moore

Tak, tak, ósme dziecko przyszło na świat dwa tygodnie temu — powiedziała panna Kornelia do Ani, siadając na bujającym fotelu przy kominku w pewien zimny dzień październikaowy. — Jest to dziewczynka. Fred był wściekły, krzyczał, że zyczyl sobie chłopaka, a naprawdę to wcale nie chciał żadnego dziecka. Jakby się urodził chłopak, wołałby dziewczynkę. Mają już cztery dziewczyny i trzech chłopaków i nie widzę, żeby to stanowiło taką ważną kwestię, czy m jest ten ósmy dzieciak. Oczywiście, Fred musiał krzykiem okazać swe niezadowolone, jak prawdziwy mężczyzna. Dziecko wygląda naprawdę bardzo ładnie w swoich pięknych sukieneczkach, ma czarne oczki i najmiłsze drobne rączny.

— Muszę je zobaczyć, tak bardzo lubię dzieci — powiedziała Ania uśmiechając się na pewną myśl zbyt drogą i świętą, aby ją ubrać w słowa.

— Przyznaję, że one są strasznie kochane — zgodziła się panna Kornelia. — Ale niektórzy ludzie mają ich zaiste więcej, niż potrzebują, niech mi pani wierzy. Moja kuzynka w Glen miała ich jedenaścioro. I co z niej teraz za męczennica! Jej mąż odebrał sobie życie trzy lata temu.

— Co go do tego skłoniło? — spytała Ania trochę przestraszona.

— Nie udało mu się jakaś sprawa i skoczył do studni. Wesole rozwiązanie kwestii! Był to urodzony tyran. I oczywiście zepsuł całą studnię. Flora nigdy nie mogła się zdecydować, aby czerpać stamtąd wodę, biedactwo. Wskutek tego musiała kopać nowy dół i to pociągnęło za sobą duże koszty, a woda smakowała jak żelazo. Jeżeli chciał się już topić, to przecież miał dość wody w zatoce. Jak daleko pamięć sięga, mieliśmy dwa samobójstwa w Czerech Wiatrach. Drugim był Frank West, ojciec Ewy Moore. Ale, ale, czy Ewa była już kiedykolwiek u pani?

— Nie, ale spotkałyśmy się kilka dni temu na wybrzeżu i zawarłyśmy znajomość — odparła Ania nadstawiając uszu.

Panna Kornelia kiwnęła głową.

— Jestem z tego bardzo rada, kochanie. Spodziewałam się, że się spotkacie. Jak ona się pani podoba?

— Jest bardzo piękna.

— Ach tak, bezwarunkowo. Nikt w Czerech Wiatrach nie może się z nią równać pod tym względem. Czy pani widziała jej włosy? Jak je rozpuści, to sięgają jej do stóp. Ale ja nie o tym myślę, pytam się, jak ona się pani podoba?

— Myślę, że bardzo bym ją lubiła, gdyby tylko zechciała — rzekła Ania powoli.

— Ale ona nie chciała, odsunęła panią, zatrzymała na odległość ramienia. Biedna Ewa! Nie bardzo by się pani temu dziwiła, gdyby pani wiedziała, jakie było jej życie dotąd. To tragedia, tragedia! — z naciskiem powtórzyła panna Kornelia.

— Niech mi pani wszystko o niej opowie, to znaczy, o ile pani tym nie zdradzi cudzych tajemnic.

— Boże kochany, przecież każde dziecko w Czerech Wiatrach zna historię Ewy Moore. To nie jest tajemnica. Jednak co się dzieje w istocie, tego nikt nie wie prócz Ewy, a ona nie darzy ludzi zaufaniem. Ja myślę, że jestem jej najlepszym przyjacielem, a przecież ona ani słówkiem dotychczas się nie poskarżyła. Czy pani widziała kiedy Ryszarda Moore?

— Nie.

— Muszę, aby pani dokładnie wszystko zrozumiała, zacząć od początku i opowiedzieć po kolei, jak się sprawy miały.

Wspomniałam, że ojcem Ewy był Frank West. Był rozumny, ale dziwnie nieobrotny, jak prawdziwy mężczyzna. Miał wielki rozum i co mu z tego przyszło? Zaczął studiować na uniwersytecie, był tam dwa lata, a potem podupadł na zdrowiu. Wszyscy Westowie byli słabi na płuca. Wobec tego Frank wrócił do domu i zajął się gospodarstwem. Ożenił się z Różą Elliot, z drugiej strony przystani. Różę uważano w Czerech Wiatrach za piękność. Ewa wrodziła się w matkę, tylko jest od niej dziesięć razy piękniejsza i mądrzejsza i ma o wiele lepszą figurę. Wie pani, że ja stoję na tym stanowisku, że my, kobiety, powinnyśmy pomagać jedna drugiej. Dość musimy znosić przykrości ze strony mężczyzn. Bóg to jeden wie. I trzymam się zasady, że nie powinnyśmy napadać jedna na drugą. Nieczęsto pani usłyszysz ode mnie skargę na inną kobietę. Ale z Różą Elliot nigdy nie mogłam dojść do ładu. Powiedzmy od razu: była zepsutym, samolubnym, rozeniwionym i wiecznie jęczącym stworzeniem. Frank także nie lubił pracować i oboje byli biedni jak myszy kościelne. Biedni! Żyli samymi kartoflami, i basta, niech mi pani wierzy. Mieli dwoje dzieci: Ewę i Karola. Ewa miała urodę matki, rozum ojca i jeszcze coś, czego nie odziedziczyła po żadnym z nich. Wrodziła się w babkę West: wspaniałą starszą damę. Jako dziecko była la najweselszym, najmiłszym, wiecznie uśmiechniętym stworzeniem. Wszyscy za nią przepadali. Była beniaminkiem ojca i ogromnie go kochała. Byli „kolegami!” — jak sama mówiła. Nie widziała w nim żadnych wad. A był to do pewnego stopnia mężczyzna, który mógł się podobać.

Otóż, jak Ewa miała dwanaście lat, zdarzył się pierwszy straszny wypadek Ubóstwiła swego braciszka, młodszego od niej o cztery lata i najmilszego dzieciaka. Pewnego dnia mały zabił się. Spadł z wielkiej fury z sianem w chwili, kiedy ta wjeżdżała do stodoły, i koła przejechały przez jego małe ciałko i po prostu zgniotły go tak, że na miejscu wyzionął ducha. Ewa była świadkiem tego wypadku. Krzyknęła przeraźliwie — najęty woźnica zapewnił, że nigdy nie— słyzał takiego krzyku i że będzie go miał w uszach do końca życia. A potem ani nie krzyczała, ani nie płakała. Zeskoczyła ze strychu na wóz, z wozu na ziemię i chwyciła na ręce biedne, skrwawione, ciepłe jeszcze ciałko. Aniu, wie pani, musieli siłą ją oderwać. Nie chciała go puścić. Posłali po mnie... nie, ja nie mogę o tym mówić.

Panna Kornelia otarła łzy, które zaperliły się w jej pocziwych, piwnych oczach, i zapamiętała zaczęła szyc. Przez kilka minut trwało milczenie.

— Tak, tak — podjęła na nowo. — Pochowali małego na cmentarzu za przystanią, a Ewa wróciła do swych, książek i nauki. Nigdy nie wspominała więcej swego brata i nie słyzałam do dnia dzisiejszego, aby kiedykolwiek wymówiła jego imię. Mam wrażenie jednak, że ta stara rana niekiedy boli ją i pali. Ale ona była dzieckiem, a dla dzieci czas jest bardzo łaskawy. Po jakimś czasie znów zaczęła się śmiać, jej śmiech jest taki ładny, nieczęsto go pani teraz usłyzy.

— Słyzałam go ostatniego wieczoru — wtrąciła Ania — doprawdy cudowny śmiech.

— Frank West zaczął podupadać po śmierci syna. Mocny nigdy nie był, a śmierć małego była dla wielkim ciosem, bo bardzo kochał chłopca, choć jak wspomniałam, Ewa była jego ulubienicą. Stał się zamknięty i ponury i nie mógł czy też nie chciał pracować. Aż pewnego dnia, Ewa miała wówczas czternaście lat, powiesił się w gościnnym pokoju, i to w samym środku pokoju, na haku od lampy. Czy nie po męsku? A była to akurat rocznica jego ślubu. Odpowiedni dzień wybrał sobie na to, prawda?... I właśnie biedna Ewa musiała go pierwsza zobaczyć wiszącego. Weszła tego dnia z piosenką na ustach do pokoju, z kwiatami do wazonów na ręką, i ujrzała ojca zwisającego od sufitu z twarzą czarną jak sadza. To coś strasznego, niech mi pani wierzy.

— Boże, co za okropna rzecz! — zawołała Ania. — Biedne, biedne dziecko!

— Ewa nie płakała na pogrzebie ojca, tak samo jak nie płakała na pogrzebie brata. Natomiast Róża zawodziła za dwoje. Ewa musiała użyć wszystkich sił, aby uspokoić i pocieszyć matkę. Postępowanie Rózy było zarówno w moich oczach, jak i w oczach innych bardzo niesmaczne. Ewa jednak ani na j chwilę nie straciła cierpliwości. Kochała matkę. Ewa jest córką swego rodu. W jej oczach nikt w rodzinie nie mógł popełnić nic niewłaściwego. Tak oto pochowano Franka Westa obok Karolla. Róża postawiła tam później duży pomnik, większy, aniżeli wymagał tego charakter jej męża, niech mi pani wierzy. W każdym razie był większy, niż Róża mogła sobie na to pozwolić, ponieważ musiała wskutek tego zadłużyć mająteczek ponad jego wartość. Wróciła jednak potem umarła babka Ewy i zostawiła jej małą sumkę pieniędzy, wystarczającą jednak na to, aby pokryć wydatki połączone z jej pobytem przez jeden rok w Królewskiej Akademii. Ewa postanowiła zostać nauczycielką, a następnie zebrać tyle pieniędzy, żeby móc potem ukończyć College w Redmond. To był ulubiony plan jej ojca, który chciał doprowadzić ją tam, gdzie sam nie mógł dojść. Ewa była bardzo ambitna i rzeczywiście miała bystry umysł. W Królewskiej Akademii zrobiła w ciągu roku to, na co inni potrzebują dwóch lat, i uzyskała dyplom. A po powrocie do domu została nauczycielką w szkole w Glen. Taka była wówczas szczęśliwa i pełna

madziei i życia... Jak sobie przypomnę, czym ona wówczas była, a czym jest teraz, zamordowałyby w wszy stkich mężczyzn.

W tym miejscu panna Kornelia tak gwałtownie urwała nitkę, jak gdyby ruchem tym ucinając głowę całemu rodowi męskiemu.

— Tego lata w życie jej wkroczył Ryszard Moore. Jego ojciec, Artur Moore, miał sklep w Glen, ale Ryszard po matce odziedziczył żyłkę marynarską, zwykle w lecie wypływał na morze, a w zimie pomagał ojcu w handlu. Był to duży, przystojny chłopak z małą, brzydą duszą. Zawsze czegoś pragnął, ale jak udało mu się to zdobyć, przestawał się tym interesować, jak zresztą prawdziwy mężczyzna. Umiał być miłym chłopcem, dopóki sprawy szły gładko. Z tym wszystkim jednak pił dużo i opowiadał sobie o niejedynej jego bardzo brzydkiej sprawie. Jednym słowem, niewart był ścierać pyłu przed stopami Ewy. W dodatku był metodystą. Zakochał się w niej do szaleństwa, w pierwszym rządzie dlatego, że była tak piękną, a potem dlatego, że nie miała mu nic do powiedzenia. Przysiągł sobie, że ją dostanie, i dostał. — Jak on tego potrafił dokonać?

— Ach, to było takie bezprawie! Nigdy tego nie przebaczę Róży West. Widzi pani, kochanie, Artur Moore miał sumę hipoteczną na folwarku Westów, a potem zalegali oni z odsetkami. Ryszard krótko powiedział Róży, że jeżeli Ewa nie zostanie jego żoną, to on wpłynie na ojca, aby wystawił folwark na licytację. Róża przyjęła to najtragiczniej; zemdlała i z płaczem błagała Ewę, aby nie dopuściła do tego, żeby jej matkę wyrzucano na bruk. Zapewniała, że serce jej pełnie, jeżeli będzie musiała opuścić ten dom, do którego weszła kiedyś jako panna młoda. Nie ganiłabym jej wcale, że tak silnie odczuła tę całą sprawę, ale i nie dziwiłabym się, gdyby pani nie chciała wierzyć, że można być zdolną poświęcić swe własne dziecko, byle tylko zatrzymać dom, prawda? A jednak egoizm jej przed niczym się nie zawahał. Ewa zgodziła się w końcu, kochała bardzo matkę i uczyła wszystko, aby jej tylko zaozczędzić bólu. Wyszła za Ryszarda Moore, nikt wówczas nie wiedział dlaczego. Dopiero później, później udało mi się dociec, jak to jej własna matka wpędziła ją w to małżeństwo. Czułam mimo wszystko, że coś tam jest nie w porządku, bo widziałam nieraz, jak go Ewa traktowała, a ona nie należy dc kapryśnych kobiet. Poza tym zdawałam sobie sprawę, że Ryszard, mimo całej swej urody i rozmachu, nie był mężczyzną, na którego Ewa mogłaby zwrócić uwagę. Oczywiście, nie urządzono tam żadnego wesela, tylko po prostu Róża przyszła do mnie i prosiła, abym była obecna przy ślubie. Poszłam, ale bardzo potem żałowałam tego kroku. Widziałam twarz Ewy na pogrzebie brata i na pogrzebie ojca, ale podczas tego ślubu zdawało mi się, że Ewa idzie za własnym pogrzebem. A Róża, niech mi pani wierzy, miała rozradowaną minę, jakby wygrała wielki los.

Ewa i Ryszard sprowadzili się do folwarczku Westów. Róża za nic nie chciała się zgodzić na rozłąkę z córką — i przemieszkali tam całą zimę. Na wiosnę Róża dostała zapalenia płuc i umarła. O rok za późno! Ewa bardzo głęboko to odczuła. Czy to nie straszne, jak czasem ludzie nie zasługujący na to są kochani, a obok innych, stołroć bardziej godnych miłości, przechodzi się obojętnie?!

Co się tyczy Ryszarda, to niedługo miał dość małżeństwa: wkrótce opuścił kraj i udał się do Nowej Szkocji, odwiedzić tam krewnych. Jego ojciec pochodził z Nowej Szkocji. Stamtąd pisał do Ewy, że kuzyn Jerzy wybiera się do Hawany i że on jedzie razem z nim. Okręt nazywał się „Cztery Siostry” i mieli być w drodze około dziewięciu tygodni.

Musiała to być ogromna ulga dla Ewy, chociaż nikomu o tym nie mówiła. Od chwili ślubu stała się tym, czym jest dzisiaj: zimna, dumna i trzymająca się od wszystkich z daleka. Tylko ze mną nie udało jej się tak postąpić, niech mi pani wierzy, mimo wszystko starałam się jak najbardziej zbliżyć do Ewy.

— Powiedziała mi, że pani jest jej najlepszym przyjacielem — wtrąciła Ania.

— Rzeczywiście? — ucieszyła się panna Kornelia. — Jestem bardzo rada, że to słyszę. Czasami chciałam naprawdę wiedzieć, czy ona życzy sobie mieć mnie blisko siebie. Nigdy nie dała mi tego poznać. Musiała ją pani więcej ująć, niż się wydaje, inaczej nigdy by sama nie powiedziała tak dużo. Och, biedne, biedne dziecko, nie widzę teraz nigdy jej męża, ale mam wielkie pragnienie zatopić nóż w jego sercu.

Panna Kornelia otarła łzy, a ukojwszy swe uczucia wypowiedzeniem tak krwawego życzenia, podjęła na nowo swą opowieść.

— I tak Ewa została sama. Lato minęło, a „Cztery Siostry” nie wracały. Moorowie z Nowej Szkocji zrobili poszukiwania i dowiedzieli się, że okręt przybił do Hawany, zostawił tam swój ładunek, a wzięwszy na pokład nowy, odpłynął do domu, i to było wszystko, czego mogli się dowiedzieć. Z czasem ludzie zaczęli mówić o Ryszardzie Moore jako o umarłym.; Wszyscy prawie wierzyli, że nie żyje, chociaż nikt nie był zupełnie pewny, bo zdarzało się nieraz, że zjawiali się w przystani mężczyźni, o których od lat słuch zginął. Ewa nigdy nie wierzyła w jego śmierć i miała rację. Wielka, wielka szkoda, że nie umarł! Następnego lata kapitan Jim był w Hawanie, było to oczywiście wtedy, zanim porzucił swój zawód marynarza. Uważał, że i on musi prowadzić poszukiwania na własną rękę. Kapitan często mieszkał w różnych spelunkach i hotelach portowych, czy nie wiadomo czego o załodze „Czterech Sióstr”. Uważam, że lepiej by zrobił nie budząc licha. Między innymi zaszedł do jakiegoś zapadłego hoteliku i tam ujrział mężczyznę, w którym na pierwsze wejrzzenie, mimo długiej brody, poznał Ryszarda. Kazał mu zgolić brodę i wówczas ustalił bez wątpienia, że miał przed sobą Ryszarda Moore, a w każdym razie jego ciało, rozumu tam już nie było; moim zdaniem, nie miał go nigdy.

— Co się z nim stało?

— Nikt nie wie nic pewnego. Z opowiadań właścicieli hoteliku wynikało, że znaleźli go pewnego ranka koło schodów w okropnym stanie. Głowa jego przedstawiała jedną krwawą masę. Przy puszczano, że pobito go podczas jakiejś burdy pijackiej. I chyba to prawda. Wzięli go do siebie nie myśląc, że się wyliże z tych ran. Wyliżał się jednak i był jak dziecko, kiedy powrócił do zdrowia. Stracił jednak zupełnie pamięć i rozum. Starali się dowiedzieć czegoś o jego pochodzeniu, ale na próżno, nie potrafił nawet nazwiska swego podać. Mógł tylko mówić kilka prostych słów. Miał przy sobie list zaczy nający się od słów: „Kochany Ryszardzie” i podpisany „Ewa”, ale poza tym nie było tam żadnego adresu, a i koperta zginęła. Pozostawili go na miejscu; nauczył się kilka prostych robót i tam znalazł go wreszcie kapitan. Przywiózł go do domu i zawsze mówię, że to był jego najgorszy uczynek, chociaż rozumiem, że nie innego nie pozostawało mu do zrobienia. Prawdopodobnie myślał, że jak Ryszard zobaczy po powrocie znajome otoczenie, to i pamięć odzyska. Nic podobnego się nie stało. Od tego czasu stale już mieszka w domu nad strumykiem. Jest zupełnie jak dziecko: chwilami rozdrażniony i ży, ale poza tym spokojny i nieszkodliwy. Jeżeli go nie pilnują, lubi uciekać. To jest to brzemień, jakie Ewa znosi od jedenastu lat, i to zupełnie sama. Stary Artur Moore umarł wkrótce po powrocie Ryszarda. Okazało się po jego śmierci, że prawie zupełnie był zrujnowany materialnie. Ukończono postępowanie spadkowe i wtedy wyszło na jaw, że dla Ewy i Ryszarda nie pozostało nic, prócz małego folwarczku Westów. Ewa wydzierżawiła wszystko Janowi Wardowi i renta, jaką dostaje, stanowi jej utrzymanie. Czasami, w lecie, wynajmuje pokój letnikom, by sobie w ten sposób pomóc. Niestety, letnicy wołają stronę nad przystanią z hotelami i innymi wygodami. Dom zaś Ewy leży za daleko od plaży. Biedna Ewa podjęła się opieki nad mężem i teraz przykuta jest na całe życie do tego niedołęgi. I po tylu marzeniach i snach! Może pani sobie wyobrazić, kochanie, jak ona się z tym czuje: z jej pięknością i umysłem, i dumą, i sprytem. To prawdziwa śmierć za życia!

— Biedna, biedna dziewczyna! — ze smutkiem rzekła Ania. Zdawało jej się, że jej własne szczęście robi jej wymówkę: Jakim prawem ona była taka szczęśliwa, kiedy równocześnie kto inny musiał cierpieć?

— Czy może mi pani powiedzieć, jak Ewa zachowywała się i co mówiła w ów wieczór, kiedyście się spotkali nad brzegiem? — zapytała panna Kornelia. Uważnie słuchała relacji Ani i kiwała głową z zadowoleniem.

— Pani myślała, kochanie, że ona była zimna i sztywna, ale ja zapewniam panią, że była wyjątkowo serdeczna. Musiała jej się pani doprawdy podobać. Taka jestem rada! Pani będzie mogła jej dużo pomóc. Byłam szczęśliwa słysząc, że młoda para sprowadza się do tego domu, bo zaraz sobie pomyślałam, że Ewa będzie miała przyjaciół, szczególnie jeżeli to mieli być ludzie, co znają Józefa. Pani będzie jej przyjaciółką, Aniu, prawda?

— Oczywiście, o ile ona tylko tego zechce — powiedziała Ania impulsywnie.

— Nie, pani musi być dla niej dobra, czy ona się na to zgodzi, czy nie — stanowczo oświadczyła panna Kornelia. — Najlepiej nie zwracać na to uwagi. Niech pani pomyśli, jakim było jej życie, jakim jest i jakim pozostanie, bo zdaje mi się, że stworzenia w takim stanie jak jej mąż żyją wiecznie. Żeby pani zobaczyła, jak on utył, odkąd jest w domu, dawniej był bardzo szczupły. Niech pani to zrobi, żeby ona się z panią zaprzyjaźniła. Pani należy do tych, którzy mają we krwi dar jednania sobie ludzi. Tylko nie powinna pani być zbyt wrażliwa...

Ona wie, że dużo niewiast nie znosi obecności Ryszarda i, naturalnie, czuje się przy nim bardzo nieswoje. Wobec tego niech ją pani jak najczęściej do siebie zaprasza. Ewa nie jest w stanie na dłuższy czas opuszczać domu, nie może zostawić męża samego, bo mógłby nie wiadomo co zrobić, przypuszczalnie cały dom podpalić. Wieczorem, kiedy on śpi, ma biedaczka trochę czasu do swej dyspozycji. Ryszard bardzo wczesnie kładzie się i śpi jak zabity do rana. Prawdopodobnie w tym czasie spotkała ją pani na brzegu morza. Ona bardzo chętnie tam przebywa.

— Zrobię dla niej wszystko, co będzie w mej mocy — powiedziała Ania. Jej zainteresowanie się młodą kobietą, które zresztą bardzo żywe było już wtedy, kiedy ją po raz pierwszy ujrziała pędzącą gęsi, wzrosło wielokrotnie od chwili, kiedy usłyszała opowiadanie panny Kornelii. Piękność jej, jej cierpienia i samotność pociągały Anią niepokonanym urokiem. Nikogo nie znała, kto by był podobny do Ewy. Jej przyjaciółki były to zdrowe, normalne i wesołe dziewczyny, takie jak ona sama; dziewczęce ich marzenia rzadko tylko i na krótko zaciemniane były bardzo nieznacznymi troskami i smutkami. Ewa Moore była inna, w niej widziało się tragiczną, bezbronną postać zawiedzionej w swych marzeniach kobiety. Ania postanowiła zdobyć dla siebie przyjaźń tej osamotnionej duszy, którą ona tak chętnie ofiarowałaby, gdyby nie te kajdany, trzymające ją w strasznym więzieniu, bez jej winy.

— I jeszcze jedno, Aniu — powiedziała panna Kornelia, która niezupełnie jeszcze uspokoiła swe sumienie. — Niech pani nie myśli, że Ewa jest niepobożna dlatego, że rzadko chodzi do kościoła, albo że też należy do metodystów. Ona nie może męża zabrać ze sobą, zresztą on nigdy zbytnio nie interesował się kościołem, nawet za swoich dobrych czasów. Ale niech pani nie zapomina, że w sercu jest wierną prezbiterianką.



# XII. Ewa odwiedza mały domek

Ewa przyszła do wymarzonego domku w pierwszy mroźny październikowy wieczór, kiedy to zalane światłem księżycą mgły rozwisły swe zasłony nad przystanią i leżącymi od strony morza łakami. Kiedy na jej pukanie Gilbert otworzył drzwi, wyglądała, jakby żalowała swego przybycia. W tej chwili jednak Ania wybiegła naprzeciw niej i wciągnęła ją do środka.

— Taka jestem rada, że pani wybrała dzisiaj wieczór na wizytę! — zawołała wesoło. — Przygotowałam dziś po południu wyjątkowo dobre rzeczy i potrzebujemy kogoś, kto by nam pomógł zjeść to wszystko. Usiądźmy przy kominku. Tak miło jest mi z panią pogawędzić. Możliwe, że i kapitan Jim wpadnie także, dziś ma wolny wieczór.

— Nie, kapitan nie przyjdzie; jest u mnie w domu — powiedziała Ewa. — On mi kazał tu dziś przyjść — dodała na poły wyzywająco.

— Powiem mu: „dziękuję bardzo” za to, że panią tu przysłał, jak go tylko zobaczę — rzekła Ania przysuwając fotel bliżej kominka.

— Ach, nie chcę przez to powiedzieć, że sama nie miałam zamiaru przyjść — zapewniała Ewa trochę zarumieniona. — Ja... ja myślałam o tym, żeby panią odwiedzić, tylko to niełatwa rzecz dla mnie wyrwać się z domu.

— Oczywiście, to musi być trudne dla pani zostawić męża samego — powiedziała Ania najnaturalniejszym tonem. Postanowiła, że najlepiej będzie wspomnieć przy sposobności o Ryszardzie Moore jak o czymś zupełnie zrozumiałym i nie rozdrażniać zbytecznie sprawy przez unikanie tego tematu. Miała w tym wypadku zupełną słusność, bo wyraz przy musu znikł z twarzy Ewy. Widoczne było, że chętnie by się dowiedziała, co Ania wie o warunkach jej egzystencji, ale była uspokojona, że nie będzie potrzebowała dawać wyjaśnień. Pozwoliła, by jej zdjęli berecik i palto, i dziewczęcym ruchem wtuliła się w fotel obok Magoga. Była pięknie i starannie ubrana. Wspaniale jej włosy połyskiwały w świetle ognia jak roztopione złoto. Błękitne, koloru morza oczy pełne były słodyczy i czaru. Na chwilę, pod wpływem nastroju wymarzonego domku, stała się znów małą dziewczynką, zapominającą o przeszłości i jej goryczach. Atmosfera wielkiej miłości, jaka unosiła się w tym domku, udzieliła się i jej. Otoczyła ją przyjaźń dwojga młodych i szczęśliwych ludzi i poddała się czarowi tego otoczenia. Panna Kornelia i kapitan ledwo by ją poznali. Ania z trudem zdawała sobie sprawę, że to była ta sama zimna i nieprzystępna kobieta, którą spotkała na wybrzeżu morskim. Miała przed sobą pełną życia dziewczynę, która opowiadała i słuchała z zapalem wygłodzonej duszy. A z jakim wyrazem głodu błądziły oczy Ewy po książkach ustawionych na półkach między oknami!

— Nasza biblioteka nie jest bardzo bogata — powiedziała Ania — ale każda książka w niej się znajdująca jest dobrym przyjaciелеm. Zbieraliśmy gdzie się dało nasze książki przez szereg lat i kupowaliśmy je dopiero po przeczytaniu i przekonaniu się, że należą do rodzaju znających ch Józefa.

Ewa roześmiała się srebrzystym śmiechem, pełnym i jasnym, przypominającym radość, jaka panowała w minionych latach w małym, domku.

— Mam kilka książek jakie pozostały po ojcu, ale niedużo ich jest. Tyle razy je czytałam, że umiem prawie na pamięć. Nie mogę dostać więcej książek. Jest wprawdzie wypożyczalnia książek w Glen, ale nie myślę, aby komitet, który sprowadza do niej nowości, miał pojęcie o dobrych książkach, a może ich to mało obchodzi. Tak rzadko zdarzało mi się dostać tam coś ciekawego, że w końcu przestałem wypożyczać.

— Spodziewam się, że będzie pani uważała naszą bibliotekę za swoją własność — powiedziała Ania. — Najchętniej i całym sercem, pożyczę pani każdą książkę.

— Zaprasza mnie pani do wspaniałej uczty — rzekła Ewa uradowana. A potem, gdy zegar wybił dziesiątą godzinę, wstała dość niechętnie.

— Muszę już iść. Nie przypuszczałam, że jest już tak późno. Kapitan Jim mówi zawsze, że godzina na wizycie mija strasznie szybko. A ja tu siedzę już dwie godziny — i takie były one mile — dodała szczerze.

— : Prosimy często do nas przychodzić — zapraszali Ania i Gilbert. Podnieśli się i stali w świetle ognia kominka. Ewa patrzyła na nich, pełnych nadziei, młodych, radosnych, i przed oczyma jej stanął obraz wszystkiego tego, co straciła i czego już nigdy nie osiągnie. Światło znikło z jej twarzy i z oczu. Znikła dziewczyna, pozostała tylko smutna, zrezygnowana kobieta, którą losy pozbawiły radości życia i która obecnie suchym prawie tonem odpowiedziała na zaproszenie i z pospiechem opuściła dom.

Ania patrzyła za nią, póki nie znikła w mroku. Potem odezwała się:

— Czy ona nie jest kochana, Gilbertcie? Jestem oczarowana jej włosami. Panna Kornelia powiedziała, że sięgają jej do stóp. Ruby Gillis miała takie włosy, ale włosy Ewy to czyste złoto.

— Ona jest cudowna — odparł Gilbert tak szczerze, że Ania prawie życzyła sobie, aby trochę mniej entuzjazmu było w jego głosie.

— Gilbertcie, czy moje włosy podobały by ci się bardziej, gdyby były takie jak Ewy? — zapytała z lekkim niepokojem.

— Nie chcę, aby twoje włosy były inne, aniżeli są — odrzekł Gilbert. — Nie byłabyś Anią, gdybyś miała złote włosy albo jakiego innego koloru, oprócz...

— Rudego — dokończyła Ania z ponurą satysfakcją.

— Tak właśnie rudego, aby nadać ciepła tej twojej mlecznobiałej cerze i szarzielonym, błyszczącym oczutom. Złote włosy — to nie dla ciebie, królowo Aniu, moja królowo Aniu, pani mego serca i życia, i domu.

— W takim razie możesz zachwycać się Ewą, ile ci się tylko podoba — wspaniałomyślnie zezwoliła Ania.









# XIV. Listopadowe dni

Przeprzech barw, jaśniejący od tygodnia nad brzegami Czterech Wiatrów, został zamieniony na miękki, szaroniebieski kolor późnego, jesiennego krajobrazu. Przyszły dni, w których polali brzegi zasnute były mgłą jesiennych deszczów, dni powiewu pełnych smutku i melancholii morskich wichrów, wśród których szalały burze. Ania wtedy budziła się niekiedy i modliła, aby przy padkiem do brzegów nie zbliżał się jaki okręt w ten czas straszny, bo wówczas nawet światła latarni, przebijającego ciemności, nie starczyłoby, aby doprowadzić okręt do bezpiecznej przystani.

— W listopadzie wydaje mi się, że wiosna nigdy nie wróci — wzdychała Ania patrząc na brzydkie, mrozem ścięte grzdy. Wesoly, mały ogródek narzeczonej nauczyciela był teraz opuszczony m zakątkiem, a topole lombardzkie i brzozy wyciągały ku niebu swe bezlistne ramiona. Ale jodlowy lasek za ogrodem był zawsze zielony i pełen życia. Zresztą i w listopadzie, i w grudniu trafiały się piękne dni, rozjaśnione słońcem i purpurą mglistych zasłon, w których przystały były szczyła i szdliła się wesoło jak wśród lata, a w których zatoka przybierała taki łagodny, niebieski kolor, jak gdyby burze i wichry były wspomnieniem złych, zimowych snów.

Wiele wieczorów spędziła Ania z Gilbertem w latarni morskiej. Miejsce to było zawsze wesołe. Nawet wówczas, kiedy wiatry wschodnie grały dziłą melodię, a morze przybierało martwy, szary wygląd, jakieś resztki promieni słonecznych zdawały się wyzierać z zakątków dokoła latarni. Może być, że pochodziły one od rudej sierści Maciusia. On był przecież taki duży i promieniejący, że prawie nie odczuwało się braku słońca, a jego głośnie mruczenie stanowiło miły akompaniament rozmów i śmiechów rozlegających się dokoła kominka kapitana Jima. Kapitan i Gilbert często prowadzili długie dyskusje tematy leżące poza zwykłymi ludzkimi sprawami.

— Wiele razy zastanawiałam się nad różnymi kwestiami, mimo nie jestem w stanie ich rozwiązać — mówił kapitan. — Mój ojciec zawsze powiadał, że nie powinniśmy zastanawiać się nad sprawami, których nie rozumiemy, lecz, doktorze, gdybyśmy tego nie robili, mielibyśmy bardzo mało tematów do rozmowy. Myślę, że bogowie nieraz mają z nas uciechę. Ale nic to nie szkodzi, jak długo nie zapominamy, że jesteśmy tylko zwykłymi śmiertelnikami, a nie nadziemskimi istotami, którym znane jest dobro i zło. Spodziewam się, że nasze głędzenie nikomu z nas nie zaszkodzi, wobec tego porozmawiajmy dziś znowu o tym, jak się może ułożyć życie między ludźmi, powiedzmy za lat pięćdziesiąt.

— Lubię zastanawiać się nad różnymi kwestiami, mimo nie jestem w stanie ich rozwiązać — mówił kapitan. — Mój ojciec zawsze powiadał, że nie powinniśmy zastanawiać się nad sprawami, których nie rozumiemy, lecz, doktorze, gdybyśmy tego nie robili, mielibyśmy bardzo mało tematów do rozmowy. Myślę, że bogowie nieraz mają z nas uciechę. Ale nic to nie szkodzi, jak długo nie zapominamy, że jesteśmy tylko zwykłymi śmiertelnikami, a nie nadziemskimi istotami, którym znane jest dobro i zło. Spodziewam się, że nasze głędzenie nikomu z nas nie zaszkodzi, wobec tego porozmawiajmy dziś znowu o tym, jak się może ułożyć życie między ludźmi, powiedzmy za lat pięćdziesiąt.

Podczas gdy oni rozmawiali, Ania oddawała się marzeniom. Czasami Ewa przychodziła z nimi do latarni i wówczas obie z Anią wychodziły i w tajemniczym półmroku odbywały wędrówki wzdłuż brzegów albo też siadały na nadbrzeżnych skałach i zostawały tam tak długo, aż ciemności zniewalały je powracać do wesołego kąciaka przy kominku. Kapitan przygotowywał wówczas herbatę i opowiadał im historie o łądach i morzach i o wszystkim, co mogło się zdarzyć w wielkim, zapomnianym i dalekim świecie.

Ewa zdawała się bardzo lubić te zebrania w latarni. W owe chwile stawała się rozmowna i wesoło rozbrzmiewał jej śmiech. W jej obecności rozmowa nabierała jakiegoś niezwykłego smaku, którego brak odczuwało się, gdy jej nie było. Nawet kiedy milczała, zdawała się pobudzać innych do większej błyskotliwości. Kapitan lepiej opowiadał swoje przygody. Gilbert prędzej znajdował odpowiedź na zadawane pytania, a wyobraźnia Ani raźniej pracowała pod wpływem osobowości Ewy.

— Ta dziewczyna powinna przewodzić w społecznym i intelektualnym życiu gdzieś daleko poza Czterema Wiatrami — powiedziała raz Ania do Gilberta, jak wracali do domu. — Ona się tu marnuje.

— Czyś nie sły szala, jak niedawno dyskutowaliśmy z kapitanem na ten temat? Doszliśmy do pouczającego wniosku, że Stwórca prawdopodobnie lepiej wiedział od nas, jak urządzić wszechświat, i koniec końców nie ma takiej rzeczy, jak zmarnowane życie, chyba i z wyjątkiem, jeśli jakaś jednostka umyślnie i z całym przeświadczeniem trwoni i marnuje życie, czego nie można powiedzieć o Ewie. Niektórzy ludzie w taki sposób mogliby sądzić, że studentka z Redmond, którą wydawcy zaczęli głęboko szanować, marnuje się jako małżonka biednego lekarza, walczącego z losem w zapadłej wioszczynie nad Przystanią Czterech Wiatrów!

— Ta dziewczyna powinna przewodzić w społecznym i intelektualnym życiu gdzieś daleko poza Czterema Wiatrami — powiedziała raz Ania do Gilberta, jak wracali do domu. — Ona się tu marnuje.

— Czyś nie sły szala, jak niedawno dyskutowaliśmy z kapitanem na ten temat? Doszliśmy do pouczającego wniosku, że Stwórca prawdopodobnie lepiej wiedział od nas, jak urządzić wszechświat, i koniec końców nie ma takiej rzeczy, jak zmarnowane życie, chyba i z wyjątkiem, jeśli jakaś jednostka umyślnie i z całym przeświadczeniem trwoni i marnuje życie, czego nie można powiedzieć o Ewie. Niektórzy ludzie w taki sposób mogliby sądzić, że studentka z Redmond, którą wydawcy zaczęli głęboko szanować, marnuje się jako małżonka biednego lekarza, walczącego z losem w zapadłej wioszczynie nad Przystanią Czterech Wiatrów!

— A gdybyś wyszła za Roberta Gardnera — ciągnął dalej Gilbert beztłonie — mogłabyś przewodzić w społecznych i intelektualnych kołach, daleko od Czterech Wiatrów.

— Gilberte Blythe!

— Wiem przecież, że w swoim czasie byłaś w nim zakochana.

— Gilberte! To jest podłość! Najzwyklejsza podłość! Iście męska — według słów panny Kornelii. Nigdy w nim nie byłam zakochana. Zdawało mi się tylko. I ty o tym wiesz. I wiesz także, że wolę być twoją żoną w naszym wy marzonym domu aniżeli królową w pałacu.

Gilbert nie słowami na to odpowiedział.

Obawiamy się tylko, że w tej chwili zapomnieli o biednej Ewie śpieszącej przez pola do domu, który nie był ani pałacem, ani spełnionym marzeniem.

Księżyc wschodził nad ponurym, ciemnym morzem, lecz światło jego nie doszło do przystani, której bardziej oddalone części pełne były zamglonych zakątków i głębokich mroków, przeblyskających na kształt drogich kamieni światłami w oknach mieszkań.

— Jak wyraźnie dziś światła w domach przenikają ciemności — powiedziała Ania. — Ten ich szereg z drugiej strony przystani wygląda jak naszyjnik. A jak migocą od strony Glen. Patrz, Gilberte! To są światła w naszym domu. Taka jestem rada, że ich nie pogasiłam wychodząc. Strasznie nie lubię wracać do ciemnych pokoi. Nasz dom, Gilberte, czy to nie cudowne?

— Jeden z miliona domów na świecie, ale nasz, Aniu. Nasza ostoja w tym brzydkim świecie. Jeżeli ktoś ma dom i najdroższą małą żonkę o rudych włosach, czegoż jeszcze może żądać od życia?

— Jednej rzeczy jeszcze moglibyśmy sobie życzyć — z uśmiechem na ustach rzekła Ania. — Ach, Gilberte, nie mogę wprost doczekać się wiosny.



# XV Boże Narodzenie w Czterech Wiatrach

Początkowo Ania i Gilbert myśleli o tym, aby pojechać na Boże Narodzenie do Avonlea, ale po namyśle postanowili zostać w Czterech Wiatrach.

— Pierwsze Boże Narodzenie w naszym wspólnym życiu chciałabym spędzić w Czterech Wiatrach — zapowiedziała Ania.

W rezultacie Maryla, pani Małgorzata Linde i para bliźniąt zjechali na Boże Narodzenie do małego domku. Maryla miała minę, jak gdyby objechała cały glob. Nigdy przedtem nie oddalała się ponad sześćdziesiąt mil, a Wigilii nigdy jeszcze nie spędzała poza Zielonym Wzgórzem.

Pani Małgorzata przywiozła sporządzony własnymi rękami olbrzymi pudding. Nikt nie; był w stanie jej przekonać, że absolwentka wyższej szkoły, należąca do młodszej generacji, mogłaby upiec nalezyście świąteczny pudding. Z tym wszystkim pochwaliła bardzo domek Ani.

— Ania jest dobrą gospodynią — powiedziała do Maryli w gościnnym pokoju w wieczór ich przyjazdu. — Wszędzie zaglądałam — i do komórki, i do spizarki, i do szuflad. Po tym, jaki tam panuje porządek, wydamę moje zdanie o gospoynie. W spizarce nie znalazłam suchych kromek chleba, a w komórce — nic takiego, co by nadawało się do wyrzucenia. To prawda, żeś ty ją nauczyła porządku, ale nie trzeba zapominać, że potem pojechała do szkoły. Poza tym widzę na łóżku moją kapę w tabaczkowe pasy, a przed kominkiem twój dywanik domowej roboty, to mi zupełnie przypomina dom.

Pierwsze Boże Narodzenie w wymarzonym domku wypadło tak wspaniale i przyjemnie, jak tylko można było sobie życzyć. Wieczór był piękny i jasny. Pierwszy śnieg spadł w Wigilię i pokrył cudownym, białym kobiercem pola i wzgórza. Przystań jednak nie zamarzała i migotała w promieniach słońca.

Na obiad przyszedł kapitan i panna Kornelia. Ewa i Ryszard byli również zaproszeni, ale Ewa się wy mówiła. Powiedziała, że stale spędzają Boże Narodzenie u wuja Szymona Westa.

— Ona tak zawsze robi — zauważyła panna Kornelia. — Nie może znieść wyglądu Ryszarda w obcym otoczeniu. Boże Narodzenie to najbardziej przykry czas dla Ewy. Ona i jej ojciec zawsze obchodzili to święto bardzo uroczyście.

Nie można powiedzieć, aby panna Kornelia i pani Małgorzata zbyt się polubiły. „Dwa słońca nie mogą świecić na jednym firmamencie”. Do ostrego spięcia jednak, na szczęście, nie przyszło, bo pani Małgorzata i Maryla pomagały Ani w kuchni w przygotowywaniu obiadu, a Gilbertowi przypadła rola zabawiania kapitana i panny Kornelii. Lub oni zabawiali jego, ile że dialog między tym dwojgiem przyjaciół i, co dziwne, jednocześnie antagonistów, nigdy nie był nudny.

— Dawno już nie było Wigilii w tym domu — powiedział kapitan. — Panna Russel spędzała zawsze święta u znajomych w mieście. Spośród obecnych ja tylko byłem na pierwszej Wigilii, jaką spożywano w tym domu, a przyrzędziała ją młoda żona naszego nauczyciela. Dziś minęło sześćdziesiąt lat od tego dnia. A był to dzień bardzo podobny do dzisiejszego. Akurat tyle było śniegu, aby obelić wzgórza, a przystań była tak bardzo błękitna, jak gdyby to był czerwiec. Byłem wówczas młodym chłopcem, a ponieważ nigdy przedtem nie proszono mnie na obiad, rozumiem, że czulem się zbyt onieśmielony, aby się dobrze najeść. No, ale od tego czasu zmieniłem się.

— Najczęściej to się dzieje z mężczyznami — powiedziała panna Kornelia szyjąc z zapalem. Panna Kornelia nie chciała siedzieć z założonymi rękami nawet w Wigilię Bożego Narodzenia. Dzieci przychodzą na świat nie pytając, czy święto, czy nie — i właśnie jedno takie maleństwo było oczekiwane w pewnej biednej rodzinie w Glen St. Mary. Panna Kornelia posłała obfitą wieczerzę dla tamtejszej gromady i zamierzała obecnie zjeść swoją z tym spokojniejszy m sumieniem.

— Pani wie przecież, Kornelio, że droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek — wyjaśnił kapitan.

— Wierzę panu, o ile mężczyzna w ogóle ma serce — odparła panna Kornelia. — Przypuszczam, że to jest przyczyną, dla której tyle kobiet zabija się gotowaniem, jak to się stało z Amelią Baxter. Umarła w ostatnie święta Bożego Narodzenia rano, a mówiła, że to pierwsze jej święta od dnia ślubu, kiedy nie potrzebowała robić wielkiego przyjęcia na dwadzieścia osób. Dla niej musiało to być rzeczywiście przyjemność i urozmaicenie! No, ale ona od roku już leży w grobie, a zobaczycie, że Horacy Baxter wróćce się ożeni.

— Słyszałem, że już ma zamiar to zrobić — powiedział kapitan spoglądając znacząco na Gilberta. — Czy nie był u pani niedawno w niedzielę w czerni i w sztywnym kołnierzyku?

— Nie, nie był. I nie potrzebuje wcale się trudzić. Mogłam go mieć dawno, kiedy jeszcze był nie zużyty. Niech mi pan wierzy, że nie zyczę sobie towaru z drugiej raki. A co się jeszcze tyczy Horacego Baxtera, to popadł w trudności finansowe mniej więcej rok temu w lecie i prosił Boga o pomoc. Potem, jak mu żona umarła, a on odebrał polisę asekuracyjną, opowiadał, że to była odpowiedź na jego modlitwy. Czy nie po męsku?

— Czy pani ma dokładne dowody, że naprawdę tak mówił?

— Pastor metodystów zapewniał mnie o tym, to znaczy, o ile słowa tego człowieka można nazwać dowodem. Mówił również o tym Robert Baxter. Sama przyznaję, że na tym nie mogę polegać. Robert znany jest z tego, że nie zawsze mówi prawdę.

— Ależ, Kornelio, on zwykle jest prawdomówny, tylko tak często zmienia swoje zdanie, że czasami wygląda to, jak gdyby kłamał.

— Bardzo często tak wygląda, ale wierz tu mężczyźnie, który chce usprawiedliwić drugiego. Z Roberta Baxtera nie ma żadnego pożytku. Zrobił się metodystą tylko dlatego, że prezbiteriański chór przy padkiem zaśpiewał: „Oglądajcie pana młodego nadchodzącego” w chwili, kiedy on wchodził do świątyni z żoną w następną niedzielę po ich ślubie. Słusznie mu się to należało za to, że się spóźnił. Ale on stale twierdził, że chór zrobił to naumyślnie, aby go obrazić. Jak gdyby był taką ważną osobą. Ta rodzina miała zawsze o sobie większe wyobrażenie, aniżeli powinna być la mieć. Jego brat mówił, że przy nim stoi diabeł, jakby diabeł nie lepszego nie miał do roboty, tylko pilnować Eliasza Baxtera.

— Ja przyznam się... nie wiem... — w zamyśleniu odrzekł kapitan. — On za dużo przeżywał sam. Nie chciał nawet mieć koło siebie towarzysztwa kota albo psa. Gdy człowiek jest samotny, chętnie widzi obok siebie diabła, o ile nie jest wtedy z Bogiem. Myślę, że musi się wówczas zdecydować i wybrać to, co mu lepiej odpowiada. Skoro diabeł stał przy boku Eliasza Baxtera, to działo się tak dlatego, że Eliasz sobie tego życzył.

— Zupełnie po męsku — zauważyła panna Kornelia i ucichła, zajęta skomplikowanym układaniem falbanek, aż kapitan wyrwał ją z tego milczenia przypadkową uwagą:

— Byłem w ostatnią niedzielę u metodystów.

— Lepiej by pan zrobił, czytając Biblię u siebie — brzmiała odpowiedź urażonej tym panny Kornelii.

— Ależ ja nie widzę nic złego w uczęszczaniu do metodystów, kiedy we własnym kościele nie ma kazania. Należę od siedemdziesięciu sześciu lat do kościoła prezbiteriańskiego i nie widzę potrzeby teraz zmieniać wyznania.

— Ale pan daje zły przykład — powiedziała panna Kornelia.

— Poza tym — złośliwie ciągnął dalej kapitan — chciałem choć raz usłyszeć dobry śpiew. Metodyści mają świetny chór, a przyzna pani, że śpiew w naszym kościele jest straszny, odkąd w chórze nastąpił rozłam.

— Cóż z tego, że śpiew nie jest piękny, staraj się jak najlepiej, a Pan Bóg nie robi różnicy między krakaniem wrony a trelami słowika.

— No, no, Kornelio — z uśmiechem rzekł kapitan — mam lepsze wyobrażenie o muzycznym uchu Wszchemogącego.

— Z jakiego powodu powstał spór w naszym chórze? — spytał Gilbert, który dusił się od śmiechu.

— To się datuje od czasu, kiedy zaczęli budować nową świątynię przed trzema laty — odpowiedział kapitan. — W związku z wyborem miejsca pod tę świątynię powstał straszny spór. Dwa miejsca wchodziły w rachubę, oddalone od siebie najwyżej o sto metrów. Ale z racji walk, jakie na tym tle powstały, można było myśleć, że odległość wynosi co najmniej tysiąc metrów. Jedni chcieli placu od wschodu, drudzy od zachodu, a jeszcze inni życzyli sobie, aby świątynia stała na starym miejscu. Walczono o to po domach i w kościele, i w mieście. Wszystkie skandaliki trzech pokoleń wyciągnięto z grobów. A ile mieliśmy zebrań z tego powodu! Kornelio, czy przypomina pani sobie zebranie, na którym stary Marcin Burns miał mówę? Gwałtem starał się narzucić swe zdanie.

— Niech pan nazwie rzecz po imieniu, kapitanie. Myśli pan, że zaperzony i czerwony starał się zdręczyć słuchaczy. Oni też zasługiwali na to, gromada osłów. Ale czego lepszego mógł pan oczekiwać od komitetu złożonego z mężczyzn? Komitet budowy odbył dwadzieścia siedem zebrań, a na końcu dwudziestego siódmego zebrania ani na krok nie zbliżyli się do celu. Co mówię! Dalej od niego byli aniżeli na początku. Albowiem w porywie entuzjazmu, aby przyspieszyć sprawę, rozebrali stary kościół. A myśmy zostali na lodzie, bez kościoła, i musieliśmy się modlić w pustej sali.

— Metodyści wówczas proponowali nam na modlitwy ich kościół.

— I kościół w Glen nie byłby do dzisiejszego dnia wybudowany — ciągnęła dalej panna Kornelia ignorując zupełnie uwagę kapitana — gdyby sprawą nie zajęły się kobiety. Powiedziałyśmy sobie: naszym celem jest mieć kościół, podczas gdy celem mężczyzn jest klótnia do sądnego dnia. I że dość już mamy natrząsania się ze strony metodystów. Urządziłyśmy jedno zebranie, utworzyłyśmy komitet i urządziłyśmy zbiórkę. Gdy któryś z mężczyzn chciał zrobić jakąś uwagę, odpowiadałyśmy, że przez dwa lata budowali kościół, a teraz nasza kolej. I wierzye mi, w ciągu sześciu miesięcy kościół był wybudowany. Oczywista, jak mężczyźni zobaczyli nasz zapał, zaprzestali i oni sporów i zabrali się do dzieła, widząc, że albo trzeba pracować, albo pożegnać się z przewodnictwem. Ach, tak! Kobiety nie umieją prawić kazań albo przodować, umieją natomiast budować kościoły i zbierać na ten cel pieniądze.

— Metodyści pozwalają kobietom wygłaszać kazania — zauważył kapitan.

Panna Kornelia spojrzała na niego przejmującym wzrokiem.

— Nigdy nie twierdziłam, aby metody stom zbywało na rozsądku, ale muszę powiedzieć, że nie wierzę w ich zbytnią religijność.

— Zdaje mi się, że pani jest wielką zwolenniczką praw wyborczy ch dla kobiet — powiedział Gilbert.

— Wcale nie ubiegam się o prawa wyborcze — wzgardliwie odrzekła panna Kornelia. — Ja wiem, co to znaczy robić porządki po mężczyznach, ale przyjdzie dzień, w którym oni sami, stwierdziwszy, że wpakowali świat w takie położenie, że trudno im wybrnąć, dadzą nam prawa wyborcze i z największą radością wpakują na nasze ramiona wszelkie kłopoty. Oto ich plan. Całe szczęście, że kobiety są cierpliwe, wiercie mi.

— A co z Hiobem? — zapytał kapitan.

— Hiob! Cierpliwy mężczyzna to taki rzadki okaz, że jak jeden taki się znalazł, to postanowiono, że świat nie może o nim zapomnieć — z triumfem odparła panna Kornelia. — W każdym razie cnota ta nie zawsze idzie w parze z imieniem. Nie było bardziej niecierpliwego człowieka jak Hiob Taylor po drugiej stronie portu.

— No tak. Ale pani wie, że dużo było przyczyn, które wystawiały jego cierpliwość na próbę. Nawet pani nie może bronić jego żony. Nie zapomnę, co powiedział stary MacAllister na jej pogrzebie: „Nie ma najmniejszej wątpliwości, że należała do katolickiego kościoła, ale charakter miała diabelski”.

— Przypuszczam, że mogła być przykra — przyznała z wielką niechęcią panna Kornelia. — Ale to jeszcze nie usprawiedliwia tego, co Hiob powiedział w dzień jej pogrzebu. Dnia tego wracał z cmentarza razem z moim ojcem. Przez całą drogę ani słówkiem się nie odezwał, aż zbliżył się do domu. Wówczas ciężko westchnął i powiedział: „Możesz mi nie wierzyć, Stefanie, ale dziś jest najszczęśliwszy dzień w moim życiu”. Czy nie było to zupełnie po męsku?

— Zdaje mi się, że biedna, stara Hiobowa dość mocno utrudniała mu życie — głośno rozmyślał kapitan.

— Tak ale istnieje taka rzecz jak przyzwoitość, prawda? Nawet, jeżeli mąż cieszy się w głębi serca ze śmierci żony, to mimo tego nie powinien o tym głośno mówić. A szczęśliwy był te dzień czy też nie, Hiob Taylor wkrótce potem powtórnie się ożenił. Druga żona potrafiła z nim postępować. Nauczyła go chodzić na palcach, wiercie mi. Pierwszą rzeczą, jaką kazała mu zrobić, było postawienie pomnika na grobie pani Taylor, przy czym pozostawiła miejsce i na swoje nazwisko. Mówiła, że nikt by nie zmusił Hioba do postawienia pomnika na jej grobie.

— Jeżeli już mowa o Taylorach, jak się ma Lewis Taylor w Glen, doktorze? — zapytał kapitan.

— Powoli się poprawia, ale za to ona musi ciężko pracować — odpowiedział Gilbert.

— Jej mąż również ciężko pracuje, tuczy rasową nierogaciznę — powiedziała panna Kornelia. — Uchodzi za znacniejszego hodowcę świń. Nic więc dziwnego, że jego prosiaczki zaliczają się do najlepszych, podczas gdy jego dzieci rzeczywiście niewiele są warte. Zaglądz ją, głodzi również ich biedną matkę, która zamęcza się, aby je wychować. Świnie jego dostają śmietankę, a jednocześnie dzieci muszą się zadowolić chudym mlekiem.

— Są chwile, kiedy zmuszony jestem zgodzić się z panią, chociaż mi to sprawia przykrość — powiedział kapitan. — Niestety, mówi pani szczerą prawdę o Lewisie Taylorze. Czasami widuję te jego biedne dzieci pozbawione wszystkiego tego, co dzieci powinny mieć, zatrzuwa mi to na długi czas skromny kęs chleba.

Gilbert wyszedł do kuchni, dokąd go zawołała Ania; zamknęła drzwi i dała mu małą burę.

— Gilbertcie, ty i kapitan musicie przestać dołączać pannie Kornelii. Cały czas słuchałam was i nie mogę na to pozwolić.

— Aniu, panna Kornelia jest w najlepszym humorze — sama widzisz.

— No dobrze. Dajcie jej jednak spokój. Kolacja już jest gotowa i, Gilbertcie, nie pozwól, aby pani Małgorzata zaszowała gęsi. Wiem, że ona chce zaoferować swoje usługi w tym kierunku, bo myśli, że ty tego nie potrafisz. Tymczasem pokaz jej, co umiesz.

— Powinno mi się to udać. Studiowałem ten temat w ostatnich miesiącach — powiedział Gilbert. — Tylko nic nie mów do mnie wówczas, bo jak mi się pomiesza porządek krajania, to wyjdzie gorsza historia aniżeli u ciebie niegdyś z geometrią.

Gilbert pokrajał gęsi cudownie. Nawet pani Małgorzata musiała to przyznać. Pierwsza Wigilia Bożego Narodzenia udala się nadzwyczajnie i Ania z tego powodu była bardzo dumna. Wesolo bawiono się do późnej nocy. Po skończonej kolacji wszyscy zebraли się dookoła kominka, a kapitan opowiadał swoje przygody aż do chwili, kiedy czerwone promienie wschodzącego słońca pierwsze brzaski rzuciły na Przystań Czterech Wiatrów, a długie, błękitne cienie topoli padły na zwir pokrywający drogę.

— Muszę wracać do mej latarni — powiedział kapitan — i dziękuję za cudowny wieczór, pani Blythe. Niech pani przeprowadzi do mnie młodego pana Tadzia, zanim wyjedzie do domu.

— Muszę koniecznie zobaczyć te kamienne bogi — z zapałem powiedział Tadzio.





# XVI. Sylwestrowy wieczór w latarni morskiej



Cale towarzystwo z Zielonego Wzgórza powróciło po Bożym Narodzeniu do domu, przy czym Maryla solennie musiała obiecać, że na wiosnę przyjedzie na cały miesiąc. Przed Nowym Rokiem spadł obfity śnieg. Port zamarł, zatoka jednak rozciągająca się poza pokrytymi białym całunem polami wciąż wolna jeszcze była od lodów. Ostatni dzień starego roku był jednym z tych jasnych, zimnych dni grudniowych, które uderzają nas swym blaskiem i wywołują uczucie podziwu, ale nigdy miłości. Niebo było czyste i błękitne. Śnieg migotał niby brylanty. Cudownie wyglądały wysokie drzewa, wyciągając ku niebu swe nagie ramiona. Kryształowymi pociskami odbijały się na wzgórzach promienie słońca. Nawet cienie były ostre, sztywne i wyraźne, jakimi nie powinny być. Co było piękne, zdawało się być dziesięć razy piękniejsze, a mimo tego mniej pociągające w swym błyszczącym przepychu. A wszyscy brzydkie zdawało się być dziesięć razy brzydsze. Każdy zaś przedmiot był albo piękny, albo brzydki. Nie było miękkich półcieni, łagodnej ciemności, nieuchwytnego zamglenia w wahającym się wszędzie migotaniu. Jedyne jodły zachowały i teraz swą indywidualność. Bo jodła jest drzewem nieodgadnionych tajemnic i cienia i nigdy nie daje się zawojsować złudnym promieniom.

W końcu jednak i ten dzień zaczął się skłaniać ku zachodowi. Otoczył go mrok który przysłonił, a równocześnie podniósł jego piękność. Ostre kąty, migocące błyskotliwie, zwały się w wabiące światła. Białe port przybrał szarą i różową szatę, dalekie pagórki zaciemniły się ametystową barwą. — Cudownie uchodzi od nas stary rok — rzekła Ania. Ona, Gilbert i Ewa szli do latarni Czterech Wiatrów, umówili się bowiem z kapitanem, że tam będą oczekiwac Nowego Roku. Słońce skryło się za pagórkami, a na niebie zablęsał wspaniała, złocista Venus, zbliżywszy się jak tylko można najbardziej do swej siostry, ziemi. Po raz pierwszy Ania i Gilbert ujrzeli cienie rzucone przez tę gwiazdę wieczorną, te delikatne, tajemnicze cienie, widziane wówczas tylko, gdy ziemia owinięta jest ciemnym całunem.

— Wygląda to jak duch cienia — szepnęła Ania. — Patrząc przed siebie, widzisz go u swego boku, a znika natychmiast, jak tylko spojrzysz się nań wprost.

— Słyszałam, że cień rzucony przez tę gwiazdę można widzieć raz tylko w życiu i że w ciągu roku, od chwili kiedy go się zobaczyło, człowiek otrzyma swój najpiękniejszy dar — rzekła Ewa. Powiedziała to jednak raczej szorstkim tonem, jak gdyby myślała, że nawet cień Venus nie byłby w stanie dać jej tego daru.

Ania uśmiechnęła się. Wiedziała, jaki dar przygotowuje dla niej ów tajemniczy cień.

W latarni zastali już marszałka Elliota. W pierwszej chwili Ania była niezadowolona z obecności tego długowłosego i długobrodego dziwaka w zwykłym małym kółku. Ale marszałkowi bardzo prędko udało się udowodnić, że miał pełne prawo znajdować się w środowisku ludzi znających Józefa. Był to dowcipny, śmiały, oczytany człowiek, który mógł śmiało współzawodniczyć z kapitanem Jimem w umiejętności opowiadania ciekawych przygód. I wszyscy byli radzi, kiedy zgodził się razem z nimi witać Nowy Rok. Mały siostrzeniec kapitana, Joe, przyszedł również, by ze swym wujem spędzić wieczór sylwestrowy, wkrótce jednak usnął na sofie obok Maciusia, który na kształt wielkiej, złotej kuli zwinął się w kłębek u jego nóg.

— Czy nie przemily chłopak? — zawołał wpatrzony w niego kapitan. — Lubię patrzeć na śpiące dzieci. Jest to, moim zdaniem, najpiękniejszy widok na świecie. Joe lubi przychodzić tu na noc, ponieważ wtedy ja muszę z nim razem spać. W domu dzieli swe łóżę z dwoma innymi chłopakami, a to mu się wcale nie podoba. Lubi zadawać przedziwne pytania, na które i pastor nie umiałby odpowiedzieć. A już mnie doprawdy wprowadza w wielkie zakłopotanie.

„Wuju, gdybym nie był sobą, to kim bym był?” albo: „Wuju, co by się stało, gdyby Pan Bóg umarł?” Te dwa pytania postawił mi dziś, zanim położył się spać. A co się tyczy jego wyobraźni, to ta już jest całkiem niezwykła: smyk w myśla i opowiada najdziwniejsze historie, za co go potem matka zamyka do komórki. On w tym czasie stwarza nową opowieść i recytuje ją, jak tylko wypuszcza go na wolność.

Wesoło płynęły godziny dookoła płonącego jasno drzewa na kominku. Kapitan opowiadał różne historie, marszałek Elliot śpiewał szkockie ballady miłym tenorem, w końcu kapitan zdjął ze ściany brunatne, stare skrzypce i zaczął grać. Grał wcale niezłe, co wszyscy uznali oprócz Maciusia, który podskoczył na sofie, jakby go kto ukuł, wydał przy tym głośny okrzyk protestu i w dzikim poplochu drapnął z pokoju.

— W żaden sposób nie mogę wyrobić uznania dla muzyki w tym kocie — powiedział kapitan. — Nigdy nie chce poczekać nawet do połowy utworu. Pamiętam, jak sprowadzono nowe organy do kościoła w Glen. Stary prezes Fichardes podskoczył niby oparzony w chwili, kiedy organista uderzył w pierwsze akordy, i na łeb, na szyję wyleciał z kościoła. Przy pomina mi to zawsze zmykającego przed moimi skrzypcami Maciusia, tak że teraz często ledwo mogę się wstrzymać od śmiechu podczas nabożeństwa.

Było coś zaraźliwego w wesołych tonach, jakie kapitan „wydobywał ze swoich skrzypiec, bo w tej chwili nogi marszałka Elliota poczęły się niespokojnie poruszać. Był za młodu zwołanym tancerzem. Naraz wstał i porwał rękę Ewy. Zrozumiała natychmiast jego wezwanie. Poczęli krążyć w rytmicznym tańcu dookoła pokoju oświetlonego płomieniem na kominku. Ewa tańczyła jak natchniona; dzięki, słodkie tony skrzypiec zdawały się porywać ją i ogarniać całą. Ania patrzyła na nią oczarowana. Nigdy nie widziała czegoś podobnego. Zdawało się, że wszystkie czary i bogactwa natury Ewy wyrwały się na wolność i zalały zdrową barwą jej policzki, nadały blasku jej oczom i wdzięku jej ruchom. Obrazu tego nie mógł nawet zepsuć widok marszałka Elliota z jego długą brodą i spadającymi na ramiona włosami. Na odwrót, podnosiło to jeszcze wdzięk jej postaci. Marszałek Elliot sprawiał wrażenie Wikinga dawnych czasów, tańczącego z niebieskooką i złotowłosą córą północnych krań.

— Najpiękniejszy taniec, jaki kiedykolwiek widziałem — a widziałem ich sporo! — zawołał kapitan, kiedy w końcu ze zmęczonej ręki wypadł mu smyczek. Ewa padła na fotel zarumieniona, bez tchu.

— Lubię bardzo taniec — przyznała się Ani. — Nie tańczyłam od — szesnastego roku życia, ale lubię go zawsze. Zdaje mi się, że muzyka zaczyna krążyć w mych żyłach jak żywe srebro, i zapominam o wszystkim, wszystkim, oprócz rozkoszy poruszania się w jej takt. Nie czuję pod sobą podłogi, nie widzę dookoła ścian ani sufitu. Zdaje mi się, że płynę między gwiazdami.

Kapitan zawiesił skrzypce na starym miejscu, obok wielkich ram, poza którymi widniało kilkanaście banknotów.

— Czy znacie państwo kogokolwiek, kto by na swych ścianach zawieszał banknoty zamiast obrazów? — zapytał. — Wisi tu dwadzieścia banknotów dziesięciodolarowych, które razem niewarte są szłda, za którym są umieszczone. Są to stare noty bankowe. Miałem je przy sobie, jak bank zawiesił wypłaty, a potem oprawiłem je w ramy i zawiesiłem na ścianie, po pierwsze, aby stałe pamiętać, że nie należy zbyt ufać bankom, a po wtóre, aby czasem doznać wrażenia, że się jest bardzo bogatym człowiekiem. Halo, Maciuś! Nie przerażaj się! Możesz wrócić. Stary rok jeszcze tylko godzinę czasu ma przed sobą. Siedemdziesiąt sześć sylwestrów widziałem już mijających nad zatoką, pani Bly the!

— Zobaczysz ich pan sto! — zawołał marszałek Elliot. Kapitan potrząsnął tylko głową.

— Nie — i wcale sobie tego nie życzę, przynajmniej zdaje mi się, że sobie tego nie życzę. Śmierć staje się sympatyczniejszą w miarę, jak się starzejemy. Nie dlatego, aby ktokolwiek z nas życzył sobie umierać. Tennyson miał rację, gdy o tym mówił. W Glen żyje stara pani Wallace. W całym swym życiu przeżyła biedactwo masę nieszczęść. Straciła prawie wszystkich swych bliskich. Zawsze mówi, że będzie dla niej szczęściem, gdy nadejdzie chwila, kiedy opuści ten padół płaczu. A tymczasem ile krzyku, jak zachoruje. I doktorzy z miasta, i pielęgniarka, i tyle lekarstw, że psa można by tym otruć. Życie jest padolem płaczu, ale zdaje mi się, że są na nim ludzie, co lubią płakać.

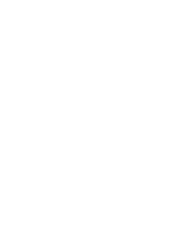
Ostatnią godzinę starego roku spędzono na spokojnej pogawędce dookoła kominka. Parę minut przed dwunastą kapitan wstał i otworzył drzwi.

— Musimy wpuścić Nowy Rok — powiedział. Na dworze była piękna, gwiazdzista noc. Błyszcząca taśma światła księży cowego migotała nad zatoką. Po tej stronie wału port świecił jak posadzka lustrzana. Stali wszyscy przed drzwiami i czekali: kapitan Jim z latami pełnymi doświadczenia, marszałek Elliot w pełni sił, Ania i Gilbert ze swymi drogimi wspomnieniami i nadziejami i Ewa z balastem zmarnowanych lat i perspektywą beznadziejnej przyszłości. Zegar na kominku wybił dwunastą godzinę.

— Witaj, Nowy Roku! — powiedział kapitan składając niski ukłon wraz z dwunastym uderzeniem. — Życzę wam wszystkim najlepszego roku w waszym życiu, spodziewam się, że cokolwiek Nowy Rok wam przyniesie, będzie to najlepsze, co Wielki Kapitan nam przeznaczył, i że wszyscy w taki czy inny sposób przybijemy szczęśliwie do portu.



# XVII. Zima w Czterech Wiatrach



Po Nowym Roku nastala ostra zima. Dokola domu potworzyly się duże zwały bielutkiego, puszystego śniegu, a mróz na oknach wyrysował całe gaje palmowe. Łód w porcie stwardniał i stał się tak gruby, że mieszkańcy Czterech Wiatrów mogli rozpocząć na nim swe zwykłe zimowe wędrówki. Dniami i nocami rozlegał się na drogach wesoly dźwięk dzwoneczków. W wyznaczonym domu słuchala ich Ania jak zaczarowanych dzwonów. I zatoka zamarzła, a światło w latarni zagasło. W zimowych miesiącach, kiedy żegluga ustawała, urząd kapitana Jima był tylko synekurą.

— Maciuś i ja nie mamy nic innego do roboty aż do wiosny, jak trzymać się ciepła i szukać rozrywek. Ostatni strażnik latarni zwykł był na zimę przenosić się do Glen, ja jednak chętnie zostaję na starym miejscu. Maciusia mogliby struci albo by go psy udusiły. Tu jest trochę smutno, to prawda, bo ani światła nie ma, ani wody. Ale jak nasi przyjaciele częściej będą nas odwiedzać, to jakoś przetrwamy.

Kapitan miał łódkę do jazdy po lodzie, w której on z Gilbertem, Anią i Ewą zrobili niejedną wariacką wycieczkę po zamrzniętym porcie. Poza tym Ania i Ewa robiły dalekie wycieczki na nartach w porcie, zwłaszcza po burzy, albo też w lasach. Dobrymi sobie były towarzyszami w czasie tych wycieczek czy też przy wieczornych pogawędkach przy kominku. Każda z nich miała coś do ofiarowania drugiej. I dzięki tej wymianie myśli życie wydawało im się ciekawsze. Każda z nich spoglądała na rozciągające się przed oknami pole pokryte białym puchem, z tym miłym przeświadczeniem, że niedaleko znajduje się dobry przyjaciel. Ale mimo to Ania wyczuwała jakąś zaporę między sobą a Ewą. Pewne skrępowanie nigdy nie dawało się zupełnie usunąć. — Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie udaje mi się do niej zbliżyć zupełnie — skarżyła się Ania kapitanowi. — Lubię ją tak bardzo, podziwiam, chciałabym ofiarować jej całe serce i wzajemnie dostać się do jej serduszka, a wciąż nie udaje się przekroczyć tej przeszkody.

— Bo miała pani za dużo szczęścia w życiu, pani Blythe — odrzekł kapitan. — Zdaje mi się, że to jest powód, dlaczego obie nie możecie się dobrze zrozumieć. Przeszkodą między wami są doznane zawody i smutki. Ani ona temu nie winna, ani pani. Przeszkoda jest i żadna z was nie może jej przekroczyć.

— Moje dzieciństwo nie było zbyt szczęśliwe, nim dostałam się na Zielone Wzgórze — rzekła Ania patrząc przez okno na ciche, smutne, a jednocześnie martwe piękno bezlistnych drzew, rzucających swe cienie na zalaną światłem księżycą przestrzeń.

— Może być, że nie było tam dużo szczęścia, ale była to zwykła niedola dziecka, którego nikt nie doglądał. Nie było tragedii w życiu pani, a życie nieszczęsnej Ewy jest jedną wielką tragedią. Ona czuje, prawdopodobnie zresztą podświadomie, że dużo jest w życiu spraw, których pani nie rozumiałaby i które musi przed panią ukryć z obawy, aby jej pani, rozpatrując te sprawy, nie dotknęła. Pani sama wie, że jak nas coś boli, to boimy się, by nas ktoś w to miejsce nie uraził. Mam wrażenie, że dotyczy to tak samo duszy, jak i ciała, a dusza biednej Ewy musi być jedną wielką raną. Nic też dziwnego, że ją ukrywa przed dotknięciem ludzi.

— Gdyby to było wszystko, kapitanie, nie dziwiłabym się wcale. Rozumiałabym to dobrze. Ale zdarzają się chwile, nie zawsze, ale od czasu do czasu, kiedy niemal mam pewność, że Ewa mnie nie lubi. Czasami udaje mi się uchwycić spojrzenie, w którym czytam jakąś nienawiść i niechęć. Trwa to chwilę, krótką chwilkę, ale jestem pewna, że je widziałam, a to mię boli, kapitanie. Nie jestem do tego przyzwyczajona, aby mnie nie lubiano, a poza tym tak bardzo zawsze starałam się pozyskać przyjaźń Ewy.

— I pożyła ją pani. Niech pani pozbędzie się jak najprędzej tej niemądrej myśli, jakoby Ewa miała pani nie lubić. Gdyby tak było, wcale by nie zbliżała się do pani i nie szukałaby tak bardzo pani towarzystwa, jak to się obecnie dzieje. Zna Ewę Moore zbyt dobrze, żebym nie był tego pewien.

— W chwili kiedym ją po raz pierwszy ujrzała pędzącą gęsi w dzień swego przyjazdu do Czterech Wiatrów, patrzyła na mnie takim samym wzrokiem — zapewniała Ania. — Czułam to, mimo całego mego podziwu dla jej piękności. Patrzyła na mnie z niechęcią. Zaręczam panu, kapitanie, że tak było.

— Niechęć musiała mieć źródło w czym innym. A pani dostała się jej częstka, bo w tej chwili pani właśnie tamtędy przejeżdżała. Na biedną Ewę przychodzą chwile rozpaczy. Kiedy zastanowię się nad jej życiem, doprawdy nie mam prawa gniewać się na nią. Nie pojmuję, jak coś podobnego może być dozwolone. Dużo rozmawiałem z doktorem na temat powstania tego zła, ale dotychczas nie udało nam się wszystkiego wyświecić. Strasznie dużo jest w życiu rzeczy, których nie można zrozumieć, prawda, pani Blythe? Czasami sprawy układają się gładko, jak między panią a doktorem, a czasem znowu wszystko idzie do góry nogami. Na przykład, niech pani spojrzy na Ewę. Mądra i piękna, myślałby kto — przeznaczona na królową, a tymczasem, biedactwo, odcięta od świata, pozbawiona wszystkiego, do czego kobieta przywiązuje wagę, bez żadnych nadziei na przyszłość, zmuszona całe życie opiekować się Ryszardem — to straszne. Chociaż powiem pani, że dla niej obecne życie jest znośniejsze aniżeli wówczas, zanim Ryszard wybrał się w podróż. Nie powinienem zresztą o tym wspominać i mieszać się ciągle do nie swoich spraw. Ale pani dużo jej już pomogła. Ona zupełnie się zmieniła, odkąd pani przyjechała do Czterech Wiatrów. My, starzy jej przyjaciele, widzimy zmiany, których panit nie może zauważyć. Rozmawiałem o tym z panną Kornelią i oboje równocześnie stwierdziliśmy ten fakt. A wobec tego niech pani odrzuci wszelką myśl, jakoby Ewa mogła pani nie lubić.

Ania jednak nie potrafiła wyzbiec się zupełnie tego przekonania. Zdarzały się bowiem chwile, kiedy wyczuwała instynktem, którego nie można było pokonać rozmowaniem, że Ewa żywiła do niej dziwną, nie dającą się określić niechęć. Czasami ta utajona świadomość psuła całą rozkosz ich przyjaźni, ale często Ania o tym zapominała. Wyczuwała jednak wciąż, że jest gdzieś ukryty cień i że w każdej chwili może ją ukuć. Bezlitosne udukcie tego ciernia uczuła w dniu, kiedy opowiadała Ewie, jaki cudowny podarek dla jej wymarzonego domu przyniesie najbliższa wiosna. Ewa spojrzała na nią ostrymi, gorzkimi i nieprzyjaznymi oczami.

— A więc i to pani również dostanie? — powiedziała zduszonym głosem i odwróciwszy się bez słowa, połam i poszła do domu. Ania czuła się głęboko dotknięta. W pierwszej chwili zdawało się, że już nigdy nie zbliży się do Ewy. Ale kiedy kilka dni później Ewa przyszła znowu i była taka miła i pełna serdeczności, dowcipna i wesoła, oczarowana Ania zapomniała o wszystkim. Tylko nigdy już więcej nie wspomniała jej o swych drogich nadziejach. Ewa ze swej strony nie poruszała tego tematu. Lecz jednego wieczora, kiedy ostatnie dni zimy miały ustąpić przed zbliżającym się powiewem wiosennych wiatrów, przyszła do małego domu na wieczorną pogawędkę, a kiedy odchodziła, pozostawiła na stole małe, białe pudełko. Ania odkryła je dopiero po wyjściu Ewy i otworzyła la zdziwiona. Była tam maluczna sukienka cudownej roboty, z delikatnym haftem i ślicznymi zakładeczkami: prawdziwe cacko! Każdy ścieg był ręcznej roboty, a rękawki i wyściecie u szyjki ozdobione precydnymi mikoronkami. Obok leżała karteczka z dopiskiem „od kochającej Ewy”.

„Je ona godzin musiała nad tym pracować — pomyślała Ania wzruszona — a materiał sam musiał więcej kosztować, aniżeli ona może sobie na to pozwolić. Jakaż ona kochana!”

Ewa jednak odpowiedziała szorstko i krótko na jej późniejsze podziękowanie. I Ania uczuła się znowu odepchnięta.

Podarunek Ewy nie był jedynym w małym domu. Panna Kornelia zaprzestała na razie szycia wyprawek dla niepożądanych ósmych z rzędu dzieci, a zabrała się do pracy nad wyprawką dla bardzo gorąco oczekiwanego pierwszego dziecka, któremu przygotowywano najlepsze przyjęcie. Iza i Diana przysłały wspaniałe ubranka. Pani Małgorzata Linde przysłała ich kilka. Doskonale gatunek i solidna robota zastępowały misterne hafty i koronki. Ania sama przygotowała kilka ubranek, których nie sprofanowała maszyną do szycia, a nad którymi spędzała najmiłsze chwile tych szczęśliwych ch, zimowych wieczorów.

Kapitan był bardzo częstym gościem w małym domu i nikt nie był tak mile widziany jak on. Z każdym dniem Ania coraz bardziej przywiązywała się do starego, o prostej duszy, żeglarza. Swą obecnością oddziaływał jak ożywczy podmuch morza. W swych opowiadaniach był tak zajmujący jak świetna kronika. Nigdy nie męczyła się słuchaniem o jego przygodach, a jego spokojne uwagi i rozmyślania sprawiały jej stałą rozkosz. Kapitan Jim należał do tych interesujących ch ludzi, którzy nigdy nie gadają, lecz którzy mówią. Ludzka dobroć i mądrość były w nim tak zharmonizowane, że tworzyły rzadko spotykaną całość.

— Mam wrażenie, że przy swoim sobie zwyczaj cieszenia się ze wszystkiego — powiedział pewnego razu, gdy Ania zastanawiała się nad jego ciągłą wesołością. — Stan ten jest do tego stopnia chroniczny, że zdaje mi się, iż nawet nieprzyjemne rzeczy sprawiają mi radość. To takie pocieszające, gdy człowiek sobie pomyśli, że nie mogą wiecznie trwać. „Stary reumatyzmie — mówię sobie, jak bóle zbyt silnie mnie chwycą — przyjdzie chwila, że i ty przestaniesz mnie męczyć. A im więcej sprawiasz bólu, tym prędzej, zda się, uśniesz. Ja zawsze nad tobą będę triumfował, albo za życia, a jak nie, to po śmierci!”.

Pewnego wieczora przyniósł „księgę swego życia” i z dumą pokazał Ani.

— Napisałem ją, żeby mały Joe miał co czytać — powiedział. — Wcale sobie nie życzę, aby wszystko, co widziałem lub co przeżyłem, poszło w zapomnienie, gdy udam się w moją ostatnią podróż. Joe będzie o tym pamiętał i będzie opowiadał o tym swoim wnukom.

Był to stary, w skórę oprawny tom, cały zapełniony opisami przygód kapitana. Ania oceniła, jakie to mogło być niewyczerpane źródło dla pisarzy. Każde zdanie miało wagę zota. Z literackiego punktu widzenia księżka nie przedstawiała zbytich wartości. Cały urok opowiadania kapitana zniżał z chwilą, kiedy brał do ręki pióro. Tylko w krótkich słowach kreślił przebieg swych przeżyć, lecz gramatyka i styl pozostawiały dużo do życzenia. Ale Ania zdawała sobie sprawę, że gdyby ktoś obdarzony talentem literackim dostał ten opis dzielnego, pełnego przygód życia, a mógł między wierszami wyczytać o tych niebezpieczeństwach, którym człowiek ten mężnie stawił czoło, i o spełnionych po męsku obowiązkach, to stworzyłby z tego materiału wspaniałą powieść. I pełne dowcipu komiczne sceny, i ponure, tragiczne wydarzenia ukrywały się w księdze życia kapitana Jima; czekały na rękę mistrza, aby wywołać w tysiącach ludzi szczerzy śmiech, żal i przerażenie. Ania poruszyła ten temat wracając z Gilbertem do domu.

— Czemu sama tego nie spróbujesz, Aniu? Ania potrząsnęła główką.

— Nie. Chciałabym, ale to nie leży w mej mocy. Ty, Gilbercie, wiesz, że mnie odpowiadają tematy fantastyczne, czarodziejskie i mile. Aby napisać należycie książkę kapitana, trzeba być mistrzem pełnego siły, ale równocześnie misternego stylu. Trzeba być zarówno głębokim psychologiem, jak urodzonym humorystą i urodzonym tragikiem. Doprawdy, wymaga ona skojarzenia wielu talentów. Jaś mógłby tego dokonać, gdyby był starszy. W każdym razie mam zamiar go poprosić, aby przyjechał w najbliższe lato i poznał się z kapitanem.

*Przyjedź do nas — pisała Ania do Jasia. — Obawiam się, że nie spotkasz tu Nory ani Złotej Pani, ani Braci Żeglarzy, natomiast spotkasz pewnego starego żeglarza, który Ci opowie przepiękne historie.*

Ale Jaś odpisał, że nie będzie mógł w tym „roku przyjechać, bo wybiera się na dwa lata na studia za granicę.

*Jak wrócę, nie omieszkam zjawić się w Czterech Wiatrach, droga Nauczycielko — pisał.*

— A tymczasem kapitan staje się coraz starszy i nie będzie chyba nikogo, kto by napisał księgę jego życia — ze smutkiem powiedziała Ania.



# XVIII. Wiosenne dni

Lód w porcie zrobił się ciemny i miękki pod wpływem marcowego słońca. W kwietniu z powrotem okryły się błękitem wody portu i wiatrem poruszana, zdołna białymi i czapeczkami piany, zatoka; i znów latarnia morska rzucała w nocne mroki snopy światła.

— Taka jestem rada, że widzę to światelko — mówiła Ania pierwszego dnia po jego ukazaniu się. — Brakowało mi go przez całą zimę. Północno—zachodnie niebo zdawało się ciemne i opuszczone bez niego.

Ziemia pokryła się delikatnymi, złotawozielonymi trawami. Lasy za Glen skryły się za szmaragdową zasłoną; nad ranem doliny od strony morza pełne były czarodziejskich mgieł.

Gwałtowne wiatry nadleciały z posmakiem soli w swym oddechu. Morze śmiało się, migotało i nęciło jak przepiękna kokietka. Rozpoczął się polów śledzi, które nadpływały całymi falami. Wioski rybackie przebudziły się do nowego życia. Port pełen był białych żagli płynących w stronę kanału. Okręty znów rozpoczęły swe wędrówki w świat daleki, aby potem przybijać z powrotem do portu.

— W taki poranek, jak dziś, wiem dokładnie, co będzie odczuwać moja dusza w dzień zmartwychwstania — mówiła Ania.

— Są takie dni na wiosnę, kiedy zdaje mi się, że mógłbym być poetą, gdybym za młodu zaczął pisać — zauważył kapitan. — Sam się chwytam na wygłaszaniu wierszy, które sześćdziesiąt lat temu słyszałem z ust nauczyciela. Kiedy indziej nie zastanawiam się nad nimi. Teraz zaś jestem zdolny stanąć na skale albo pójść w pola, albo popłynąć na morze i deklamować.

Kapitan Jim zjawił się tego ranka w małym domku, aby przynieść Ani trochę muszli do ogrodu i wiązkę pachnącej trawy, którą zebrał podczas swojej wędrówki nad brzegiem.

— Rzadko się tę trawkę spotyka teraz nad brzegami — powiedział. — Kiedy byłem małym chłopcem, pełno jej było. A teraz tylko od czasu do czasu można trafić na małą kępkę i nigdy wtedy, kiedy się człowiek wybierze z zamiarem szukania jej, przy padkiem tylko musi się na nią natknąć. Idziesz wzdłuż brzegu, nie myśląc wcale o pachnącej trawie, a nagle czujesz, że całe powietrze prześięknięte jest jej zapachem, i masz tę trawkę pod swoimi stopami. Bardzo lubię jej zapach, on mi zawsze przypomina moją matkę.

— Czy ona ją tak lubiła? — zapytała Ania.

— Przyznam się, że nie wiem. Nie wiem nawet, czy kiedykolwiek widziała pachnącą trawę. Wydaje mi się jednak, że są to pewnego rodzaju matczyne perfumy, wie pani, coś takiego dojrzałego, zdrowego i odpowiedzialnego, zupełnie jak matka, Zona nauczyciela stale trzymała tę trawkę między chustkami. Niech pani schowa wiązkę pomiędzy swoimi, pani Blythe. Nie lubię tych kupnych zapachów, ale zapach pachnącej trawy powinien zawsze tam być, gdzie jest dama.

Bez zbytniego entuzjazu przyjęła Ania ofiarowane jej przez kapitana muszle. Myśl, że ma nimi udekorować gazony i grzędy kwiatów w swym ogródku, nie bardzo jej w pierwszej chwili przypadła do smaku. Z drugiej strony nie chciała za nic w świecie urazić kapitana w jego uczuciach, wobec tego zrobiła dobrą minę i podziękowała mu serdecznie. Ale potem, jak już kapitan każył gazonik otoczył rżędem muszleek, Ania ze zdziwieniem spostrzegła, że efekt był zupełnie udatny. W mieście, a nawet w Glen nie byliby się one nadały jako ozdoba, ale tu, w tym staroświeckim, nad morzem położonym ogródku wymarzonego domku, były zupełnie na miejscu.

— Jakże one ładnie wyglądają! — zawołała szczerze.

— Żona nauczyciela zawsze otaczała gazonik muszlami — powiedział kapitan. — Ona doskonale umiała chodzić koło kwiatów. Spoglądała na nie i dotykała — ot tak — i rosły jej jak na drożdżach. Niektórzy ludzie mają już taki dar, zdaje mi się, że i pani go ma, pani Blythe.

— Ach, nie wiem; kocham jednak mój ogród i lubię w nim pracować. Praca koło kwiatków, czuwanie nad każdym pędem, jaki się wykrada z ziemi, jest moim zdaniem przykładaniem ręki do tworzenia. Mój ogródek jest jak wiara, podstawą rzeczy spodziewanych.

— Zawsze jestem zdumiony, gdy patrzę na te male, szare ziarenka i myślę o tych kolosach, które w nich tkwią — powiedział kapitan. — Jak się zastanawiam nad tymi ziarnkami, wcale mi nietrudno uwierzyć, że jest w nas dusza, której przeznaczeniem jest żyć w innych światach. Gdyby pani nie widziała tego cudu, to bodaj czy mogłaby pani uwierzyć, że w tych kuleczkach, czasami nie większych jak pyłek, pulsuje życie, nie mówiąc już o kolorach i zapachach, prawda?

Ania, która liczyła dni jak paciorki różańca, nie mogła już przedsiębrać dalekich wycieczek do latarni lub do Glen. Natomiast panna Kornelia i kapitan bardzo częstymi byli gośćmi w małym domku. Panna Kornelia była pociechą i radością Ani i Gilberta w ich życiu. Serdecznie się zawsze śmieli po jej odejściu z jej sposobu mówienia. A jak się zdarzyło, że w tym samym czasie przypadła wizyta kapitana, wówczas dyskusja zawsze była ożywiona. Stacjali oboje całe bitwy słowne, ona atakując, on broniąc. Ania nieraz robiła wymówki kapitanowi za dokuczanie pannie Kornelii.

— Lubię ją rozruszać — śmiał się niepoprawny winowajca — to moja najlepsza zabawa. Jej język byliby w stanie rozłupać kamień, a pani i doktor bawicie się przy tym tak doskonale jak ja sam.

Pewnego wieczora zjawił się kapitan w małym domku i przyniósł Ani bukciecik konwalii. Ogród pełen był wilgoci i zapachu wiosennego wieczoru. Na skraju morza całowanego promieniami księżycyca rozciągały się mleczne, białe mgły; nad Glen migotały złotem miliardy gwiazd. Dostojnie roznosił się odgłos kościelnego dzwonu. Miękkim ton wędrował przez mgłę wieczorną i mieszał się z cichutkimi jękami fal uderzających o brzegi. Kwiaty kapitana były ostatnim, uzupełniającym pociągnięciem ku podniesieniu uroku tego wieczoru.

— Nie widziałam ich jeszcze tej wiosny, odczuwałam ich brak — powiedziała Ania kryjąc twarz w wiązance kwiatów.

— Tu, w okolicy Czterech Wiatrów, wcale ich nie ma, rosną w lasach za Glen. Dziś wybrałem się w tamte strony na małą wycieczkę i udało mi się odszukać je dla pani. Zdaje mi się, że to już ostatnie w tym sezonie, bo prawie mijają.

— Jaki pan jest kochany i jak pan o mnie pamięta, kapitanie, nikt inny, nawet Gilbert — w tym miejscu spojrzała w stronę męża — nie pamiętał, że ja tak tęsknię zawsze do tych wiosennych kwiatów.

— Tak przy tej sposobności miałem i drugą sprawę do załatwienia, mianowicie musiałem zanieść panu Howardowi kilka pstrągów. Przepadła za nimi, a to jest jedyna rzecz, jaką mogę mu się odwdziżyć za okazaną w swoim czasie przysługę. Spędziłem całe popołudnie na rozmowie z nim. Bardzo mnie lubi, chociaż jest uczony, a ja tylko taki sobie prosty marynarz. Należy do tych ludzi, co to muszą dużo mówić, inaczej są nieszcześliwi, a tak mało ma dookoła siebie słuchaczy. Ludzie z Glen unikają go, bo go uważają za niewierzącego. Mało jest takich ludzi jak on — heretyk. Heretycy to niedobry naród, ale za to bardzo interesujący. Zdawać by się mogło, wie pani, że oni w pewnej mierze zgubili nadany im obraz i podobieństwo Pana Boga. Mówią na przykład, że trudno Go znaleźć, co wcale nie jest prawdą. Większa część ich, zdaje mi się, wraca do Boga. Z mej strony uważam, że słuchanie argumentów pana Howarda nie może przynieść szkody. Niech pani pamięta, że wierzę w to, w co od dzieciństwa uczono mnie wierzyć. Oszczędza to całej masy kłopotów, a poza tym Bóg naprawdę jest taki dobry! Całe nieszczęście pana Howarda pochodzi stąd, że jest on, moim zdaniem, trochę za mądry. Wyobraża sobie, iż musi koniecznie zastosować swe życie do swych zapatrywań i że w ogóle należy zbudować jakąś nową drogę, aby dostać się do nieba z pominięciem tego starego traktu, którym wędrują prości, niewykształceni ludzie. No, ale na pewno przyjdzie czas, kiedy zawróci, i wówczas sam z siebie będzie się śmiał.

— Pan Howard był metodystą, i od tego trzeba było zacząć — zauważyła panna Kornelia, jakby tym chciała zaakcentować, że stąd do herezji tylko mały krok.

— Wie pani, Kornelio — z powagą powiedział kapitan — że gdybym nie był prezbiterianinem, to chciałbym zostać metodystą.

— Tak, tak — zgodziła się panna Kornelia — gdyby pan nie był prezbiterianinem, dość obojętne, czym by pan został. Ale skoro już mówimy o heretykach, przypomina mi się ta książka, którą mi pan dał do czytania, doktorze: „Prawa natury w życiu duchowym” — przeczytałam tylko trzecią część. Mogę czytać książki z sensem albo książki bezsensowne, ale ta nie jest ani jednym, ani drugim.

— Uważają ją w pewnych sferach za książkę heretycką — przyznał Gilbert. — Ale ja na to zwróciłem pani uwagę z samego początku, panno Kornelio.

— Ach, nie by to nie szkodziło, gdyby kwestia dotyczyła herezji. Zgodzę się na niemoralność, ale nie znoszę głupoty — powiedziała panna Kornelia tonem nie dopuszczającym żadnej dyskusji na temat „Praw natury w życiu duchowym.”

— Kiedy mowa o książkach, to „Szalona miłość” skończyła się wreszcie przed dwoma tygodniami — zauważył zadumany kapitan. — Doszła ona do stu trzech rozdziałów! Odetchnąłem, jak się już pożenił. Książka się skończyła, a tym samym, przypuszczam, i ich nieszczęścia. To doprawdy przyjemnie, jeżeli bohaterowie powieści nas zainteresują, a ich sprawy dobrze się kończą. Chociaż nawet tak nie bywa w życiu w tych samych okolicznościach, prawda?

— Nigdy nie czytuję romansów — oznajmiła panna Kornelia. — Wie pan może, kapitanie, co dziś sły chać u Jerzego Russe l?

— Tak, wstępowałem do niego w drodze powrotnej do domu. Cieszy się dobrym zdrowiem, ale, jak zwykle, siedzi po uszy w kłopotach, biedaczysko. To prawda, że większą ich część sam sobie nawarzył, ale myślę, że one przez to nie są lepsze do zmiesienia, nieprawdaz?

— Jest okropnym pesymistą — oświadczyła panna Kornelia.

— Ach, nie — właściwie nie można go nazwać pesymistą, tylko on nigdy nie może natrafić na coś takiego, co mu dogadza.

— A czy to nie jest pesymizm?

— Nie. Pesymistą jest ten, kto nigdy nie spodziewa się osiągnąć tego, co by mu dogadzało. Jerzy Russel jeszcze tak daleko nie zaszedł.

— Jimie Boyd, pan nawet w diable znalazłby coś godnego pochwały.

— A może słyszała pani historię tej starej damy, która powiedziała, że on jest bardzo wytrwały? Ale nie, Kornelio, ja nic dobrego o diable nie mogę powiedzieć.

— Czy pan w ogóle wierzy w złego ducha? — zapytała panna Kornelia zupełnie serio.

— Jak pani może pytać wiedząc, że jestem prezbiterianinem? Jak może prezbiterianin obejść się bez diabła?

— Czyżby? — nalegała panna Kornelia. Naraz kapitan stał się bardzo poważny.

— Wierzę w to, co pastor nazwał na kazaniu potężną, rozumną i złośliwą siłą, pracującą we wszechświecie — powiedział uroczystym głosem. — W to wierzę, Kornelio. Może pani nazwać tę siłę diabłem czy pierwiastkiem zła, czy belzebubem, czy jeszcze inaczej, to mi jest obojętne. Wszyscy heretycy i niedowiarki świata nie potrafią unicestwić jej, jak nie potrafią unicestwić Boga. Ona jest i ona pracuje. Ale niech mi pani wierzy, Kornelio, że z czasem zostanie pokonana.

— Na pewno. Ja też w to wierzę — przyznała panna Bryant zresztą nie tak bardzo przekonany m tonem. — Przy tej sposobności muszę zauważyć, że Billy Booth jest na pewno nawiedzony przez diabła. Słyszeliście o najnowszym czynie Billa?

— Nie, co się stało?

— Spalił nową brązową suknię swej żony, za którą zapłaciła dwadzieścia pięć dolarów w Charlottetown. Thumaczył jej, że mężczyźni patrzyli na nią ze zbyt wielkim podziwem podczas ostatniego nabożeństwa. Czy nie po męsku?

— Pani Booth jest bardzo piękną osobą i w brązowym kolorze bardzo jej było do twarzy — zauważył kapitan.

— Czy to ma być powód, aby jej nową suknię pakować do pieca? Billy Booth jest zazdrosnym głupcem i unieszczęśliwia tylko swą żonę. Cały tydzień płakała z żalu za swą sukienką. Ach, ach! Jak ja bym chciała mieć pani talent pisarski, Aniu, niech mi pani wierzy, miałabym ładną kolekcję mężczyzn z naszego otoczenia do opisan ia.

— Członkowie rodziny Booth są trochę dziwaczn i — powiedział Kapitan. — Billy był uważany za najrozsądniejszego z całej paczki, do czasu póki się nie ożenił. Wówczas to wyszedł na jaw rys charakteru, jakim jest zazdrość, a brat jego, Daniel, był większym jeszcze dziwakiem.

— Stale co kilka dni dostawał napadów złego humoru i nie chciał wylazić z łóżka — dodała z wielkim upodobaniem panna Kornelia. — Całą robotę musiała wykonywać jego żona, póki mu ta fantazja nie przeszła. Po jego śmierci ludzie pisali do niej listy z wyrazami współczucia. Ja raczej posłałabym jej gratulacje z tego powodu. Ich ojciec, stary Abraham, był niemożliwym pijakiem. Upił się przed pogrzebem swej żony i wcią ż powtarzał zataczając się: „Ja nie pi... i... lę m du... du... żo, a maam ta... akie dziw... wne wrażenie”. Dałam mu parasolkę po karku, jak się znalazł na podwórzu, i to go otrzeźwiło do czasu, kiedy trumnę wynieśli z domu. Młody Janek Booth miał się wczoraj żenić. Tymczasem wesele się nie odbyło, bo zachorował naraz na świnkę. Czy nie po męsku?

— Jakim sposobem nabawił się świnki, biedny chłopak?

— Ja bym mu dała biednego chłopaka, wierzcie mi, gdybym była Kasią Sterns! Nie wiem, jak dostał świnki, ale to wiem, że biesiada weselna jest przygotowana i wszystko się teraz zepsuje, zanim on łaskawie przyjdzie do zdrowia. Tyle szkody! Powinien był zachorować na to, jak był małym chłopcem.

— No, no, Kornelio! Czy nie uważa pani, że to trochę niedorzeczne, co pani opowiada?

Panna Kornelia nie uważała za stosowne odpowiedzieć, a zwróciła się natomiast do Zuzanny Baker, wprawdzie brzydkiej, ale za to bardzo dobrej starej panny z Glen, która zainstalowała się na kilka tygodni w małym domku jako służąca do wszystkiego. Zuzanna wróciła właśnie z Glen, dołąd poszła odwiedzić chorą.

— Jak się ma dziś nasza biedna, stara pani Mandy? — zapytała panna Kornelia.

Zuzanna z gestem głębokiego współczucia załamała ręce i westchnęła:

— Bardzo źle, bardzo źle. Boję się, że niedługo biedactwo będzie w niebie.

— Ach, przecież na pewno nie jest aż tak źle! — zawołała panna Bryant.

Kapitan i Gilbert spojrzeli na siebie, a następnie wstali naraz i wyszli z pokoju.

— Są chwile — zawołał dusząc się kapitan — w których byłoby grzechem nie roześmiać się! Co za wspaniałe dwa typy kobiece!





# XIX. Świt i zmierzch

W pierwszych dniach czerwca, kiedy na wzgórzach zakwitły dzikie róże, a całe Glen tonęło w kwiatach jabłoni, przybyła do małego domku Maryla w towarzystwie wielkiej walizy, obitej mosiężnymi gwoździami, która od pół wieku spoczywała w ciszy jakiegoś kąta Zielonego Wzgórza.

Zuzanna Baker, która w czasie swego kilkutygodniowego pobytu w małym domku nauczyła się ubóstwiać „młodą panią doktorową”, jak w ślepych zapale nazywała Anię, spoglądała z początku na Marylę zazdrosnym i niechętnym okiem. Kiedy się jednak przekonała, że Maryla nie ma zamiaru mieszać się do jej spraw w kuchni ani przeszkadzać w usługiwaniu Ani, pogodziła się szybko z jej obecnością i opowiadała swym przyjaciółkom, że panna Cuthbert jest miłą, starą damą, która dobrze wie, jakie miejsce jej się należy.

Pewnego wieczoru, kiedy przezroczyście cisza niebios jaśniała w czerwieni zachodzącego słońca, a małe ptaszyny świergotały w złocistych półmrokach swe hymny do gwiazd, wszczął się nagły ruch w małym domku. Wieści wysłane zostały telefonicznie do Glen i wnet potem przyjechał doktor Tomasz z pielęgniarką w białym czepku. Maryla, chodząc w ogródku między muszlami dookoła gazoników, odmawiała modlitwy, a Zuzanna siedziała w kuchni, z zatkanymi i fartuchem narzuconym na głowę.

Ewa widziała ze swego okna, że w małym domku świeciły się wszystkie lampy, i nie mogła zasnąć całą noc.

Krótką jest noc czerwcową, zdała się jednak wiecznością dla tych, którzy czuwali i czekali.

— Czy to się nigdy nie skończy? — zawołała Maryla. Widziała poważne twarze doktora i pielęgniarki i bała się dalej pytać przypuszczając, że Ania... ale Maryla nie chciała nic przypuszczać.

— Niech mi pani nie mówi — zawołała gwałtownie Zuzanna, w odpowiedzi na udrękę w oczach Maryli — że mógłby Bóg być tak okrutny, aby zabrać spośród nas to niewinne jagniątko, które tak bardzo kochamy!

— Zabierał już inne, równie gorąco kochane — odrzekła Maryla ochryplym głosem.

Wreszcie, o świcie, kiedy wschodzące słońce przedarło zasłonę z mgieł, wiszącą nad portem, i promieniami swymi nadało jej kolory tęczy, radość zapanowała w małym domku. Ania była uratowana, a obok niej leżała małutka istotka z dużymi oczkami i swętałkami. Gilbert, na którego szarej twarzy odbiły się wszystkie troski i cierpienia minionej nocy, przyszedł, aby donieść o tym Maryli i Zuzannie.

— Dzięki niech będą Bogu! — szepnęła Maryla. Zuzanna wstała i wyjęła watę z uszu.

— No, a teraz do śniadania! — zawołała. — Mam wrażenie, że wszyscy będą radzi z malej zakąski i zupy. Proszę powiedzieć młodej pani doktorowej, żeby o nic się nie troszczyła. Ster domu jest w rękach Zuzanny. Może myśleć tylko o swym dziecku.

Gilbert smutnie się uśmiechnął odchodząc. Ania z bladą twarzą, z oczyma, w których płonął święty ogień macierzyńskiej miłości, nie potrzebowała, aby jej przypominano o obowiązkach względem dziecka. O niczym innym nie myślała. Przez kilka godzin czuła w sobie tyle szczęścia, że pytała, czy go jej nie zazdroszczą anieli w niebie.

— Moja Joyce — szepnęła, kiedy Maryla przyszła, aby zobaczyć maleństwo. — Postanowiliśmy tak nazwać dziewczynkę. Tyle było imion, które chcieliśmy jej nadać i nie mogliśmy zdecydować się na żadne. A potem zgodziliśmy się na Joyce, w skróceniu Joy — radość. To tak dobrze się nadaje. Ach, Marylo! Myślałam, że dawniej byłam szczęśliwa. Teraz wiem, że wówczas miałam tylko piękne sny o szczęściu. Dziś dopiero stało się ono rzeczywistością.

— Nie mów zbyt dużo, Aniu. Musisz poczekać, aż będziesz mocniejsza — ostrzegła Maryla.

— Wiesz, jak mi trudno przychodzi milczenie — uśmiechnęła się Ania.

W pierwszych chwilach była zbyt osłabiona i zbyt szczęśliwa, żeby zauważyć wyraz powagi na twarzach Gilberta i pielęgniarki, a niepokoju w oczach Maryli. Potem tak cicho, zimno, beztłonie jak mgły skradające się od morza przestracach począł wciskać się do jej serca. Dlaczego Gilbert nie okazywał więcej radości? Dlaczego nie chciał mówić o dziecku? Dlaczego nie chcieli jej przynieść dzieciny po tej pierwszej godzinie niebiańskiego szczęścia? Czy... czy stało się coś złego?

— Gilbertcie — błagalnie szepnęła Ania — czy dziecko ma się dobrze, powiedz, powiedz?

Długiej chwili trzeba było, żeby Gilbert się do niej zwrócił. Potem nachylił się nad Anią i spojrzął jej w oczy. Maryla przerażona, stojąc za drzwiami, usłyszała bolesny jęk i uciekła do kuchni, gdzie zastała zapłakaną Zuzannę.

— Biedne jagniątko, biedne jagniątko! Jak ona to znieśie, panno Cuthbert? Boję się, że ją to zabije. Taka była szczęśliwa i tak czekała na to dziecko, i tyle robiła planów na jego przyszłość. Czy nic nie można poradzić?

— Niestety, myślę, że nie, Zuzanno. Gilbert mówi, że nie ma żadnej nadziei. Od pierwszej chwili wiedział, że dziecina nie będzie żyła.

— I taka słodka istotka — szlochała Zuzanna. — Nie widziałam nigdy tak białego dziecka. Najczęściej są czerwone albo żółte. A oczy to otworzyła, jakby już miała kilka miesięcy. Takie maleństwo! O biedna młoda pani doktorowa!

O zachodzie słońca mała duszyczka, która zjawiła się o świcie, odeszła zostawiając za sobą zbolełe serca. Panna Kornelia odebrała małutką, białą istotkę z rąk dobrej, ale obcej pielęgniarki i ubrała małe ciałko w tę śliczną sukieneczkę uszytą przez Ewę. Ewa prosiła o to. Potem zaniesiono ją i położono obok biednej, złamanej, zalanej łzami matki.

— Bóg dał, Bóg wziął, kochanie — mówiła przez łzy panna Kornelia. — Błogosławione niech będzie Jego Imię...

Odeszła potem, pozostawiając Anię i Gilberta samych z drogą, zmarłą dzieciną.

Następnego dnia złożono małą, białą Joy w trumience wybitej alsamitem, którą Ewa ubrała kwiatami jabłoni, i zanie—siono na cmentarz za kościołem, obok przystani. Panna Kornelia i Maryla poskładały wszystkie ubranka i schowały je razem z przystrojoną koronkami i frędzelkami kołyską, w której miało spoczywać drobne ciało i puszysta główka. Nie było przeznaczone małej Joy spać tam. Znalazła sobie inne, zimniejsze i skromniejsze łóżeczko.

— Bardzo to jest wielki zawód dla mnie — westchnęła panna Kornelia. — Oczekiwałam tego dziecka i życzyłam sobie bardzo, aby to była dziewczynka.

— Ja mogę tylko podziękować Bogu, że życie Ani zostało uratowane — powiedziała Maryla, z drżeniem przypominając sobie te ciężkie chwile, kiedy jej ukochana wychowanka zdawała się już wędrować przez dolinę duchów.

— Biedne, biedne jagniątko, jej serce jest zupełnie złamane! — dodała Zuzanna.

— A ja zazdroszczę Ani! — zawołała gwałtownie Ewa. — Zazdroszczę jej, nawet chociaż dziecko umarło! Przez jeden cudowny dzień była matką. Chętnie oddałabym za to moje życie!

— Ja bym tego nie mówiła, kochanie — zauważyła z prośbą w głosie panna Kornelia. Bała się, aby taka godna osoba jak Maryla nie nabrała złego wyobrażenia, o Ewie.

Rekonwalescencja Ani była długa i dużo rzeczy sprawiało jej nieznośny ból. Kwitnące drzewa i słońce w Czterech Wiatrach szarpały jej duszę, a gdy ciężko padały krople deszczu, wyobrażała sobie, jak bezlitośnie uderzają w tę mogilkę za przystanią. W podmuchach wiatru dokoła małego domku zdawała się słyszeć pełne smutku głosy, jakich nie słyszała nigdy przedtem.

Dobrzy ludzie, którzy ją odwiedzali i najszczerzymi i zresztą słowami pociechy starali się przysłonić całą okropność poniesionej straty, ranili również jej serce. List, jaki otrzymała od Izy Blake, był jednym akordem więcej. Iza słyszała o przyjsciu na świat dziecka, nie wiedziała nic natomiast o jego śmierci i napisała list z gratulacjami, pełen wesela, który Anię strasznie zabolął.

— Tak bym się cieszyła z tego listu, gdybym miała obok siebie moje dziecko — z łkaniem mówiła do Maryli — ale teraz wydaje mi się, że to umyślne jakieś okrucieństwo. Chociaż wiem, że Iza za nic w świecie nie zrobiłaby mi takiej przykrości. Ach, Marylo, nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze będę mogła, być szczęśliwą! Wszystko będzie mi sprawiać przykrość, aż do końca mego życia.

— Czas ci pomoże — odparła Maryla, która rada by była wyrazić Ani jak najpiękniej całą swą miłość, a nie umiała ubrać inaczej swych uczuć jak w stare, oklepane słowa.

— To nie jest sprawiedliwe! — zawołała buntując się Ania. — Dzieci się rodzą i żyją tam, gdzie nikt ich nie chce, gdzie się o nich nikt nie troszczy, gdzie nie mają żadnej przyszłości. Ja bym tak kochała moje małeństwo i tak dobrze bym się nim opiekowała, i tak starałabym się mu zapewnić dobrą i szczęśliwą przyszłość, a przecież nie było mi pozwolone zachować go dla siebie.

— Tak Bóg chciał, Aniu — powiedziała Maryla, bezradna wobec zagadki śmierci. — Małej Joy teraz jest o wiele lepiej.

— Nie uwierzę w to! — z goryczą zawołała Ania. A zobaczywszy, że Maryla spojrzła na nią z wyrzutem, dodała zmieszana: — To po co przyszła na świat? Dlaczego w ogóle rodzą się dzieci, jeżeli ma im być lepiej po śmierci? Nie wierzę, a żeby dla dziecka było lepiej umrzeć zaraz po urodzeniu aniżeli przejść przez całe życie, kochać, być kochanym, radować się i cierpieć, wykonać całą swą pracę i rozwinąć cechy, które by mu dały w wieczności jakąś indywidualność. A skąd możesz wiedzieć, że to była wola boska? Może to było właśnie pokrzyżowanie planów boskich przez siły zła? Nie można od nas wymagać, abyśmy się z tym pogodzili!

— Ach, Aniu, nie mów tak — szepnęła Maryla, już naprawdę przerażona, nie chcąc, aby Ania zapuściła się za daleko na niebezpieczne wody. — My nie możemy wszystkiego zrozumieć, ale musimy mieć wiarę, że wszystko jest jak najlepiej zarządzone. Wiem, że trudno ci w to uwierzyć właśnie teraz, ale staraj się być dzielną choćby dla dobra Gilberta. On taki zmartwiony z twego powodu. Nie nabierasz sił tak szybko, jak by to powinno być.

— Ach, wiem, że jestem bardzo samolubna — westchnęła Ania. — Kocham Gilberta więcej niż kiedykolwiek i chcę żyć dla niego. Ale przy tym zdaje mi się, że cząsteczka mnie samej została pochowana tam, na cmentarzu za przystanią, a to tak bardzo boli, że boję się życia.

— Nie zawsze cię to będzie tak bolało, Aniu.

— Myśl, że przestanie mnie to kiedykolwiek boleć, jest dla mnie jeszcze bardziej nie do zniesienia niż wszystko inne, Marylo.

— Tak wiem. Odczuwałam to samo w stosunku do innych rzeczy. Ale my cię wszyscy tak kochamy, Aniu. Kapitan by wa tu codziennie i pyta o ciebie. Pani Moore zachodziła wciąż, a panna Bryant spędza tu większą część dnia, gotując dla ciebie różne dobre rzeczy. Zuzannie nie bardzo to się podoba. Wyobraża sobie, że gotuje co najmniej tak dobrze jak panna Bryant.

— Kochana Zuzanna! Ach, wszyscyście by li tacy dobrzy dla mnie. Nie jestem wcale niewdzięczna. I może, jakten straszny ból trochę się uciszy, przyjdę do przekonania, że mogę dalej żyć.



# XX. Zaginiona Małgorzata

Ania doszła do przekonania, że może dalej żyć; przyszedł nawet dzień, kiedy znowu śmiała się z uwag panny Kornelii. Był jednak w tym śmiechu odcień jakiś, którego nie słyszało się dawniej i który już na zawsze pozostał.

Pierwszego dnia, kiedy mogła wybrać się na wycieczkę, Gilbert zabrał ją do przylądka i tam ją zostawił, a sam czólnem popłynął w górę kanału, aby odwiedzić swego pacjenta w wiosce rybackiej. Wesoly wietrzyk igrał wzdłuż przystani i wydłm piaszczy stych, tworzył na wodzie białe czapeczki piany, a na przybrzeżne piaski pędził długie grzebienie fal.

— Dumny jestem, że panią znów widzę, pani Blythe — powiedział kapitan. — Proszę, niech pani usiądzie. Jestem w strachu, że za dużo tu dziś pyłu, ale mając taką scenę przed sobą, nie potrzebuje pani zważać na pył, nieprawda?

— Nie zważam na pył — L odrzekła Ania. — Ale Gilbert twierdzi, że muszę jak najwięcej przebywać na świeżym powietrzu. Myślę, że lepiej będzie, jak zejść na dół i usiąść na skale.

— Chciałaby pani mieć towarzystwo czy woli pani być sama?

— Jeżeli pod słowem „towarzystwo” rozumie pan siebie, to wolę raczej je niż samotność — uśmiechnęła się Ania. Potem westchnęła. Dotychczas nie zwracała uwagi na samotność. Teraz obawiała się jej. Przytłaczała ją obecnie podwójnym ciężarem.

— Jest tu piękne miejsce, gdzie pani wiatr nie dosięgnie — powiedział kapitan, jak doszli do skały. — Często tu siedzę; to wspaniałe miejsce do marzeń.

— Ach, marzenia! — zawołała Ania. — Moje marzenia skończyły się.

— Ależ nie, nie, pani Blythe. To nieprawda — żywo zaprzeczył kapitan. — Wiem, co pani teraz czuje, ale za jakiś czas przyjdzie chwila, że pani znowu będzie szczęśliwa, a pierwszą rzeczą będą nowe marzenia. Dzięki Bogu za nie. Lepiej, aby nas od razu pochowano, aniżeli odebrano możność snucia marzeń. Jak by śmy mogli znieść życie bez naszych, na przykład, marzeń o nieśmiertelności? A to jest, proszę pani, marzenie, które bezwarunkowo się spełni. Przyjdzie dzień, w którym pani znów ujrzy swoją małą Joyce.

— Ale ona nie będzie moim dzieckiem — powiedziała Ania drżącymi ustami. — Będzie może, jak mówi Longfellow: „piękną dziewczyną o niebiańskim wdzięku”, ale dla mnie będzie zupełnie obca.

— Bóg to lepiej urządzi, jestem pewien — powiedział kapitan.

Na chwilę oboje umilkli, a potem kapitan odezwał się cichym głosem:

— Pani Blythe, czy mogę pani opowiedzieć historię zaginionej Małgorzaty?

— Oczywiście — odpowiedziała Ania uprzejmie. Nie wiedziała, kim była „zaginiona Małgorzata”, ale spodziewała się usłyszeć jedną z przygód kapitana.

— Dawno już chciałem pani o niej opowiedzieć — ciągnął dalej kapitan. — A wie pani dlaczego? Bo chcę, żeby ktoś o niej pamiętał i myślał, jak ja już odejdę. Nie mogę pozwolić na to, aby imię jej miało pójść w zapomnienie. A obecnie nikt, oprócz mnie, nawet nie pomyśli o zaginionej Małgorzacie.

Kapitan chrząknął i zaczął opowiadać starą, bardzo starą, zapomnianą historię. Już pięćdziesiąt lat minęło od czasu, kiedy Małgorzata usnęła pewnego dnia w łódce swego ojca i popłynęła — tak przynajmniej przypuszczano, bo nie pewnego nie dało się ustalić — wzdłuż kanału, następnie poza wał utworzony przez piaszczy stą wydłmę — na otwarte morze, aby zginąć w burzy, która nagle wezbrała całą siłą i rozszalała się w owo letnie popołudnie. Ale dla kapitana tych pięćdziesiąt lat zdawało się dniem jednym.

— Miesiącami całymi wędrowałem wzdłuż brzegów, zrozpaczony, chcąc odnaleźć drogie ciało, morze jednak nigdy go nie zwróciło. Lecz ja ją kiedyś odnajdę, pani Blythe, ja ją odnajdę, ona czeka na mnie. Chciałbym opowiedzieć pani, jak ona wyglądała, ale nie potrafię. Widziałem pewnego razu cudną, srebrzystą mgłę zawieszoną nad wałem o wschodzie słońca i wydała mi się podobna do niej, a potem widziałem białą brzozę w lasku tam daleko i znowu ona przysłała mi na myśl. Miała brunatne włosy i bladą, słodką twarzyczkę, i długie, szczupłe paluszki, jak pani, tylko bardziej opalone, bo to była wiejska dziewczyna. Czasami budzę się w nocy i słyszę, jak mnie woła morze i zdaje mi się, że dolatuje mnie głos zaginionej Małgorzaty. A kiedy nad przystanią rozszałe się burza i kiedy rozkołysane wichrem fale zaczną łkać i jęczeć, to dolatuje mnie między tymi głosami płacz Małgosi. A gdy fale śmieją się w promienne, słoneczne dni, wyobrażam sobie, że słyszę śmiech jej, słodki, dziewczęcy śmiech. Morze mi ją zabrało, ale kiedyś ją odnajdę. Nic nie zdola rozłączyć nas na zawsze.

— Jestem rada, że mi pan opowiedział jej historię — odezwała się Ania. — Często dziwiło mnie, dlaczego pozostał pan samotny.

— Nikt więcej mi się nie podobał, zaginiona Małgorzata zabrała ze sobą moje serce — powiedział stary marynarz, który przez pięćdziesiąt lat dochował wiary swej ukochanej. — Pani się nie gniewa na mnie, że tyle o niej mówię? Dla mnie to wielka rozkosz, bo ból minął, a zostało błogosławieństwo jej drogiej pamięci. Wiem, że pani jej nigdy nie zapomni, a mam nadzieję, że lata przyniosą w prógi paninego domku inne małe dary. Chciałbym, aby mi pani przyrzekła, że opowie pani kiedyś swoim dzieciom historię Małgosi, Niech pamięć o niej nie zaginie między ludźmi.



# XXI. Usunięte zapory

Aniu — odezwała się—Ewa przerywając krótką chwilę milczenia. — Nawet sobie nie wyobrazasz, jak to przyjemnie siedzieć obok ciebie, pracować i gawędzić, i milczeć razem.

Siedziały między kwiatami niezapominajek nad brzegiem strumyka w Aninym ogródku. W cicho szemrzącej wodzie odbijały się promienie słońca, wrzosa rzucały na nie swe cętkowane cienie, róże wzdłuż ścieżek jaśniały całym przepychem rozwiniętych kielichów. Słońce chyliło się z lekka ku zachodowi, powietrze pełne było przeróżnych szmerów, które zlewały się razem w monotonną, ale przepiękną symfonię. Jedną pieśń śpiewał wiatr szelestem jodeł za domem, inną grały fale uderzające o brzeg, a jeszcze inną donosił z daleka dźwięk dzwonów na wieży kościółka, obok którego spała snem wiecznym małutka biała pani. Ania lubiła ten dzwon, chociaż w tej chwili przywodził smutne myśli.

Zdumiona spojrzała na Ewę, która odłożyła na bok robótkę i przemówiła ze szczerością zupełnie u niej niezwykłą.

— W ową straszną noc, kiedy byłaś tak chora — mówiła dalej Ewa — ciągle myślałam o tym, że może nigdy więcej nie będziemy ze sobą rozmawiały, razem spacerowały ani razem pracowały. Wówczas dopiero zrozumiałam, czym była twoja przyjaźń dla mnie — tak jak ty ją pojmowałaś — i jakim byłam niezdolnym, niegodziwym stworzeniem.

— Ewo, Ewo, nigdy nie pozwolę ubliżyć mym przyjaciółom.

— To święta prawda, tym właśnie jestem: wstrętnym, niskim stworzeniem. Jest jedna rzecz, z której muszę się wypowiadać przed tobą, przypuszczam, że będziesz mną potem gardzić, ale wypowiadać się muszę. Aniu, były chwile, wówczas ostatniej zimy i wiosny, kiedy nienawidziałm ciebie.

— Wiedziałam o tym — rzekła spokojnie Ania.

— Ty o tym wiedziałaś?!

— Tak czytałam to w twoich oczach.

— A przecież mimo tego zawsze mnie lubiłaś i byłaś dla mnie dobrą przyjaciółką?

— Bo tylko czasami mnie nienawidziłaś, zdaje się, w innych chwilach kochałaś mnie.

— Z pewnością tak było. Ale to gorsze moje uczucie zawsze było gdzieś na dnie mego serca i psuło moją miłość dla ciebie. Starałam się je ukryć, czasami zapominałam o nim, czasami jednak wyostawało się ono na zewnątrz i ogarniało mnie całą! Nienawidziałm cię, bo ci zazdrościłam. Boże, ja czasami byłam chora z zazdrości przez ciebie! Miałas słiczny, kochany domek i miłość, i szczęście, i słodkie marzenia — wszystko, czego mnie brakowało, czego nigdy nie mogłam się spodziewać, że będzie moim udziałem. Och, nigdy nie mogłam tyle co ty osiągnąć! To mnie kłuło. Nigdy bym ci tego nie zazdrościła, gdy bym mogła mieć nadzieję, że moje życie będzie kiedyś inne. Ale nie miałam nadziei, nie miałam i zdawało mi się, że to niesprawiedliwość. Buntowałam się i bolało mnie to, i dlatego chwilami nienawidziałm cię, Ach, jakże się tego wstydziłam! Umieram w tej chwili ze wstydu, ale nie mogłam pokonać tego uczucia. A tej nocy, kiedy przerażona myślałam, że możesz umrzeć, sądziłam, że zostanę ukarana za moją złość, i wówczas pokochałam cię tak bardzo. Aniu, Aniu, nie miałam nikogo od śmierci mej matki, kogo bym kochała, chyba starego psa Ryszarda. To taka straszna rzecz, jak się nie ma nikogo do kochania, życie staje się takie puste, a nie ma nic gorszego jak pustka. A przecież ja powinnam była cię tak bardzo kochać, a teraz wszystko się popsuło.

Ewa drżała. Tak bardzo była wzburzona, że prawie traciła wątek.

— Zostaw, Ewo — błagała Ania — przestań, ja rozumiem, przestańmy o tym mówić.

— Muszę, muszę! Jak ty tylko dowiedziałam się, że zostaniesz przy życiu, zaprzy sięgłam sobie, że kiedy zupełnie wyzdrowiejesz, powiem ci, że nie mogę przyjąć twojej przyjaźni i towarzystwa bez wypowiedania się, jaka ja byłam niedobra i jak mało na twoją przyjaźń zasługiwałam. Przy tym tak bardzo bałam się, że to ciebie do mnie zrazi.

— Nie potrzebujesz wcale tego się obawiać, Ewo.

— Taka jestem rada, taka rada, Aniu — Ewa silniej zacisnęła swe opalone, spracowane ręce, aby powstrzymać i uciszyć ich drżenie. — A teraz, kiedy już zaczęłam, chcę ci wszystko powiedzieć. Zdaje się, że nie przy pominasz sobie tej chwili, kiedy cię po raz pierwszy ujrzałam — to nie było w ów wieczór nad brzegiem.

— Nie, było to tej nocy, kiedy z Gilbertem jechałam do domu. Pędziłaś w dół pagórka swe gęsi. Pamiętam tę chwilę bardzo dobrze: byłaś wtedy taka piękna. Całymi tygodniami marzyłam o tym, żeby się dowiedzieć czegoś bliższego o tobie.

— Ja zaś wiedziałam, kim jesteś, mimo że was oboje przedtem nigdy nie spotykałam. Słyszałam tylko o nowym doktorze i jego żonie, którzy mają zamieszkać w domu panny Russel. Ja... ja nienawidziałm cię wtedy, Aniu.

— Widziałam nienawiść w twych oczach, ale potem miałam wątpliwości, bo jakiz mógł być powód ku temu?

— Był powód, bo w oczach twoich widniało tyle szczęścia.

Ach, teraz zgodzisz się chyba że mną, że byłam niegodziwym stworzeniem. Nienawidziłm innej kobiety za to tylko, że jest szczęśliwa, to wstrętne, a przecież przez to szczęście ja nie nie traciłam. I dlatego nie chciałam początkowo cię odwiedzić. Wiedziałam dobrze, że powinnam była pójść, nawet nasze proste zwyczaje w Czterech Wiatrach tego wymagały, ale nie mogłam się na to zdobyć. Często śledziłam cię z mego okna, widziałam, jak wieczorami spacerowałaś z mężem w ogródku albo jak wychodziłaś w topolową aleję na jego spotkanie, i to mnie bolało. A z drugiej strony, tak bardzo chciałam przyjść do ciebie. Czulałam, że gdy bym nie była tak nieszczęśliwa, znalazłabym w tobie to, czego nie miałam w całym życiu — serdeczną, prawdziwą przyjaciółkę w moim wieku. Czy przy pominasz sobie ten wieczór na wyrzeżu? Obawiałaś się, że będę cię uważała za szaloną, a tymczasem ty myślałaś, że ja nią jestem.

— Nie, ale nie mogłam cię zrozumieć; w jednej sekundzie przyciągałaś mnie i odpychałaś równocześnie.

— Byłam bardzo nieszczęśliwa tego wieczora. Miałam za sobą ciężki dzień. Ryszard trudny był bardzo wtedy do prowadzenia. Zwykle jest potulny i dobroduszny, ale bywają chwile, kiedy jest zupełnie inny. Taka byłam nieszczęśliwa, że pobięgłam na brzeg, jak ty tylko usnął. To był jedyndy mój przytułek Myślałam o tym, w jaki sposób zakończył życie mój biedny ojciec i czy ja będę zmuszona kiedyś iść w jego ślady. Ach, moje serce było pełne najczarniejszych myśli. I w tej chwili ty zjawiłaś się skacząc wzdłuż brzegu jak szczęśliwe, rozradowane dziecko. Ja, ja cię więcej wtedy nienawidziałm niż kiedykolwiek indziej. A przecież tak ląkałam twojej przyjaźni. Chęć zbliżenia władała mną przez jeden moment, lecz wnet zjawiła się nienawiść. Kiedy wracałam do domu, plakałam ze wstydu, co też ty sobie o mnie pomyśliśz. I zawsze było tak samo, nawet i wówczas, gdy ty przychodziłam. Raz cieszyłam się i byłam szczęśliwa, a drugim razem to wstrętne uczucie psuło mi całą radość. Były chwile, kiedy wszystko dokoła ciebie i dokoła tego domu sprawiało mi ból. Miałas tyle pięknych rzeczy, których ja nie mogłam mieć. Wiesz, to śmieszne, ale specjalną złość czulałam do tych dwóch chińskich piesków. Przychodziły chwile, kiedy chciałam złapać Goga i Magoga i stuknąć o siebie ich czarnymi, impertynenckimi noskami. Śmiejesz się, Aniu, ale dla mnie wcale to nie było wesołe. Przychodziłam tu i widziałam ciebie i Gilberta z waszymi księżkami i kwiatami, i bibelotami, z waszymi miłymi dowcipami i z waszą wzajemną miłością okazowaną każdym spojrzeniem nawet bez waszej wiedzy. A potem wracałam do domu do... wiesz, do czego ja wracałam. Ach, Aniu! Nie wierzę, bym z natury była zazdrośna i zawistna. Kiedy byłam małą dziewczynką, brakowało mi wielu rzeczy, które mieli moi koledzy, i nigdy mi nie przychodziło na myśl zazdrościć im tych drobiazgów albo ich za to nie lubić. Ale zdaje mi się, że potem stałam się taka niegodziwa.

— Ewo najdroższa, przestań się oskarżać. Nie jesteś ani niegodziwa, ani zazdrośna, ani zawistna. Życie, które musisz znosić, wypaczyło cię trochę, ale ono każdą inną osobę, mniej szlachetną i mniej piękną aniżeli ty, do cna by zniszczyło. Pozwalam ci mówić o tym, bo wierzę, że lżej ci będzie, jak wy powiesz się i zrzucisz ten ciężar z serca, ale więcej się nie obwiniaj.

— Dobrze, nie będę, chciałam tylko, żebyś poznała mnie taką, jaką rzeczywiście jestem. Ta chwila, kiedyś mi powiedziała o swej najdroższej nadziei, była najgorsza ze wszystkich. Nigdy sobie nie wybaczę mego zachowania wtedy; ze łzami w oczach żalowałam później tego. Za to właśnie dużo miłości włożyłam w małą sukieneczkę, którą wypracowałam dla twego dziecka. Powinnam była jednak zrozumieć, że wszystko, cokolwiek bym zrobiła, będzie w końcu tylko całunem

śmiertelnym.

— Ależ, Ewo, to takie gorzkie i przykre, co mówisz; powinnaś odrzucić te myśli. Ja się tak cieszyłam z tej sukieneczki. A teraz, kiedy straciłam małą Joyce, z prawdziwą radością myślę sobie, że ubranko, które ona miała na sobie, ty szyłaś i podczas tej roboty nauczyłaś się mnie kochać.

— Wiesz, Aniu, wydaje mi się, że od tej chwili nie przestanę cię już kochać. Nie wierzę, żeby kiedykolwiek jeszcze wróciło to brzydkie uczucie zazdrości wobec ciebie. Mam wrażenie, że wypowiedziawszy się, pozbyłam go się raz na zawsze. Ono jest nierealne, a ja miałam je za bardzo prawdziwe i bardzo przykre. To tak wygląda, jakbyś otworzyła drzwi do innego pokoju, aby pokazać jakąś maskarę, która tam się znajdowała, a tymczasem, jak ty lko światło rozjaśniło pokój, okazało się, że potwór był tylko cieniem rozplywającym się pod wpływem promieni. Nigdy nie stanie on między nami.

— Nie. My jesteśmy teraz prawdziwymi przyjaciółkami, Ewo, i ja doprawdy bardzo jestem z tego rada.

— Mam nadzieję, że nie zrozumiesz źle tego, co ci powiem, Aniu. Byłam przejęta do głębi serca, kiedy straciłaś swoją dziewczynę, i gdybym mogła ją ocalić, chętnie dałabym uciąć sobie rękę. Ale twoje cierpienie zbliżyło nas ku sobie. Twe doskonałe szczęście nie jest już więcej zaporą. Ach, nie rozum mnie źle, kochana! Ja nie cieszę się z tego, że twoje szczęście już nie jest zupełne — całkiem szczerze to mówię — ale właśnie dlatego przepaść między „nami nie jest już taka głęboka.

— Rozumiem i to również. A teraz zamknijmy całą przeszłość i wszystko, co w niej było niemiłego. Od tej chwili będzie już inaczej. Teraz obie należymy do rodu Józefa. Myślę, że byłaś zupełnie niezwykła. O Ewo, nie mogę się pozbyć myśli, że życie i dla ciebie chowa dobrą i miłą niespodziankę.

Ewa potrząsnęła głową.

— Nie — rzekła glucho — nie mam nadziei. Zdrowie Ryszarda nie polepszy się, a nawet gdyby przyszedł zupełnie do siebie, to, Aniu, byłoby jeszcze gorzej, o wiele gorzej niż obecnie... To jest coś, czego nie rozumiesz ty, szczęśliwa małżonka, Aniu. Czy panna Kornelia opowiadała ci, kiedy i w jaki sposób wyszłam za Ryszarda za męża?

— Tak

— To dobrze; chciałam, żebyś się tego dowiedziała, a sama nie mogłam się na to zdobyć i o tym mówić. Aniu, mam wrażenie, że od chwili kiedy skończyłam dwanaście lat, życie przynosiło mi same tylko gorzkie chwile. Przedtem miałam takie szczęśliwe dzieciństwo! Byliśmy biedni, ale nie zwracaliśmy na to uwagi. Ojciec był takim wspaniałym człowiekiem, taki był mądry, kochający i kochany. A matka była taka słodka. Była bardzo, bardzo piękna. Ja jestem do niej podobna, ale nie jestem tak piękna jak ona.

— Panna Kornelia mówi, że jesteś o wiele piękniejsza.

— Ona myli się albo też jest uprzedzona. Zdaje mi się, że może mam lepszą figurę. Matka była szczupła i pochylona wskutek ciężkiej pracy, ale miała twarz anioła. Patrzyłam na nią z największą czcią. Wszyscyśmy ją ubóstwiali — ojciec, Karolek i ja.

Ania przypomniała sobie, że panna Kornelia całkiem odmiennie opisywała matkę Ewy. Czy miłość jednak nie patrzy inaczej, prawdziwiej? A przecież było samolubstwem ze strony Róży West kazać córce wyjść za męża za Ryszarda Moore.

— Karolek to był mój brat — ciągnęła dalej Ewa. — Ach, nie potrafisz ci opisać, jak go kochałam. A on w taki straszny sposób stracił życie. Wiesz jak?

— Wiem, kochanie.

— Aniu, widziałam jego małą twarzyczkę zmiążdżoną kołami wozu, bo upadł na znak. Aniu, Aniu, widzę to i teraz, zawsze będę widziała! Proszę Boga tylko o to, żeby wspomnienie tej chwili zatarało się w mej pamięci. O mój Boże!

— Ewo, nie mów o tym, znam tę historię — nie wspominaj o tych szczegółach, które tylko ranią serce bez potrzeby.

Po pewnej chwili Ewa odzyskała równowagę.

— Potem ojciec zaczął zapadać na zdrowiu, rozpacz jego była coraz większa i począł tracić panowanie nad sobą. O tym także słyszałaś?

— Tak

— Później została mi tylko matka. Byłam bardzo ambitna. Chciałam dawać lekcje, aby zarobić i móc o własnych siłach skończyć studia. Chciałam zejść daleko, ale i o tym nie będę mówiła, nie warto, wiesz, co się stało. Nie mogłam dopuścić, żeby moją biedną matkę, złamaną życiem, miano wyrzucić na stare lata z domu. Chciałam się przenieść. Bezwarunkowo mogłam tyle zarobić, aby utrzymać nas obie. Ale matka nie mogła opuścić domu. Wkroczyła doń jako młoda żona — ona tak bardzo kochała ojca — i wszystkie jej wspomnienia były z tym domem związane. Nawet teraz, Aniu, kiedy sobie pomyślę, że dzięki mnie w szczęściu upłynął jej ostatni rok życia, nie żałuję mego kroku. A co do Ryszarda, nie czułam do niego nienawiści, kiedy za niego wychodziłam za męża. Odnosiłam się do niego obojętnie, lecz po przyjacielisku, tak jak do wszystkich mych kolegów ze szkoły. Wiedziałam, że trochę pije, ale nigdy nie słyszałam o jego innych sprawkach. Gdybym o tym wiedziała, nigdy bym nie wyszła za niego, nawet ze względu na matkę. Później zmienawdziłam go, ale matka nigdy o tym się nie dowiedziała. Ona umarła, a ja zostałam sama. Miałam siedemnaście lat i byłam sama. Ryszard odpłynął na „Czterech Siostrach”. Miałam nadzieję, że niedużo będzie przebywał w domu — morze miał we krwi — innej nadziei nie miałam. Tymczasem kapitan przywiózł go do domu, jak słyszałaś, i to wszystko, co o tym można powiedzieć. Teraz już wiesz o mnie, Aniu, najgorsze rzeczy. Przeszkody zostały usunięte. Czy wcióż chcesz jeszcze być moją przyjaciółką?

Ania spojrzała przez gałęzie brzoź na bladą plamę księżyca, odbywającą wędrówkę ku przepaści, w którą właśnie zapadło zachodzące słońce. Twarz jej miała wyraz pelen słodyczy. — Jestem twoją przyjaciółką, a ty bądź moją na zawsze — powiedziała — — Taką przyjaciółką, jakiej nigdy w życiu nie spotykałam. Miałam już wielu przyjaciół kochanych i drogich, ale w tobie jest coś, czego nie znalazłam u nikogo dotychczas. Ty, ze swoją bogatą naturą, masz mi bardzo wiele do ofiarowania, a ja z mej strony mogę ci dać więcej, niż dawałam w mych beztroških latach dziewczęcych. Obie jesteśmy kobietami, a to nas tym bardziej wiąże węzłami wiecznej przyjaźni. Uścisnęły się za ręce i uśmiechnęły do siebie przez ty, które ukazywały się i w siwych, i w niebieskich oczach.





# XXII. Panna Kornelia porządkuje sprawy

Gilbert uparł się, aby zatrzymać Zuzannę przez całe lato; Ania początkowo sprzeciwiała się temu. — Tak dobrze być tylko we dwoje, Gilbercie; gdy jest jeszcze ktoś trzeci, psuje się cały nastrój. Zuzanna jest bardzo miłą i dobrą osobą, ale jest obca. Mnie praca domowa wcale nie męczy.

— Musisz uważać na to, co ci doktor kazał — odpowiedział Gilbert. — Czy znasz to stare przysłowie, że żony szewców chodzą boso, a żony lekarzy umierają młodo? Nie życzę sobie, aby to się sprawdziło na moim gospodarstwie. Zatrzy mam Zuzannę tak długo, aż cała sprężystość twojego ciała powróci, a twe policzki wypełnią się i nabiorą rumieńców.

— Niech pani będzie spokojna, droga pani doktorowo — powiedziała Zuzanna, która nagle weszła do pokoju. — Niech pani sobie odpoczywa, nie troszczy się o spiżarnię, Zuzanna dzierży ster w rękę. Nie widzę powodu trzymać psa i samej szczekać! Śniadanie przyniosę pani do łóżka codziennie rano.

— Wcale tak nie będzie—zaśmiała się Ania. — Właśnie, że zgadzam się z panną Kornelią, że to zgorzsenie, kiedy kobieta je śniadanie w łóżku. To tylko usprawiedliwia męskie niegodziwości.

— Ach, Kornelia! — lekceważąco odezwała się Zuzanna. — Jestem pewna, droga pani doktorowo, że pani jest dość rozsądna,, aby nie zważać na to, co mów panna Kornelia. Nie rozumiem, dlaczego ona zawsze musi tak używać na męskim rodzic. Ja także jestem starą panną, a nigdy pani nie Usłyszała, bym lżyła mężczyzn: lubię ich! Gdyby m mogła, wysłabym zaraz za mąż za którego z nich. Czy to nie pocieszne, że nikt mi się nigdy nie oświadczył, droga pani doktorowo? Przyznaję, że nie jestem pięknoscią, ale nie jestem też brzydza od szeregu mężatek, jakie się spotyka. A przecież nigdy nie miałam adoratora. Jak pani sądzi, jaka jest tego przyczy na?

— To może być tylko przeznaczenie — oświadczyła Ania . najuroczywszy m tonem.

Zuzanna skinęła głową potakująco.

— Tak samo i ja sobie myślałam, droga pani doktorowo, i to dla mnie wielka pociecha. Nie mogę się o to gniewać, że mnie nikt nie zechciał, jeżeli Bóg tak postanowił dla swych wielkich a niezbadanych wyroków. Chociaż czasami mam pewne wątpliwości i podejrzewam, że stary diabeł przekora musiał w tym palce umoczyć. Wówczas wcale nie czuję się zregznowana. A może — dodała Zuzanna rumieniąc się rozkosznie — i mnie się trafi jeszcze mąż. Często, często myślę o starej gadce, którą wciąż powtarzała moja matka: „Każda potwora znajdzie swego amatora”. Kobieta nigdy nie może być pewna, czy nie wyjdzie za mąż, dopóki jej nie pochowają. Tak, droga pani doktorowo... A tymczasem upiekę ciastka z czereśniami. Wydaje mi się, że doktor je lubi, a chętnie gotuję dla kogoś, kto to ocenić potrafi.

Po południu wpadła panną Kornelia trochę zadyzana.

— Nie bardzo mnie obchodzi świat i jego diabelskie sztuczki, ale czasami mnie irytuje — przyznała. — Aniu droga, wciąż pani źle wygląda. Czy to tylko zdaje mi się, że tu pachną ciastka z czereśniami? Moje czereśnie przypadły przez tych łobuzów, synów Gilmana z Glen.

— No, no, Kornelio — zaprotestował kapitan, który w kącie pokoju czytał książkę — nie powinna pani tak się wyrażać o tych dwóch biednych, osieroconych przez matkę chłopcach, chyba że pani ma poważne dowody. Nie należy ich zaraz uważać za złodziejów jedynie dlatego, że ich ojciec nie uchodzi za zbyt uczciwego człowieka. Jest o wiele prawdopodobniejsze, że szczygły zjadły panine czereśnie. Ogromnie ich dużo tego lata.

— Szczygły! — lekceważąco wykrzyknęła panna Kornelia.

— Tak, tak, dwunożne szczygły, wierz pan mnie!

— Tak, tak, w Czterech Wiatrach już tak się dzieje że szczygłami, że jak chodzą, to na dwu nogach — z powagą zauważył kapitan.

Panna Kornelia na moment wlepiła weń wzrok, potem zaś, oparłszy się o krzesło, wybuchnęła długim, serdecznym śmiechem.

— Nareszcie mnie pan dostał, Jimie Boyd — zawołała — i przyznaję się do tego! Aniu droga, niech pani patrzy, jaki on zadowolony, jak się blogo uśmiecha. A co się ty czysz szczygłich nóg, to jeżeli szczygły mają wielkie, długie, bose nogi i chodzą w poszarpanych spodniach, jak to miałam sposobność zaobserwować pewnego dnia w zeszłym tygodniu o wschodzie słońca na jednym drzewie czereśniowym, to poproszę Gilmanowych chłopaków o przebaczenie. Tymczasem, nim zdołałam dojść do drzewa, już ich nie było, nie mogłam zrozumieć, jak się to stało, ale teraz kapitan sprawę wyjaśnił — po prostu odleciały.

Kapitan roześmiał się i począł się żegnać, z żalem nie przyjmując zaproszenia na herbatę i ciastka z czereśniami.

— Muszę wstąpić do Ewy i zapytać, czy nie wzięłaby lokatora — podjęła rozmowę po jego wyjściu panna Kornelia. — Dostałam wczoraj list od niejakiej pani Daly z Toronto, która mieszkała przez krótki czas razem ze mną przed dwoma laty. Prosiła, abym na lato przyjechała do siebie jej znajomego. Nazywa się Owen Ford, jest dziennikarzem, a przy tym jest wnukiem nauczyciela, który wybudował ten domek. Najstarsza córka Jana Selwyna wyszła w Ontario za mąż za niejakiego Forda, a to jest jej syn. Podobno bardzo chciałby zobaczyć stare miejsca, gdzie żyli jego dziadkowie. Na wiosną chorował na tyfus, nie wyzdrowiał jeszcze zupełnie i lekarz nakazał mu pobyt nad morzem. Nie chciałby mieszkać w hotelu, tylko w jakim cichym ustroniu. Ja go nie mogę przyjąć, bo w sierpniu będę musiała wyjechać. Zostałam wybrana delegatką na kongres w Kingsport i będę musiała tam być. Nie wiem, czy Ewa zechce narazić się na takie kłopoty, ale nie mam nikogo innego na widoku. Jeśli ona go nie przyjmie, będzie musiał zamieszkać nad przy stanią.

— Jak się pani z nią rozmówi, to proszę wrócić do nas i pomóc nam dokończyć ciastek — powiedziała Ania. — Niech pani przywodzi ze sobą Ewę i Ry szarda, jeżeli będą mogli przyjść. Więc pani wybiera się do Kingsport? Rozerwie się pani. Dam pani list do mojej przyjaciółki, która tam mieszka, nazywa się Janowa Blake.

— Zmusiłam panią Tomaszowa Holt, aby pojechała ze mną — z zadowoleniem odezwała się panna Kornelia. — Najwyższy czas, żeby i ona miała jakieś wakacje, proszę mi wierzyć. Zapracowała się prawie na śmierć. Tomasz Holt umie pięknie robić szydełkiem, ale nie jest w stanie dać utrzymania rodzinie. Zdaje mi się, że on nigdy nie potrafi wstać rano do jakiejś uczciwej pracy, natomiast bardzo wcześniej się zrywa, jak tylko chodzi o wyprawę na ryby. Czy nie prawdziwy mężczyzna?

Ania uśmiechnęła się. Nauczyła się należy cie oceniać zdanie panny Kornelii o mężczyznach w Czterech Wiatrach. Inaczej musiałyby uwierzyć, że mieszka tam beznadziejna zgraja złoczyńców i próżniaków, których żony zmuszone są zapracowywać się jak najprawdziwsze niewolnice. Na przykład, jeśli chodzi o Tomasza Holta, to Ania wiedziała, że jest dobrym mężem, kochającym ojcem i miłym sąsiadem. Że w istocie był troszkę leniwy, że wolał rybolówstwo, do którego go ciągnęło, a nie znosił gospodarstwa i że lubił się zajmować szydełkowymi robotkami — nikt prócz panny Kornelii mu tego nie wyrzucał. Żona jego lubiła się krzątać koło domu i czuła się wówczas w swoim żywiole. Rodzina jego miała z dochodów gospodarstwa wygodne życie, a podrastający synowie i córki, odziedziczywszy energię po matce, mieli wszelkie widoki, że im się będzie w życiu dobrze powodzić.

— Ewa zgodziła się przyjąć go — zakomunikowała po powrocie panna Bryant — aż podskoczyła na moją propozycję. Chciałaby zebrać trochę pieniędzy na pokrycie dachu, a nie wiedziała, jak tego dokonać. Spodziewam się, że i kapitan będzie więcej niż zaciekawiony wiadomością, że wnuk Selwyna tu zawita. Ewa kazała pani powiedzieć, że tęskni do ciastek z czereśniami, ale nie może przyjść na herbatę, bo musi pospędzać swoje indyki, które się rozbiegły. Ale — dodała — jeżeli jedno bodaj ciastko zostanie, to niech pani schowa do spiżarni, ona jakoś podkradnie się i weźmie je. Nie pojmuje pani, droga Aniu, z jaką rozkoszą słuchałam tych słów i jak się radowałam przy tym jej śmiechem. Śmieje się i żartuje jak mała dziewczynka, a z tego, co od niej słyszę, wnioskuję, że częsty m jest tu gościem.

— Codziennie jest u mnie, a jeżeli jej czasami nie ma, to ja biegnę do niej — powiedziała Ania. — Nie wiem doprawdy, co poczęłaby m z sobą, gdyby Ewy nie było, zwłaszcza obecnie, kiedy Gilbert jest taki zajęty. Do domu wpada zaledwie na parę chwil, zapracowuje się prawie na śmierć. Tak często „wzywają go teraz ludziska z tamtej strony przystani.

— Mogłoby zadowalać się własnym dokotorem — rzekła panna Kornelia. — Chociaż prawdę mówiąc, nie mogę im brać tego za złe, bo to metody sta. Od czasu jak doktor postawił na nogi panią Allonby, ludzie myślą, że on w ogóle może nawet umarły ch wskrzeszać. Mam wrażenie, że doktor Tomasz jest trochę zazdrosny, zresztą jak każdy mężczyzna. Twierdzi na przykład, że doktor Bly the wprowadza za dużo nowych wymysłów do leczenia. „Ależ — powiadam mu — właśnie tym nowym wymysłem Rhoda Allonby zawdzięcza życie. Gdyby pan ją leczył, nie żyłaby dziś prawdopodobnie i tylko kamień na jej grobie przypominałby ludziom, że podobalo się Bogu wziąć ją do swojej chwały”. Ach, tak lubię powiedzieć doktorowi Tomaszowi moje zdanie! Rządził tu w Glen lata całe i wyobraża sobie, że więcej potrafił zapomnieć, aniżeli inni ludzie zdołali się nauczyć. Ale, mówiąc o doktorach, chciałabym, aby doktor Bly the zechciał odwiedzić Ryszarda Moore, któremu na szyi utworzył się jakiś wrzód. Nie rozumiem, na co Ryszardowi zdadzą się wrzody. Jakby nie było z nim dość innych kłopotów i bez tego.

— Wie pani, Ryszard prawie że mnie polubił — powiedziała Ania. — Chodzi za mną jak psiak i uśmiecha się jak uradowane dziecko, kiedy nań spojrzę.

— Czy nie robi to na pani jakiegoś niesamowitego wrażenia?

— Wcale nie. Raczej lubię Ryszarda. Wydaje mi się pożałowania godnym, smutnym człowiekiem.

— Wcale by go pani nie znalazła takim pożałowania godnym, gdyby go pani знаła dawniej, proszę mi wierzyć. Ale rada jestem, że nie zwraca pani na niego uwagi, to tym lepiej dla Ewy. Będzie miała trochę więcej roboty, jak przyjedzie jej lokator. Mam nadzieję, że to jakiś solidny człowiek. Pani będzie się prawdopodobnie podobał — to pisarz.

— Zawsze mię dziwi skłonność ludzi do sądzenia, że jeżeli dwoje ludzi należy do klasy pisarzy, to koniecznie muszą pałać ku sobie niezwykłą sympatią — rzekła trochę urażona Ania. — Nikt przecież nie będzie oczekiwał, aby dwaj kowale zaczęli gorąco się miłować z tego tylko tytułu, że są kowalami.

Niemniej jednak Ania z zaciekawieniem oczekiwała przybycia Owena Forda. O ile okazałby się młody i wesół, mógłby stanowić wcale miły nabytek towarzyski w Czterech Wiatrach. Drzwi małego domku zawsze stały otworem dla ludzi z rasy Józefa.



# XXIII. Owen Ford przybywa

Pewnego wieczora panna Kornelia zatelefonowała do Ani. — Mistrz pióra właśnie przybył. Chcę przywieźć go do pani z prośbą o pokazanie mu dalszej drogi do Ewy. To będzie krócej trwało aniżeli jazda dookoła, drogą okrężną, a ja mam masę rzeczy do zalatwienia. Dziecko Reese’ów w Glen wpadło do wiadra z gorącą wodą i prawie na śmierć się poparzyło. Teraz na gwałt po mnie posyłają. Nie wiem właściwie po co: prawdopodobnie, żeby dziecko stworzyć nową skórę. Pani Reese jest tak nieuważna, a potem wymaga od innych ludzi, żeby naprawiali jej błędy. Pani nie będzie się gniewać, nieprawdaż, kochanie? Rzeczy jego możemy odesłać jutro.

— Ależ bardzo dobrze — odparła Ania. — Jak on wygląda, panno Kornelio?

— Jaki jest jego wygląd zewnętrzny, zobaczy pani, gdy go tu przywiozę. Natomiast co się w nim wewnątrz dzieje, wie jeden Bóg, który go stworzył. Zresztą nie powiem więcej ani słowa, bo wszędzie słuchawki w Glen są w tej chwili w ruchu.

Ania odłożyła słuchawkę.

— Panna Kornelia widocznie nie umiała doszukać się wad w zewnętrznym wyglądzie pana Forda, inaczej wcale by nie zwracała uwagi na słuchawki. Można by wywnioskować z tego, Zuzanno, że pan Ford musi mieć raczej miłą powierzchowność.

— Muszę wyznać, droga pani doktorowo, że widok przystojnego mężczyzny zawsze sprawia mi radość — szczerze przyznała Zuzanna. — Czy nie będzie dobrze, jeżeli dla niego przygotuję jakiś poczęstunek? Mam ciastka z poziomkami, które rozplywają się w ustach.

— Nie. Ewa go oczekuje i musiała przygotować dlań obiad. Poza tym, ciastka z poziomkami dostanie mój własny, biedny mąż. On dziś późno wróci do domu i proszę pozostawić dla niego szdankę mleka i ciastka.

— Bardzo chętnie, droga pani doktorowo, Zuzanna dźrzy ster w rękę. Jestem tego samego zdania, że lepiej, aby ciastka z poziomkami zjadł własny mąż aniżeli obcy człowiek, zwłaszcza że nasz doktor jest taki przystojny, jak rzadko się spotyka.

Gdy wreszcie zjawił się, sprowadzony przez pannę Kornelię, pan Owen Ford, Ania musiała przyznać, że był bardzo przystojny. Wysoki, o szerokich barach, miał gęstą, brunatną czuprynę, pięknie wyrzeźbione rysy i duże, błyszczące, ciemnoszare oczy.

— A czy pani zauważyła jego uszy i zęby, droga pani doktorowo? — pytała nieco później Zuzanna. — Ma najpiękniejsze uszy, jakie kiedykolwiek widziałam, a jestem bardzo wybredna na tym punkcie. Kiedy byłam młoda, zawsze bałam się, że będę musiała wyjść za mąż za człowieka z odstającymi uszami. Inna rzecz, że całe zmartwienie było co najmniej zbyteczne, bo jak dotychczas żadne męskie uszy mi się nie przytrafiły!

Ania nie zwróciła uwagi na uszy Owena Forda, natomiast zauważyła jego zęby w chwili, gdy rozchylił usta w miły m uśmiechu. Kiedy był poważny, twarz jego nabierała wyrazu smutku i wówczas przypominał Ani jej melancholijnych, tajemniczych rycerzy, o jakich marzyła jako młoda dziewczyna; kiedy się jednak uśmiechnął, twarz jaśniała humorem i wdziękiem. Całkiem na pewno, z zewnętrznej strony, jak się wyraziła panna Kornelia, pan Owen Ford był bardzo obiecującym młodym człowiekiem.

— Nie może sobie pani wyobrazić, jaki rad jestem, że się tu znalazłem — powiedział rozglądając się dookoła z zaciękawieniem. — Mam dziwne uczucie przyjazdu do domu. Musi pani wiedzieć, że tu się urodziła i tu spędziła dziecinne lata moja matka. Zawsze mi dużo opowiadała o swoim rodzinnym, starym domu. Jego geografia jest mi tak dobrze znana jak i tego, w którym się wychowałem. A opowiadała mi również o tym, w jaki sposób domek został zbudowany i jak to mój dziadek z rozpaczą czekał na przybycie statku, na którego pokładzie znajdowała się jego narzeczona— Myślałem, że taki stary domek powinien być już zniknąć z powierzchni ziemi. Inaczej dawno by lby m tu przyjechał, aby go zobaczyć.

— Stare domki niełatwo znikają na tym zaczarowanym brzegu. — zaśmiała się Ania. — Jest to kraina, gdzie wszystko zawsze wydaje się takie samo, a przynajmniej, prawie zawsze. Dom Jana Selwyna wcale się dużo nie zmienił, w ogrodzie kwitną dziś te same róże, jakie dziadek pański zasadził na cześć swej narzeczonej.

— Jak myślił me biegną w tamte czasy! Za pozwoleniem pani kiedyś wszystko będę musiał dokładnie obejrzeć.

— Drzwi mego domu zawsze będą stały otworem dla pana — przyrzekła Ania. — A czy pan wie o tym, że stary kapitan, który pilnuje światła w latarni Czterech Wiatrów, znał bardzo dobrze Jana Selwyna i jego żonę? Opowiedział mi ich historię w ów wieczór, kiedy przyjechałam po raz pierwszy do tego domu jako trzecia z rzędu młoda mężatka.

— Czyż to możliwe? To dopiero odkrycie! Muszę go koniecznie zobaczyć.

— Nie będzie to trudne. Wszyscy jesteśmy zaprzyjaźnieni z kapitanem Jimem. On tak będzie pragnął poznać się z panem, jak pan z nim. Aniela Selwyn błyszczy jak najpiękniejsza gwiazda w jego pamięci. Ale myślę, że pani Moore czeka na pana. Zaprowadzę pana krótszą drogą.

Ania poprowadziła go do domu nad strumykiem przez pola tak gęsto zasiane stokrotkami, że zdawały się zupełnie białe. Daleko w przyśtani garstka ludzi śpiewała, a głos ich płynął jak cicha, niezemska muzyka, unoszona na skrzydłach wiatru nad falami morza. Wielkie światło latarni zapalało się i gasło. Owen Ford rozejrzał się z zachwytem.

— Otóż to jest Przyśtań Czterech Wiatrów! — zawołał. — Nie spodziewałem się, że znajdę ją tak uroczą, i to mimo wszelkich pochwał mojej matki. Ile czaru, ile piękna! W najkrótszym czasie odzyskałam wszystkie siły, a o ile natchnienie uzależnione jest od pięknego otoczenia, z pewnością będę mógł zacząć pisać tę moją wielką kanadyjską powieść.

— To pan jeszcze nie zaczął? — zapytała Ania.

— Niestety, nie. Nigdy dotychczas nie mogłem wpaść na zasadniczy temat. Gdzieś on z ukrycia spogląda na mnie i wabi, i woła, i prawie że go mam w rękę, i znowu znika. Może w tej ciszy i wśród tego piękna uda mi się nareszcie uchwycić go. Panna Bryant mówiła mi, że pani także pisuje.

— Ach, małe powiastki dla dzieci. A od czasu wyjścia za mąż prawie nic nie napisałam. Poza tym wcale nie chcę się porywać na stworzenie wielkiej kanadyjskiej powieści — mówiła śmiejąc się Ania. — To ponad moje siły.

Owen Ford zaśmiał się również.

— Boję się, że to i ponad moje siły. Mimo tego chcę któregoś dnia spróbować, to znaczy, jeżeli będę miał czas. Dziennikarzowi zwykle brak sposobności do tego rodzaju pracy. Napisałem dużo krótkich nowelek do rozmaitych miesięczników, nigdy nie miałem jednak dość wolnych chwil, jakie potrzebne są do napisania całej powieści. Z trzema miesiącami swobody mógłbym zrobić początek. Żebym tylko znalazł odpowiedni motyw, że tak powiem: duszę księżki.

Przez głowę Ani przeleciała w tej chwili jak błyskawica myśl, z powodu której omal nie podskoczyła. Nie wypowiedziała jej jednak, doszli bowiem właśnie do domu Moore’ów. Kiedy wychodził na podwórze, Ewa wyszła równocześnie bocznymi drzwiami na werandę, starając się dojrzeć wskros ciemności, czy nie zbliżają się oczekiwani goście. W tej chwili zalewało ją całą żółtawe światło, wpadające na werandę przez otwarte drzwi. Miała na sobie prostą sukienkę z taniego, kremowego koloru materiału ze swoim zwykłym czerwonym paskiem. Ewa zawsze musiała mieć na sobie coś czerwonego. Razu pewnego przyznała się Ani, że nie mogłaby się ruszyć bez jakiejś czerwonej ozdoby, chociażby nią był tylko mały, czerwony kwiatek. Fakt ten zdawał się symbolizować w oczach Ani cały, pełen ognia, a zamknięty charakter Ewy, który nie mógł się objawić inaczej, jak tylko w tych płomiennych ozdobach. Sukienka Ewy była nieco wycięta pod szyją

i miała krótkie rękawy. Ramiona jej miały barwę kości słoniowej; cudowne jej kształty rysowały się wyraźnie w ciemności na tle światła. Włosy płonęły żywym ogniem. Za nią ciągnęło się granatowe niebo, skrzące niezliczoną ilością światełek-gwiazd.

Ania usłyszała okrzyk podziwu z ust swego towarzysza. Nawet w ciemności mogła wyczytać wyraz zachwytu i zdumienia na jego twarzy.

— Kto jest ta cudowna istota? — zapytał.

— To pani Moore. Ona jest bardzo piękna, nieprawdaż?

— Ja... ja... nigdy w życiu nie widziałem kogoś podobnie pięknego — odpowiedział, jakby nieco oślepiiony. — Nie byłem przygotowany. Nie oczekiwałem. Boże, przecież nikt nie może spodziewać się, że bogini będzie jego gospodynią! Gdyby była ubrana w suknię z purpury i diadem z ametystów, mogłaby uchodzić za prawdziwą królową oceanów. I ona przyjmuje lokatorów!

— Nawet boginie muszą żyć — rzekła Ania. — A Ewa nie jest boginią. Jest tylko przecudną kobietą i tak ziemską jak reszta nas. Czy panna Bryant opowiadała coś o panu Moore?

— Tak. On jest umysłowo chory czy coś podobnego, nieprawdaż? Ale nie wspomiała ani słowem o pani Moore. Ja zaś myślałem, że to taka sobie zwykła, krzątająca się, wiejska kobiecina, która bierze lokatorów, żeby zarobić uczciwie parę groszy.

— No tak. Ewa też nic innego nie robi — powiedziała Ania dość ostro — i wcale jej to nie sprawia przyjemności. Spodziewam się, że pan nie będzie zwracał uwagi na Ryszarda. Gdyby miało być inaczej, niech się pan stara, aby Ewa tego nie odczuła. Strasznie by jej było przykro. On jest tylko wielkim dzieckiem, chociaż czasami dość nieznośnym.

— Ach, nie mam zamiaru zwracać nań uwagi. Przypuszczam zresztą, że w domu będę się pokazywał tylko na obiady. Ale jakie to wszystko straszne! Ona musi mieć bardzo ciężkie życie?

— Tak właśnie jest, ale Ewa nie lubi, aby się nad nią litować.

Ewa weszła z powrotem do domu i następnie ukazała się u głównego wejścia. Przywitała Owena Forda z chłodną uprzejmością i zakomunikowała mu urzędowym tonem, że pokój i obiad nań czekają.

Ryszard z uśmiechem zadowolenia potoczył się z walizami po schodach i Owen Ford został umieszczony jako mieszkaniec starego domu między wierzbami.



# XXIV. Księga życia kapitana Jima



Zjawia się w mojej głowie, jak poczwarka, pewna myśl, z której może się wykluje cudowny motyl wielkiego dzieła — przyznała się Ania Gilbertowi po jego powrocie do domu. Wrócił wcześniej, niż przy puszczała, i z zapalem zabrał się do ciastek z poziomkami, tego arcydzieła sztuki kulinarnej Zuzanny. Ta ostatnia krzątała po pokoju jak surowy, ale dobroczynny duch opiekuńczy i, pełna szczęścia, spoglądała na Gilberta zjadającego ciastka i rozmawiającego.

— Co za myśl, Aniu? — zapytał.

— Nie powiem ci w tej chwili, nie będę o tym w ogóle mówiła aż do czasu, kiedy się upewnię, że mój plan się uda.

— A cóż to za człowiekten Mr. Ford?

— Ach, bardzo miły i całkiem przystojny.

— A jakie ma piękne uszy, kochany doktorze — wtrąciła Zuzanna.

— Ma około trzy dziesiętu do trzy dziesiętu pięciu lat i zamierza pisać powieść. Głos ma sympatyczny, uśmiech ujmujący i wie, jak się ubrać. Ale z tym wszystkim nie wygląda na to, by miał same przyjemności w życiu.

Następnego wieczora zjawił się Owen Ford w małym domku z listem od Ewy. Czas do zachodu słońca spędzono na pogawędce w ogrodzie, później zaś wybrali się wszyscy na przejażdżkę do przystani przy świetle księżycyca małym czolnem, o które Gilbert już dawniej postarał się na letnie wycieczki. Owen bardzo się podobał Ani i Gilbertowi. Oboje mieli wrażenie, że znają go od lat, co właśnie stanowi różnicę między zwykłymi śmiertelnikami a ludźmi z rodu Józefa.

— On jest taki piękny jak jego uszy, droga pani doktorowo — powiedziała Zuzanna po jego odejściu. Oświadczył Zuzannie, że nigdy w życiu nie jadł tak wbornych ciastek z poziomkami, i tym od razu podbił jej wrażliwe serce. — On wie, jak sobie ująć ludzi — mówiła dalej, sprzątając ze stołu po kolacji. — Nie do uwierzenia, że jeszcze nie jest żonaty, przecież za takim mężczyzną poleciałaby każda panna, którą by tylko o to poprosił. Ale może tak jak ja nie natrafił jeszcze na taką, która by mu się podobała.

Zuzanna podczas zmywania statków zaczęła snuć najromantyczniejsze marzenia.

W dwa dni później zabrała Ania Owena Forda do latarni morskiej, aby go poznać z kapitanem. Pola koniczyny wzdłuż brzegów morza pokładały się pod podmuchem zachodnich wiatrów, a kapitan mógł się poszczyścić wobec gościa jednym z najpiękniejszych zachodów słońca. On sam tylko co wrócił z małej wędrownki na drugą stronę przystani.

— Musiałem być u Henryka Pollocka i powiedzieć mu, że jest umierający. Wszyscy inni bali się mu to zakomunikować. Myśleli, że przyjmie to Bóg wie jak, miał bowiem zamiar żyć bez końca i wciąż robił nowe plany. Tymczasem żona jego była zdania, że wreszcie trzeba go przygotować na bliską śmierć i że właśnie ja mam być tym, co mu powie, że dni jego życia są policzone. Jesteśmy z Henrykiem starymi przyjaciółmi, lata całe podróżowaliśmy na „Szarej Mewie”. Udałem się więc do jego domu, usiadłem przy nim i powiadam zupełnie po prostu — bo jak jakaś rzecz ma być powiedziana, to ją wreszcie trzeba wykrzusić — „przyjacielu, zdaje mi się, że tym razem dostaniesz rozkazy na ostatnią podróż”. Wewnątrz mnie wszystko się trzęsło, bo to przecie nie bagatela, jak się musi człowiekowi, który się tego wcale nie spodziewa, powiedzieć, że ma umrzeć. A tymczasem, uważacie państwo, Henryk spojrział na mnie swymi pełnymi blasku na tej jego pomarszczonej twarzy oczyma i mówi do mnie: „Jimie Boyd, jak już masz zamiar powiedzieć mi jakąś nowinę, to powiedz coś takiego, czego jeszcze nie słyszałem, a co do śmierci, to wiem o niej już od tygodnia”. Zamknął mi tym usta; byłem zdziwiony i zaskoczony, a on tylko roześmiał się. „I pomyśleć — ciągnął dalej — że musiałem patrzeć spokojnie, jak wszedłeś z uroczą stą twarzą niby płyta na grobie, jak usiadłeś przy mnie z rękami założonymi na brzuchu i jak powiedziałeś mi taką starą nowinę! Koń by się z tego uśmieł, Jimie Boyd”.

— „Któż ci to powiedział?” — pytam z najgłupszą miną. „Nikt — odpowiedział. — Tydzień temu zdałem sobie sprawę z tego. Leżałem nie śpiąc i wtedy poczułem niespodziewanie, że mam umrzeć. Ja już przedtem coś podejrzewałem, ale od tej chwili wiedziałem na pewno. Trzymałem to tylko w tajemnicy przed żoną, bo nie chciałem jej martwić— Miałem co prawda jeszcze zamiar wykończyć przed śmiercią stodołę, bo Eben nigdy się z tym nie upora. No, ale teraz, Jimie, skorośmy sobie już ulżyli na duszy, uśmiechnij się i powiedz coś ciekawego”.

— „Któż ci to powiedział?” — pytam z najgłupszą miną. „Nikt — odpowiedział. — Tydzień temu zdałem sobie sprawę z tego. Leżałem nie śpiąc i wtedy poczułem niespodziewanie, że mam umrzeć. Ja już przedtem coś podejrzewałem, ale od tej chwili wiedziałem na pewno. Trzymałem to tylko w tajemnicy przed żoną, bo nie chciałem jej martwić— Miałem co prawda jeszcze zamiar wykończyć przed śmiercią stodołę, bo Eben nigdy się z tym nie upora. No, ale teraz, Jimie, skorośmy sobie już ulżyli na duszy, uśmiechnij się i powiedz coś ciekawego”.

— „Któż ci to powiedział?” — pytam z najgłupszą miną. „Nikt — odpowiedział. — Tydzień temu zdałem sobie sprawę z tego. Leżałem nie śpiąc i wtedy poczułem niespodziewanie, że mam umrzeć. Ja już przedtem coś podejrzewałem, ale od tej chwili wiedziałem na pewno. Trzymałem to tylko w tajemnicy przed żoną, bo nie chciałem jej martwić— Miałem co prawda jeszcze zamiar wykończyć przed śmiercią stodołę, bo Eben nigdy się z tym nie upora. No, ale teraz, Jimie, skorośmy sobie już ulżyli na duszy, uśmiechnij się i powiedz coś ciekawego”.

Taka to była historia. Wszyscy byli przerażeni i bali się mu cokolwiek powiedzieć, a on sam o tym wiedział. Dzwine to, jak przyroda nas pilnuje i daje znać, że nasz czas przychodzi. Czy opowiadałem pani tę historię, jak Henryk zaczępil się nosem o haczyk wędkę?

— Nie.

— Och, uśmieliśmy się dziś na wspomnienie. Zdarzyło się to blisko trzydzieści lat temu. Ja i Henryk i jeszcze kilku innych rybaków wyjechalśmy pewnego dnia na połów makreli. Był to wielki dzień. Nigdy nie widzieliśmy tak wielkiej ławicy tych ryb w zatoce. W ogólnym podnieceniu Henryk zupełnie stracił opanowanie nad sobą i w jakiś sposób przekuł sobie prawą stronę nosa haczykiem od wędkł. Haczyk mocno się wbił. Plywak znalazł się po jednej stronie nosa, a kawałek ołowiu po drugiej, tak że nie sposób było tego wszystkiego wyciągnąć. Chcieliśmy go natychmiast odwieźć na brzeg, ale z Henrykiem nie można było tak zrobić. Zapowiedział, że raczej dalby się pokrajać, aniżeliby wypuścił taką ławicę makreli, i w dalszym ciągu zabawiał się rybolowstwem, ciągnąc sieci i jęcząc przez ten czas. Wreszcie ławica odpłynęła dalej, a my ze zdobyczą przybiliśmy do brzegu. Dostałem zaraz pilnik i chciałem przepiłować haczyk. Miałem zamiar zrobić to tak lekko, jak tylko można, ale gdyby pani mogła słyszeć Henryka! Nie, nie, dobrze, że pani tam nie była, i całe szczęście, że w pobliżu nie było żadnej kobiety. Henryk nigdy nie kłął, ale od czasu do czasu udało mu się usłyszeć parę przekleństw nad brzegiem i te utkwiły mu w pamięci. W ową chwilę potrafił je powylawiać i wszystkie rzucił na moją głowę. W końcu oświadczył, że nie wytrzyma dłużej i że ja nie mam sumienia. Wobec tego wsadziliśmy go do bryczki i zawiezili bitych trzydzieści pięć mil do doktora w Charlottetown — bliżej nie było żadnego w owych czasach — z tym nieszczęsnym haczykiem wiszącym mu u nosa. A doktor Crabb zabrał się do roboty w ten sam sposób co ja, to znaczy przepiłował haczyk, z tą tylko różnicą, że ani mu na myśl nie przyszło bawić się w delikatność.

Odwiedziny starego kapitana u jego przyjaciela wywołały w jego pamięci całą masę wspomnień.

— Henryk pytał mnie dziś, czy pamiętam ten dzień, kiedy ojciec Chiniquy błogosławił łódź Aleksandra MacAllistera. Jest to znowu inna historia, a prawdziwa jak ewangelia. Wypłynęliśmy obaj, on i ja, pewnego dnia o wschodzie słońca w łodzi MacAllistera. Oprócz nas znajdował się chłopiec, Francuz, oczywista katolik. Pani wie, ojciec Chiniquy przeszedł na protestantyzm i katolicy patrzyli na niego dość krzywo. Siedzieliśmy w zatoce do południa, prażeni słońcem, a przez ten czas ani jedna ryba nie dotknęła przynęty, wobec tego przybiliśmy do brzegu. Ojciec zmuszony był opuścić nas i wówczas w swój miły i przyjacielski sposób powiedział: „Panie MacAllister, bardzo żałuję, że nie mogę wyjechać z panem dziś wieczorem, ale zostawiam panu moje błogosławieństwo. Tego wieczora złapie pan tysiąc ryb”. I co pani powie, ty siąca nie złapałiśmy, ale przywieźliśmy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć ryb — największy połów tego lata w małej łódce na tym brzegu. Dzwine, nieprawdaż? Aleksander powiedział do Piotra Andrew: „No i co myślisz teraz o ojcu Chiniquy?” „Myśleć — mruknął Andrew — że ten stary diabeł potrafi jeszcze błogosławić”. Jak też Heniyk z tego dziś się uśmieł!

— Czy pan wie, kapitanie, kim jest pan Ford? — zapytała Ania widząc, że wspomnienia kapitana na razie się wyczerpały. — Niech pan zgadnie.

Kapitan Jim potrząsnął głową.

— Zgadywanie nigdy nie szło mi łatwo, pani Blythe. A przecież jak tylko tu wszedłem, pomyślałem sobie: „Gdzie też mogłem przedtem widzieć te oczy? Bo że je spotkałem, to pewne”.

— Niech pan pomyśli o pewnym dniu wrześnieowym wiele lat temu — miękko odezwała się Ania — niech pan sobie przypomni okręt wpływający do przystani, długo oczekiwany, o którego przybyciu już zważpiono, niech pan pomyśli o tym dniu, kiedy „Royal William” nareszcie zawiął do portu i kiedy pan po raz pierwszy ujrzał narzeczoną nauczyciela.

Kapitan podskoczył.

— Ależ to oczy Anieli Selwyn! — prawie że krzyknął. — Pan nie może być jej synem, pan musi być...

— Jej wnukiem. Tak jestem synem Alicji Selwyn. Kapitan rzucił się niemal na Owena Forda i serdecznie uściśnął jego rękę.

— Syn Alicji Selwyn? Boże, jaki rad jestem, że pana widzę. Tyle razy myślałem, gdzie też mogą się obracać potomkowie nauczyciela. Bo wiedziałem, że nikogo nie ma na Wyspie. Alicja... Alicja... Pierwsze dziecko, jakie przyszło na świat w małym domku, i żadne inne nie dało później tyle radości. Setki razy nosiłem ją na rękach. Od moich kolan zaczęła robić pierwsze samodzielne kroki! Prawie że widzę twarz jej matki, jak wodzi oczyma za swoim maleństwem, a to przecież blisko sześćdziesiąt lat temu. Czy ona jeszcze żyje?

— Nie. Umarła przed wielu laty.

— To doprawdy niesprawiedliwość, że muszę żyć, aby usłyszeć tę smutną nowinę, ale bardzo się cieszę, że pana widzę. Pan nie może zrozumieć, co to za radość dla mnie, starego. Jedna jedyna pani Blythe wie, czym mi sprawić uciechę i zawsze jej się to udaje.

Kapitan wpadł w jeszcze większe podniecenie, kiedy się dowiedział, że Owen Ford był, jak to mówią, prawdziwym powieściopisarzem. Spoglądał nań jak na jakąś wyższą istotę. Kapitanowi znany był fakt, że Ania zajmuje się literaturą, jakoś jednaknie brał tego zbyt poważnie. Zawsze uważał kobiety za przemiłe stworzenia, którym należą się prawa wyborcze i wszystko zresztą, czego by tylko zapragnęły, niech je Pan Bóg ma w swej opiece, nie wierzył jednak, żeby potrafiły pisać książki.

— Spójrzcie na „Szaloną miłość”! — wołał. — Kobieta napisała. To wystarczy. Patrzenie, państwo: sto trzy rozdziały, kiedy całą historię można było opowiedzieć w dziesięciu. Pisząca kobieta nigdy nie wyczuje, kiedy należy skończyć, i w tym leży całe nieszczęście. Główna rzecz, według mnie, dla dobra pisarza to wiedzieć, kiedy przestać.

— Pan Ford chciałby usłyszeć niektóre z pańskich przygód, kapitanie. Niech mu pan opowie o tym kapitanie, co zwirował i wyobraził sobie, że jest Latającym Holendrem.

To była najlepsza opowieść kapitana Jima. Składała się na nią mieszanina okropności i humoru i chociaż Ania słyszała ją tyle razy, to przecież śmiała się teraz i wdrygała z uczuciem zgrozy jak i pan Ford, który słyszał tę historię po raz pierwszy. Za tym poszły inne opowiadania, bo kapitan znalazł najwdzięczniejsze audytorium. Mówił o tym, jak na jego okręt najechał parowiec, jak był napadnięty przez piratów malajskich, jak pomógł politycznemu więźniowi uciec z jednej południowoamerykańskiej republiki, jak płonął jego statek, jak okręt raz pewnego rozbil się w okolicach Wysp Magdaleny i musiał spędzić na wyspach całą zimę, jak tygrys wyrwał się z klatki i wpadł na pokład, wreszcie, jak zbuntowała się jego załoga i wysadziła go na ląd na odludnej wyspie. Te i inne historie, wesołe i tragiczne, sentymentalne i pełne humoru, opowiadał kapitan. Tajemniczość mórz, czar dalekich krajów, pogoń za przygodą, smutek i radość świata, wszystko to jak naj—szczerzej przeżywali jego słuchacze wraz z nim. Wszystko to jak żywe stawało przed ich oczyma. Owen Ford słuchał z głową opartą na rękę. Mruczący Maciusz siedział mu na kolanach, a on wpatrywał się w pomarszczoną, wymowną twarz starego marynarza.

— Czy nie chciałby pan pokazać nam swojej księgi życia, kapitanie? — zapytała Ania, kiedy len przerwał i oświadczył, że na dziś dość opowiadania.

— Ach, pan Ford nie zechce się tym zajmować — odrzekł kapitan, który jednak w duszy niczego bardziej nie pragnął.

— Koniecznie chciałbym ją zobaczyć, kapitanie Boyd — powiedział Owen. — Jeżeli choć w połowie jest tak zajmująca jak pańskie opowiadania, to doprawdy bardzo warto się z nią zapoznać.

Z udaną niechęcią wygrzebał staruszek z szuflady swą księgę i podał ją Owenowi.

— Spodziewam się, że pan nie zechce zadawać sobie zbyt wiele trudu z tą nieudolną pisaniną. Nigdy nie miałem w tym wprawy — zauważył niedbale. — Wszystko to napisałem dla zabawy mego siostrzeńca Joe. Ciągłe mu się zachciewa nowych opowiadań. Przychodzi wczoraj i mówi mi w chwili, kiedy wyciągałem dwudziestofuntowego sztokfisa: „Wuju Jimie, czy sztokfisz nie jest niemyym stworzeniem?” Musicie państwo wiedzieć, że ja mu przedtem naopowiadałem, że powinien łagodnie obchodzić się ze zwierzętami, które nie potrafią mówić i nie mogą się poskarżyć, i że nie powinien nigdy im robić krzywdy. Z sytuacji tej wykpiłem się tym, że sztokfisz jest wprawdzie niemy, ale że nie można go zaliczać do zwierząt. Widziałem, że Joe niezupełnie był zadowolony z tej odpowiedzi, i zresztą ja sam również nie miałem całkiem pewnej miny. Trzeba być bardzo ostrożnym z tym, co się mówi małym dzieciom. One człowieka przejrzą na wskroś.

Mówiąc to, kapitan spoglądał na Owena Forda, który przeglądał jego ksiązkę, a zobaczywszy, że młody powieściopisarz zagłębił się w czytaniu na dobre, z uśmiechem poszedł do kominka, aby zająć się przygotowaniem herbaty.

Owen Ford rozstał się z ksiązką z taką samą niechęcią, z jaką skąpiec odrywa się od swego złota, a po wypiciu herbaty począł znowu zgłodniałymi oczyma przerzucać jej stronicę.

— Ależ, jak pan chce, niech pan sobie to weźmie do domu — powiedział kapitan, jak gdyby „to” nie było jego najbardziej umiłowanym skarbem. — Muszę zejść i wyciągnąć na brzeg moją łódkę. Będziemy mieli wiatr. Czy pan zauważył, jakie było niebo dzisiejszego wieczoru?

Owen Ford przyjął bardzo chętnie zaofiarowaną mu ksiązkę. W drodze powrotnej Ania opowiedziała mu historię zaginionej Małgorzaty.

— Ten stary kapitan to ogromnie ciekawa postać — powiedział Owen. — Cóż on wiódł za życie! Przecież w jednym tygodniu więcej miał przygód niż większość ludzi przez całe swe życie. Czy pani sądzi, że wszystkie jego opowieści są prawdziwe?

— Na pewno tak jest. Jestem przekonana, że kapitan Jim nie potrafiłby kłamać. Poza tym, ludzie tutejsi przyznają, że wszystko zdarzyło się rzeczywiście tak, jak on to opowiada. Żył tu bardzo wielu starych towarzyszy jego podróży i wszyscy potwierdzali jego słowa. Jest on bodaj jednym z ostatnich starego typu wilków morskich, obecnie już wymarłych.





# XXV. Pisanie książki

Następnego dnia Owen Ford zjawił się w małym domku w stanie wielkiego podniecenia. — Pani Blythe, to cudowna książka, bezwarunkowo cudowna! Gdybym mógł wziąć ją ze sobą i użyć zawarty w niej materiał, jestem pewny, że potrafiłbym napisać wspaniałą powieść. Czy myśli pani, że kapitan zgodzi się na to?

— Czy się zgodzi? Jestem pewna, że będzie strasznie uradowany! Przyznam, że to właśnie miałam na myśli, prowadząc pana wczoraj do jego latarni. Kapitan zawsze pragnął spotkać kogoś, kto by potrafił należyć cię opracować jego księgę zycia.

— Czy zechce pani pójść dziś wieczorem ze mną do kapitana? Ja będę z nim mówić o książce, ale chciałbym, aby pani jednocześnie wspomniała mu, że mi pani opowiedziała historię zaginionej Małgorzaty. Chciałbym użyć tej opowieści jako wątku wiążącego wszystkie inne historie zawarte w książce, w jedną harmonijną całość.

Kapitan był tak podniecony planem Owena, jak niczym innym w życiu. Miał się w końcu spełnić głęboko w sercu pielęgnowany sen i jego książka miała pójść między ludzi. Radość jego powiększał fakt, że i historia Małgosi zostanie wpleciona w tok opowieści.

— W ten sposób nie będzie zapomniane jej imię — rzekł po chwilowym zamyśleniu — dlatego tylko chciałem, żeby ono znalazło się w tej księdze.

— Będziemy razem pracować! — krzyknął radośnie Owen. — Pan da duszę, a ja postać. Och, razem napiszemy wspaniałą książkę, kapitanie, i zaraz zabieramy się do roboty.

— I pomyśleć tylko, że moją książkę będzie pisał wnuk nauczyciela! — zawołał radośnie kapitan. — Chłopcze, przecież pański dziadek był moim najdroższym przyjacielem! Wyobrażalem sobie wówczas, że takich ludzi jak on nie ma więcej na świecie. Widzę teraz, dlaczego musiałem tak długo czekać. Książka nie mogła być napisana, dopóki nie zjawił się przeznaczony dla niej autor. Pan do nas należy, pan rozumie duszę tych północnych brzegów, pan jest jedynym, który może podjąć się tej pracy.

Postanowiono, że mały pokójk sąsiadujący z gościnnym, będzie uporządkowany i zamieniony na pracownię dla Owena. Kapitan musiał się znajdować podczas pisania książki koniecznie w pobliżu, aby służyć wszelkimi objaśnieniami z dziedziny żeglarstwa i wiadomościami dotyczącymi zatoki. Owen niewielkie miał o tym wyobrażenie.

Pan Ford rozpoczął pracę zaraz następnego dnia i zabrał się do dzieła całą duszą i całym sercem. A co do kapitana, to był on tego lata bardzo szczęśliwym człowiekiem. Na mały pokójk w którym pracował Owen, spoglądał jak na sanktuarium. Ford omawiał z nim każdą kwestię, ale rękopisu nie chciał mu pokazać.

— Musi pan zaczekać, aż książka wyjdzie z druku — mówił — wówczas zobaczy pan od razu wszystko w najdoskonalszej postaci.

Zatopił się w skarby, jakie księga życia zawierała, i czerpał z nich pełną garścią. Marzył i śnił o zaginionej Małgosi, aż ta ożyła w jego wyobraźni i napełniła czarem stronicę książki. W miarę posuwania się akcji praca pochłaniała go całkowicie i coraz więcej w nią wkładał gorączkowej energii. Odczytywał Ani i Ewie całe rozdziały rękopisu i prosił, aby wypowiadały swe zdanie. Ostatni rozdział zaś, który później przez krytyków był wyjątkowo pochwalony, jako pełen romantyzmu i sielankowej prostoty, został napisany pod wpływem i według szkicu, jaki podała Ewa.

Ania nie posiadała się z radości, że jej pomysł przyniósł tak piękny wynik.

— Jak tylko spojrzałam na Owena Forda, wiedziałam, że to jest jedyny człowiek, który może podjąć się tego dzieła — mówiła do Gilberta. — Weselość i żywość usposobienia jednocześnie malowały się na jego twarzy, a te uczucia, razem z umiejtnością wyrażania się, były konieczne do napisania takiej książki. Jakby się wyraziła pani Małgorzata — on był predestynowany do tej roli.

Owen Ford pisywał rankami. Popołudnie spędzał razem z Blythe'ami na jakiejś wesołej wycieczce. Ewa często brała w tym udział, bo kapitan, aby ją zwolnić od obowiązków, zostawał razem z Ryszardem. Robili spacery w łódce bądź po przystani, bądź też w górę trzech krętych rzeczek, jakie do niej wpadają. Zbierali muszle na piaszczystym wale i wśród nadbrzeżnych skał, szukali poziomek wśród kwiatów i traw rosnących, na wydmach, z kapitanem wypływali na połów szokfiszów, strzelali do siewek na przybrzeżnych polach, a do dzikich kaczek w zatoce. Wieczorami Tlrządzałi wędrówki wśród pokrytych kwieciami, kąpiący ch się w świetle księżyca łąk lub też siadali w gościnnym pokoju małego domku, gdzie często wobec chłodnych powiewów od strony morza musiano zapalać na kominka ogień, i mówili o tysiącu i jednej rzeczy, o jakich młodzi, weseli i, pełni radości życia ludzie umieją zwykle między sobą rozmawiać.

Ewa zmieniła się zupełnie od tego pamiętnego dnia, kiedy to wyspowiadała się przed Anią. Najmniejszy ślad nie pozostał z jej dawnego chłodu i skrytości oraz z dawnej goryczy. Zmarnowane dziewczęce lata zdawały się wracać. Czarowała wszystkich jak pachnący, cudowny kwiat. Na wieczornych zebraniach ona pierwsza śmiała się swym dźwięcznym śmiechem, z jej to czarownych ust padało pierwsze wesołe słowko. Jeśli przypadkiem się nie zjawiła, wszystkim brak jej towarzystwa dawał się we znaki. Jej rozbudzona dusza odbijała się refleksem na cudnej twarzy czcze, jaśniała, jak delikatne światełko jaśniejnie przez niepokalaną czyistość alabastrowej wazy. Były chwile, kiedy Anię oczy bolały od patrzenia na tyle piękności. A co do Owena Forda, to jego zaginiona Małgosia, chociaż miała kasztanowate, miękkie włosy i wesołą twarzyczkę dziewczyny, która przed laty znikła i spoczywała teraz tam, gdzie śni zatopiona Atlantyda, przypominała zupełnie Ewę Moore taką, jaką spotkał wśród ciszy i spokoju Przystani Czterech Wiatrów. Jednym słowem, było to niezapomniane nigdy lato, jedno z tych, jakie człowiek nieczęsto przeżywa i które w duszy pozostawia dużo cudownych wspomnień; jedno z tych, które przy pięknej pogodzie, przemitym towarzystwie i ciekawych zajęciach tak bardzo zbliża się do doskonałości jak mało innych rzeczy na świecie.

— Za piękne, aby długo trwało — zauważyła ze smutkiem Ania pewnego wrześnieowego dnia, kiedy to nieznaczny chłód w powiewie wiatru i bardzo mocny błękit wody w zatoce szepnęły jej, że zbliża się jesień.

Tego wieczoru Owen zapowiedział wszystkim, że skończył właśnie książkę i że musi wracać do domu.

— Dużo mi jeszcze zostaje do zrobienia. Muszę jeszcze raz przejrzeć rękopis, wygładzić tekst i tak dalej, ale najważniejsza rzecz zrobiona. Ostatnie zdanie napisałem dzisiaj rano. Jak tylko będę mógł znaleźć nakładcę, to książka wyjdzie z druku już w ciągu przyszłego lata.

Owen dość pewny był, że nakładca się znajdzie. Wiedział, że napisał piękną powieść, taką, która będzie miała wielki popyt, jednym słowem — żywą książkę. Wiedział, że powieść ta przyniesie mu i sławę, i pieniądze — ale kiedy ostatnie słowa zostały rzucone na papier, pochylił nad rękopisem głowę i siedział tak długi czas, a myśli jego były dalekie od dzieła, które w tej chwili ukończył.



# XXVI. Wyznanie Owena Forda

Tak żałuję, że Gilberta nie ma w domu — mówiła Ania. — Musiał wyjść, Allanowi Lyons w Glen zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Wróci do domu prawdopodobnie bardzo późno, ale kazał mi powiedzieć, że wstanie jutro wcześniej, aby przed wyjazdem jeszcze pana pożegnać. Jaka wielka szkoda! Planowałyśmy z Zuzanną takie doskonale przyjęcie na ostatni wieczór pańskiego pobytu tu wśród nas.

Siedziała obok strumyka przecinającego ogródek, na malej ławeczce zrobionej przez Gilberta. Owen Ford stał obok niej, opierając się o pień poźółkiej brzozy. Był strasznie bladej, a twarz jego nosiła ślady nie przespanej nocy. Ania spoglądała nań i dziwiła się w duszy, że też mimo wszystko pobyt przez całe lato na Wyspie nie pomógł mu dużo w odzyskaniu sił. Czy za intensywnie pracował nad ksiązką? Przypomniała sobie, że już od tygodnia niedobrze wyglądał.

— Raczej rad jestem, że doktora nie ma — powiedział z wolna Owen. — Chciałem zastać panią samą, pani Blythe. Jest jedna rzecz, którą muszę komuś wyznać — inaczej doprowadzi mnie ona do szaleństwa. Tydzień cały starałem się spojrzeć jej prosto w oczy i nie mogłem się na to zdobyć. Wiem, że pani można zaufać, a poza tym pani to zrozumie. Kobieta z pani oczyma zawsze to pojmie. Pani należy do tych ludzi, którym instynktownie wszystko się mówi i ze wszystkiego się spowiada. Pani Blythe, ja kocham Ewę! Nie... Kocham to za słabe słowo...

Głos jego załamał się pod wpływem przytłumionego wzruszenia. Odwrócił głowę i skrył twarz w dłoniach. Drżał cały. Ania siedziała obok, blada i przerażona. Nigdy o tym nie pomyślała. A jednak... Jak to się stało, że nie poświęciła temu zagadnieniu żadnej myśli? W tej chwili wydawało się to jej iście zupełnie naturalną i nieunikioną. Dziwiła się, że mogła

być tak ślepa. Ale... ale... tego rodzaju rzeczy nie zdarzały się w Czterech Wiatrach! Gdzieś indziej może ludzie namiętności mogli przejść do porządku nad ludzkimi konwenansami i prawami, ale nigdy tu; Ewa wynajmowała u siebie pokoje od dziesięciu lat i nigdy nie zdarzyło się nic podobnego. Tylko że może inni letnicy nie byli podobni do Owena Forda, a świeża, żywa Ewa nie była także zatroskana, smutną kobietą ubiegłych lat. Ach, ktoś powinien był o tym pomyśleć! Czemu o tym nie pomyślała panna Kornelia? Przecież ona zawsze gotowa była bić na alarm, jeśli w grę wchodził mężczyzna. Ania odczuła zupełnie bezpodstawną urazę do panny Kornelii, potem głęboko westchnęła. Nic nie pomoże szukanie winnych. Nieszczęście już się stało. A Ewa? Co się z nią dzieje? O nią to Ania najwięcej się zatroskała.

— Czy Ewa wie o tym? — zapytała na pozór spokojnie.

— Nie. Chyba że się domyśliła. Przecież nie sądzi pani, abym mógł być takim lotrem, żeby jej o tym mówić. Musiałem ją pokochać, i to wszystko. A teraz moja niedola jest nie do zniesienia.

— A czy ona dba o to? — zapytała Ania. W chwili jednak, kiedy wypowiedziała te słowa, uprzytomniła sobie, że nie powinna była w ten sposób o to pytać.

Owen Ford zaprotestował żywo:

— Nie, ależ na pewno nie! Czuję jednak że mógłbym zdobyć jej serce, gdyby była wolna. Wiem, że mógłbym.

„Ona go kocha i on wie o tym” — pomyślała Ania. Głośno zaś powiedziała serdecznie, ale stanowczo:

— Ale ona nie jest wolna. I jedyna rzecz, jaką może pan zrobić, to odejść cicho i pozostawić ją swemu losowi.

— Wiem, wiem! — z bólem zawołał Owen. Usiadł na trawie na brzegu strumyka i bezmyślnie wpatrywał się w bursztynową wodę, przepływającą u jego stóp.

— Wiem, że nie mogę tu nic poradzić, nic innego zrobić, jak powiedzieć uprzejmie: „Do widzenia, pani Moore, dziękuję pani bardzo za grzeczność, jaką mi pani okazała przez całe lato” — tak właśnie, jak bym powiedział do skrzetnej, na wszystko baczącej gospośi, jaką przed moim przyjazdem spodziewałem się tu zastać. Potem wyrównam rachunek za mój pobyt, jak każdy uczciwy lokator, i odejdę. Ach tak, to takie proste. Bez żadnych wątpliwości, bez zamieszania, najprostsza droga od początku świata. Pójdę nią. Niech się pani nie obawia, że z niej zoboczę, ale doprawdy łatwiej by mi było stąpać po rozpalonym do białości żelazie.

Ania wzdrygnęła się przed słargą w jego głosie. A tak mało mogła poradzić mu w tej trudnej sytuacji! O gniewie nie było mowy, rady nie potrzebował, słowa współczucia były nie na miejscu wobec jego strasznego bólu, mogła tylko po cichu litować się nad nim. Serce ją bolało z powodu Ewy. Czy to biedactwo nie dość nacierpiało się i bez tego?!

— Nie byłoby mi tak ciężko od niej odejść, gdybym wiedział, że jest szczęśliwa — ciągnął dalej wrzuszonym głosem Owen — ale myśleć wciąż o tym, że ona tu umiera za życia i że ją tu muszę zostawić, to najgorsze ze wszystkiego. Oddałbym życie, by ją uczynić szczęśliwą, a nie mogę nic zrobić, ani trochę dopomóc. Ona jest na zawsze związana z tym nieszczęsnym człowiekiem, bez nadziei na przyszłość, z tą strasną świadomością, że lata idą puste, smutne, jałowe. Myśl o tym przywodzi mnie do szaleństwa! A ja muszę iść przez moje życie nie widząc jej, a zawsze mając przed oczyma jej ciężki los. To strasne, strasne!

— Tak to bardzo ciężkie — rzekła Ania ze smutkiem. — My, wszyscy jej przyjaciele, my wiemy, jak ona cierpi.

— A natura tak ją bogato wyposażyla! — z buntem w głosie zawołał Owen. — Jej piękność to jeszcze najmniejszy dar z tej wyprawy, a przecież ona jest najpiękniejszą kobietą, jaką zdarzyło mi się spotkać. Ten jej śmiech... Przez całe lato robiłem wszystko, aby śmiech ten wywołać, z największą rozkoszą zawsze go słuchałem. A jej oczy, takie głębokie i błękitne jak morze. Nie widziałem takiego niebieskiego koloru i takich złotych warkoczy. Czy pani ją kiedykolwiek widziała z rozpuszczonymi włosami?

— Nie.

— Ja widziałem, raz. Wyszedłem kiedyś z kapitanem na ryby, ale ponieważ pogoda była zbyt wietrzna, wróciłem do domu. Skorzy stała ze sposobności, że będzie miała całe popołudnie wolne, i umyła sobie głowę, a potem wyszła na werandę w promieniach słonecznych osuszyć spłoty. Spadały jej do stóp jak kaskada żywego złota. Ujrawszy mnie, uciekła do pokoju, a wiatr, który igrał z jej lokami, otulił ją nimi tak, że wyglądała niczym Wenus w obłokach. Wówczas to po raz pierwszy zrodziło się we mnie przeświadczenie, że ją kocham, że pokochałem ją od chwili, kiedy ujrzałem ją stojącą na tle nocy w aureoli światła. I ona musi żyć tu, męcząc się i pielęgnując Ryszarda, oszczędzając i odmawiając sobie wszystkiego, aby koniec z końcem związać, podczas gdy ja tymczasem będę musiał pędzić żywot w tęsknocie za nią, pozbawiony nawet możności niesienia tej pomocy, jaką mógłby jej służyć dobry przyjaciel. Całą ostatnią noc chodziłem wzdłuż brzegu tam i z powrotem i wciąż o tym myślałem. A przecież, mimo wszystko, nie żałuję wcale, że przyjechałem do Czterech Wiatrów. Wydaje mi się, że chociaż to wszystko jest takie smutne, to przecież byłoby jeszcze straszniejsze, gdybym nie poznał Ewy. Pokochać ją, a potem być zmuszonym do odejścia to ból okropny. Ale stokroć gorzej nie zobaczyć jej nigdy i nie mieć możności pokochania! Zdaje mi się, że mówię szalone rzeczy, ale tego rodzaju zwierzenia zawsze brzmią jak szaleństwo, jeżeli je chcemy ubrać w słowa, bo ich nam nie dostaje. To są sprawy, dla których mowa ludzka jest zbyt niedoskonała, sprawy, które się tylko czuje i z powodu których się cierpi. Nie powinienem tego mówić, ale mi to przyniosło jakąś ulgę. Dało mi przy najmniej siłę, żeby jutro uczciwie i cicho odejść. Pani do mnie od czasu do czasu napisze, prawda? Doniesie mi pani, co się z nią dzieje?

— Tak — odpowiedziała Ania. — Tak mi przykro, że pan musi odjechać, będzie nam pana brak. Byliśmy takimi dobrymi przyjaciółmi. Gdyby nie to wszystko, mógłby pan wrócić na przyszłe wakacje. Może przecież z czasem... jak pan zapomnia, może...

— Nigdy nie zapomnę i nigdy nie powrócę do Czterech Wiatrów — krótko odrzekł Owen.

Cisza i półmrok zapanowały nad ogródkiem. Z oddali morze łagodnie i monotonnie uderzało o brzeg wału. Wieczorny wiatr wyrywał wśród topól tęskną, dżką pieśń, jakiś fragment melodii minionych czasów. Młoda, wiotka i strojna osika rysowała się przed nimi na tle mieniącego się złotem, zielenią i delikatną czerwienią zachodniego nieba.

— Czy to nie cudowne? — powiedział Owen wskazując na nią z miną człowieka, który siłą woli zmusza się do mówienia na inny temat.

— To jest tak piękne, że aż boli — szepnęła Ania. — Doskonale rzeczy zawsze wprowadzały mnie w pewne upojenie graniczące z bólem. Przypominam sobie, że będąc małym dzieckiem, nazywałam to „dziwnym bólem”. Co jest według pana przyczyną, że ból ten tak bardzo związany jest z doskonałością? Czy jest to może ból płynący ze świadomości czegoś w nas nie dokończonego?

— Może — w zamyśleniu powiedział Owen — jest to uwięziona w nas nieskończoność, wyrządzająca się do pokrewnej nieskończoności, objawionej w tym widzialnym pięknie.

— Zdaje się, że pan się nabawił kataru. Lepiej niech pan posmaruje sobie nos na noc łojem — padły słowa panny Kornelii, która weszła do ogrodu przez małą furtkę między jodłami i usłyszała ostatnie słowa Owena. Lubiała go bardzo, ale było to u niej kwestią zasady zbурczyć każdego mężczyznę za „górnolotne frazesy”.

Panna Kornelia przedstawiała zawsze komiczny moment, który stale wyglądał za węgła przy wszystkich tragediach życia. Ania, której nerwy były naprężone, roześmiała się głośno. Nawet na ustach Owena ukazał się uśmiech. To było pewne, że uczucia i zawody zdawały się rozwiać z chwilą, gdy na horyzoncie ukazywała się panna Kornelia. A przecież w oczach Ani nic nie wydawało się tak bezradziejne, ciemne i bolesne jak to, czego świadkiem była przed kilkoma minutami. Sen uciekł od niej zupełnie tej nocy.



# XXVII. Na piaskowym wale

Następnego ranka Owen Ford opuścił Przystań Czterech Wiatrów. Wieczorem tego dnia Ania udała się do domu nad strumykiem w odwiedziny do Ewy, iecz nie zastała nikogo. Dom był zamknięty, w oknach ciemno. Całość robiła wrażenie miejsca opuszczonego. Następnego dnia Ewa również się nie pokazała, co się wydało Ani bardzo złym znakiem.

Ponieważ Gilbertowi nadarzyła się sposobność spędzenia wieczoru na łowieniu ryb w zatoce, Ania postanowiła wybrać się z nim razem i wstąpić po drodze na kilka chwil do kapitana w latarni. Tymczasem wielkie światło, przecinające swymi promieniami mgły jesiennego wieczoru, było pod opieką Aleksandra Boyda, a kapitan wyszedł z domu.

— Co wobec tego masz zamiar robić? — zapytał Gilbert. —

Pójdiesz może ze mną?

— Nie, nie chcę iść do zatoki, ale odprowadzę cię do kanału, a potem pochodzę po wybrzeżu do czasu, kiedy wrócisz. Wybrzeże skaliste jest dziś zbyt oślizłe i ponure.

Pozostawioną samej sobie na piaskach wału Anię całą pochłonął czarodziejski urok nocy. Dzień, jak na wrzesień, był bardzo ciepły, całe popołudnie zaś bardzo mgliste. Lecz księżyc w pełni rozwił częściowo mgły i zamienił przystań, zatokę i okoliczne brzegi w niesamowity i fantastyczny świat bladosebr—nych półcieni, wśród których przedmioty przybierały dziwne, upiorne kształty. Czarny szłuner kapitana Jozasza Crawforda, płynący w dół kanału z ładunkiem kartofli, robił wrażenie okrętu—widma, odbywającego wędrówkę do dalekich, niezmych krajów, nigdy nie zdobytych. Krzyki niewidzialnych mew, krążących nad głową, rozbrzmiewały w powietrzu jak głosy potępionych dusz marynarzy. Łagodne fale ze strzępami piany na grzbietach, miarowo uderzające o piaski, zdały się być duchami, które opuściły swe kryjówki na dnie morza i cicho skradały się na brzeg. Jak cielska poukładanych do snu olbrzymów, rysowały się na tle nocy szeregi wydym piaseczystych. Niczym zwodnicze latarnie na brzegach jakiejś zaczarowanej krainy, migotały bladawo po drugiej stronie przystani światła rozrzuconych tam domów. Tysięczne cuda stawały przed oczyma Ani. Cudowną, pełną tajemnic była ta samotna wędrówka wzdłuż otulonych mrokiem brzegów.

Czy jednak Ania była tu sama? Coś przed nią zamajaczyło, powoli przybierało postać i kształty i naraz skierowało ku niej przez pomarszczony falami piasek swe kroki.

— Ewa! — zawołała zdumiona Ania. — Co ty tu robisz o tej porze?

— Jeżeli o to chodzi, to co ty tu robisz? — odpowiedziała Ewa starając się uśmiechnąć. Wysiłek ten skończył się jednak zupełnym niepowodzeniem. Wyglądała bardzo blado. Znać było na niej znużenie; tylko loki, wysuwające się spod czerwonej czapeczki, otaczały twarzyczkę jak pierścienie czystego złota;

— Czekam na Gilberta. Poszedł do zatoki. Chciałam zaczekać w latarni, ale kapitana nie ma w domu.

— A ja przyszedłam tu, bo chciałam iść, iść, iść przed siebie bez końca! — niespokojnie zawołała Ewa, z trudem wstrzymując się od łkania. — Nie mogłam tego zrobić na brzegu wśród skał. One mię więziły, a poza tym przypływy były bardzo wysokie. Musiałam tu przyjsć, inaczej chyba bym oszalała. Przez kanał przepłynęłam w czółnie kapitana. Jestem tu... Jestem tu już od godziny. Chodź ze mną, chodźmy. Nie mogę ustać na miejscu. Ach, Aniu!

— Ewo najdroższa! Skąd ten niepokój? — zapytała Ania, choć znała dobrze jego przyczynę.

— Nie mogę nic powiedzieć, nie pytaj. Chciałabym, żebyś wiedziała, ale nie mogę powiedzieć. Nikomu tego nie mogę wyznać. Ach, jaka ja byłam nierozsądna! Nie ma nic bardziej bolesnego na świecie.

Zaśmiała się z goryczą. Ania objęła ją ramieniem.

— Ewo, to dlatego, żeś pokochała Owena Forda?

Ewa gwałtownym ruchem zwróciła się ku niej.

— Jakżeś się o tym dowiedziała? — krzyknęła. — Aniu, skoro ty wiesz... Ach, to wyryte na mej twarzy, wszyscy to na pewno odczytują. Powiedz, prawda, że tak?

— Nie, nie, ja... ja nie mogę ci powiedzieć, skąd ja to wiem. Tak mi to jakoś przyszło do głowy, Ewo, nie patrz na mnie takim wzrokiem!

— Gardzisz mną? — zawołała Ewa wyzywającym, głuchym tonem. — Myślisz, że jestem zła, podła, albo sądzisz, że jestem bardzo niemądra?

— Wcale tak o tobie nie myślę, posłuchaj, kochanie, porozmawiajmy rozsądnie, jak mogłybyśmy mówić o każdym innym poważnym zagadnieniu życiowym. Tyś już nad tym rozmyślała i przywiodło to ci do główki najczarniejsze myśli. Ile razy sprawy przyjmą niekorzystny obrót, zaczynaś się zapatrywać ponuro na świat, a przecież obiecałaś mi tego nigdy nie robić i walczyć z sobą.

— Ale, ach, to taki wstyd! — szepnęła Ewa. — Kochać go, i to wówczas, gdy nie jestem wolna, kiedy nie mam prawa nawet ośmielić się go kochać.

— Nic w tym nie ma złego. Smutno mi jedynie, że zainteresowałaś się Owenem, bo w obecnym stanie rzeczy będziesz tylko z tego powodu bardziej nieszczęśliwa.

— Ja wcale nie starałam się o to, żeby go pokochać — broniła się gwałtownie Ewa. — Nigdy bym do tego nie dopuściła, nigdy też o czymś podobnym nie marzyłam do tego dnia, kiedy tydzień temu powiedział mi, że skończył pisanie książki i że niedługo wyjedzie. Wówczas, wówczas poznałam, co się we mnie dzieje. Doznałam wrażenia, jakby mnie ktoś w straszny sposób uderzył. Nic wtedy nie odpowiedziałam, nie mogłam mówić, ale sama nie wiem, jak wówczas mogłam wyglądać. Boję się, że wyraz mej twarzy mnie zdradził. Ach, umarłabym ze wstydu, gdyby on coś wiedział albo przeczuwał.

Ania ze smutkiem słuchała jej w milczeniu, myśląc o swej rozmowie z Owenem. Ewa ciągnęła dalej gorączkowo, jakby szukając w słowach ukojenia:

— Taka byłam szczęśliwa przez całe lato, Aniu, szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu. Myślałam, że to dlatego, że wszystkie przeszkody między mną a tobą zostały usunięte i że pod wpływem twojej przyjaźni życie wydaje mi się piękne i dobre. I tak też rzeczywiście było, ale tylko częściowo. Wiem teraz, dlaczego świat cały wydawał mi się innym. A teraz, kiedy on odjechał, wszystko stracone. Jak ja mogę żyć, Aniu? Kiedy wróciłam do domu dzisiejszego ranka po jego wyjeździe, cisza i samotność tak na mnie podziały jak uderzenie w twarz.

— Z czasem nie będzie to takie nie do zniesienia, kochanie — powiedziała Ania, która tak silnie odczuwała boleść i smutek swych przyjaciół, że nie znajdowała na pocieszenie odpowiednich słów. Poza tym pamiętała, jak nawet szczerze słowa pociechy bolały ją w jej własnych smartwieniach, i bała się, żeby i teraz tak nie było.

— Mnie się zdaje, że z każdym dniem będzie gorzej, z każdym dniem... — skarżyła się zniechęconym głosem Ewa. — Nie mam żadnej przyszłości przed sobą. Dzień za dniem będzie mijał, a on nie powróci więcej. Jak pomyślę sobie, że nigdy go już nie ujrzę, to wydaje mi się, jak gdyby jakieś szpony bezlitośnie rwały na strzępy moje serce. Kiedyś, dawno, marzyłam o miłości i wyobrażałam ją sobie jako coś cudownego, a dziś wiem, jak ona wygląda. Kiedy odjeżdżał wczoraj rano, taki był zimny i obojętny. Powiedział: „Do widzenia, pani Moore” — najchłodniejszym w świecie tonem. Jakbyśmy nawet przyjaciółmi nie byli, jakby mi nie zupełnie dla niego nie znaczyła. Wiem, ja nie chcę, nie chciałam, aby się mną zajął, ale mógł być cokolwiek bardziej serdeczny.

„Ach, tak chciałabym, żeby Gilbert już wrócił!” — modliła się w duszy Ania. Dręczona była z jednej strony wielką litością dla Ewy, z drugiej zaś koniecznością unikania wszystkiego, co mogłoby zdradzić zaufanie, jakim obdarzył ją Owen. Wiedziała, dlaczego to pożegnanie było takie zimne, dlaczego nie mogło mieć tej serdeczniejszej nuty, jakiej wymagała ich przyjaźni, nie wolno jej jednak było tego powiedzieć Ewie.

— Nie mogłam na to poradzić, Aniu, nie mogłam — mówiła biedna Ewa.

— Wiem o tym.

— Jak myślisz, czy bardzo zawiniłam?

— Nie winie cię zupełnie, Ewo.

— I nie powiesz nic Gilbertowi?

— Ewo, czy wyobrazasz sobie, że mogłabym coś podobnego zrobić?

— Ach, ja nie wiem. Wy oboje jesteście takimi wielkimi przyjaciółmi. Nie widzę powodu, dlaczego nie miałabyś mu wszystkiego opowiadać.

— Wszystko o moich sprawach — tak, ale nie o tajemnicach moich przyjaciół.

— Nie chciałabym, żeby on coś o tym wiedział, ale rada jestem, że ty wiesz. Czuję się winną, gdybym musiała coś przed tobą ukrywać. Spodziewam się, że panna Kornelia nie domyśliła się niczego. Czasami mam wrażenie, że te jej dobre, brunatne i straszne oczy czytają w mej duszy. Boże, chciałabym, aby te mgły nigdy się nie rozeszły, na zawsze zostały i skryły mnie przed wszystkimi ludźmi. Nie wiem, jak ja będę dalej żyć. To lato było tak piękne! Ani na jedną chwilę nie czułam się samotna. Zanim Owen tu przybył, miewałam takie straszne chwile, kiedy byłam z tobą i Gilbertem, a potem musiałam się z wami żegnać. Wyście zawsze razem odchodzili, a ja szłam sama jedna. A potem, jak Owen przyjechał, zawsze był ktoś, z kim wracałam do domu. Śmiałyśmy się i rozmawialiśmy zupełnie jak ty i Gilbert. Nie było już więcej samotnych chwil i dla mnie. A teraz... Tak, ja byłam chyba niepożyczalną. Ale skończmy rozmowę o moim szaleństwie, nigdy już cię tym nie będę zanudzać.

— Oto Gilbert, a wrócisz razem z nami — rzekła Ania, która wcale nie miała zamiaru pozostawiać Ewy na wale piaszczystym w taką noc i w takim nastroju. — Jest dużo miejsca w naszej łódce, a czołno kapitana przyczepimy z tyłu.

— Tak muszę się pogodzić z tym, że zawsze będę dodatkiem — powiedziała biedna Ewa z gorzkim śmiechem. — Proszę, przebacz mi, Aniu, to było obrzydliwe z mej strony. Powinna ci być wdzięczna i jestem, że mam dwoje dobrych przyjaciół, którzy radzi są, że mogą mnie, jako trzecią, przyjąć do swego grona. Nie zważaj na moje wstrętne słowa. Niestety, zdaje mi się, że jestem jedną wielką raną i że wszystko sprawia mi ból.

— Ewa była jakoś bardzo cicha dziś wieczór, prawda? — odezwał się Gilbert do Ani po powrocie do domu. — Co ona, na miły Bóg, robiła sama na wale?

— Ach nic, była zmęczona, a wiesz, że ona lubi wypocząć nad brzegiem w te dni, kiedy Ryszard jest taki nieznośny.

— Jaka szkoda, że nie spotkała i nie wyszła za mąż przed laty za takiego człowieka jak Ford — głośno rozmyślał Gilbert. — Byłaby z nich wyjątkowo dobrana para, nie uważasz?

— Bój się Boga, Gilbertcie, nie rób się przypadkiem swatem, to obrzydliwy zawód dla mężczyzny! — zawołała trochę ostro Ania, obawiając się, żeby Gilbert nie odkrył całej prawdy, rozwodząc się zbyt długo nad tym faktem.

— Daj pokój, Aniu, nie nadaję się na swata — zaprotestował Gilbert cokolwiek zdziwiony jej tonem. — Myślałem tylko, co mogłoby być.

— Zostaw to, szkoda czasu — powiedziała Ania, potem dodała nagle:

— Gilbertcie, chciałabym bardzo, aby wszyscy ludzie byli tak szczęśliwi jak my oboje.





# XXVIII. Różne sprawy

Panna Kornelia, 1890

Panna Kornelia, 1890

Panna Kornelia, 1890

Panna Kornelia, 1890

Panna Kornelia, 1890

Panna Kornelia, 1890

Panna Kornelia, 1890

Czytam pośmiertne ogłoszenia — powiedziała panna Kornelia kładąc na stole codzienną gazetę i zabierając się z powrotem do sżycia.

Panna Kornelia, 1890

Nad ciemną i ponurą przy stanią zawiśło pochmurne niebo listopadowego dnia. Mokre, obumarłe listki, zraszane deszczem, zwiślały z gzymśów okien. W małym domu jednak wesoły ogień płonął na kominku, piękne zaś kwiaty i palmy, postawiane w oknach, przypominały jaśniejsze dni.

Panna Kornelia, 1890

— Tu zawsze jest lato — rzekła raz Ewa, a wszyscy ci, którzy odwiedzali mały domek, odnosili to same wrażenie.

Panna Kornelia, 1890

— W gazecie bardzo dużo teraz spotyka się ogłoszeń pośmiertnych — ciągnęła dalej panna Kornelia. — Zapelniają stale kilka kolumn, ja zaś odczytuję każdy wiersz. To jeden z mych sposobów szukania rozrywki, zwłaszcza jeżeli są tam równocześnie i poezje. Niech pani posłucha, oto jedna wybitnie piękna próbka:

Panna Kornelia, 1890

*Odeszła, by pozostać przy Stwórcy,*

Panna Kornelia, 1890

*I już nie błąkać się samotnie, po kryjomu,*

Panna Kornelia, 1890

*A tak lubiła grać i śpiewać*

Panna Kornelia, 1890

*Pieśń o domu, o słodkim domu.*

Panna Kornelia, 1890

Panna Kornelia, 1890

Panna Kornelia, 1890

Panna Kornelia, 1890

Panna Kornelia, 1890

Kto może powiedzieć, że nie mamy poetyckich talentów na Wyspie? Czy pani już zauważyła, jak dużo niezwykle dobrych ludzi umiera? Aż żal bierze. Dziś jest dziesięć ogłoszeń, a tylko sami święci, nawet mężczyźni. Na przykład ten Piotr Stimson, który „pozostawił liczne rzesze przyjaciół, oplakujących jego zgon”. Boże, Aniu, ten człowiek miał osiemdziesiąt lat, a każdy, kto go znał, żyzył mu już trzydzieści lat temu, aby umarł. Gdy pani będzie smutna, niech pani czyta pośmiertne wzmianki, zwłaszcza o ludziach, których pani znała. To panią rozweseli, proszę mi wierzyć. Chciałabym, żeby ch mnie należało pisanie nekrologów o niektórych ludziach. Swoją drogą, czy to nie obrzydliwe słowo „nekrolog”? Ten sam Piotr, o którym przed chwilą wspominałam, miał na pewno twarz podobną do nekrologu. Nigdy jej nie widziałam, ale nieraz o tym myślałam. Jest jedno okropniejsze jeszcze słowo, jakie znam, to „osierocona wdowa”. Aniu, kochanie, jestem wprawdzie starą panną, ale jedną mam w tym pociechę, że nigdy nie będę niczyją „osieroconą wdową”.

Panna Kornelia, 1890

— Tak, to brzydkie słowo — powiedziała śmiejąc się Ania. — W Avonlea pełno jest starych nagrobków z napisami „poświęcone takiej to a takiej, wdowie po takim to a takim. Zawsze mi to przypominało znoszone i nadjedzone przez moje suknie. Jak się to dzieje, że tyle słów mających związek ze śmiercią brzmi tak niemile? Chciałabym też, aby raz nareszcie usunięto zwyczaj nazywania ciała zmarłego „zwołkami”. Zawsze zimno mi się robi, ile razy słyszę przedsiębiorcę pogrzebowego zapowiadającego: „Wszyscy ci, co jeszcze raz chcą spojrzeć na zwołki, niechaj przejdą na tę stronę”. Mam wówczas okropne wrażenie, że jeszcze chwila, a będę świadkiem uczy ludozerców.

Panna Kornelia, 1890

— Ja mam nadzieję — powiedziała spokojnie panna Kornelia — że nikt nie zechce mnie nazwać „siostrą, która nas opuściła”. Raz powiedziałam dobitnie moje zdanie na temat „braci i sióstr” pewnemu wędrownemu pastоровi, który przed pięciu laty miewał kazania w Glen. Nie podobał mi się ten człowiek od samego początku. Wciąż miałam wrażenie, że z nim coś jest nie w porządku, i rzeczywiście tak było. Niech pani tylko posłucha. On się przedstawił jako prezbiterianin — wymawiał to „przezbitarianin”, a tymczasem był to zwykły metodysta. Każdego nazywał bratem i siostrą. Miał doprawdy ogromną ilość krewnych. Pewnego wieczora ni stąd, ni zowąd schwyił mnie za rękę i błagalnym tonem zapytał: „Drogo siostro Bryant, czy pani jest chrześcijanką?” Zmierzyłam go od stóp do głów, a potem odpowiedziałam spokojnie: „Jedyny brat, jakiego miałam, panie Fiske, został pochowany piętnaście lat temu, a od tego czasu nie adoptowałam nikogo na jego miejsce. A co do tego, czy jestem chrześcijanką, to powiem, że byłam nią już wówczas, kiedy pan jeszcze na czworakach po ziemi się czołgał”. To go otężeвило, niech mi pani wierzy. Niech pani nie myśli, że ja wszystkim pastorom tak dokuczam, są między nimi dobrzy, mądrzy i czcigodni ludzie, przed którymi niejeden grzesznik musiałby się skruszyć, ale ten czcigodny Fiske do nich z pewnością nie należał. Fiske podczas nabożeństwa wezwał wszystkich, którzy się nazywali chrześcijanami, do powstania. Ja go nie posłuchałam, bo mi nigdy się tego rodzaju rzeczy nie podobały. Większa część jednak zebranych wstała, po czym on wezwał do powstania wszystkich tych, którzy chcą zostać chrześcijanami. Przez chwilę nikt się nie ruszył, wobec czego Fiske zaintonował na całe gardło psalm. Akurat przede mną, w ławce Mullisonów, siedział mały Wicek Backer. Był to wiejski chłopak w wieku około dziesięciu lat, a Mullison zamęczał go pracą na śmierć. Malec wskatek tego tak był zawsze zmęczony, że momentalnie zasypiał, gdzie tylko udało mu się posiedzieć choć parę chwil bez ruchu. I teraz, podczas nabożeństwa, spał sobie spokojnie, ja zaś byłam wdzięczna Bogu, że biedactwo znalazło tę maleńką chwilkę odpoczynku. Tymczasem Fiske zaczął gwałtownie śpiewać, a inni do tego się dołączyli i mały Wicek naraz się przebudził. Myślał, że to był zwykły śpiew, podczas którego każdy jest obowiązany stać, wobec czego szybko porwał się na nogi, spodziewając się, że inaczej Marian Mullison natrze mu uszu za spanie podczas nabożeństwa. W tej chwili ujrzał go Fiske, przestał śpiewać i zawołał: „Otd jeszcze jedna zbawiona dusza, chwala niech będzie Panu, Alleluja!”, a to był tylko mały Wicek, nie wiedzący, co się z nim dzieje, i nie myślący wcale o duszy. Biedne dziecko o niczym innym nie myślało, tylko o swoim zmęczonym, małym ciałku.

Panna Kornelia, 1890

Ewa poszła pewnego razu na nabożeństwo, Fiske zaczął ją nadzwyczajnie wyróżniać, jestem przekonana, że on się specjalnie troszczył o zbawienie dusz ładnych dziewcząt, wierzie mi — i tak ją tym zraził, że się tam więcej nie pokazała. On zaś potem każdego wieczora bardzo gorąco się modlił, i to na głos, aby Bóg złagodził zatwardziałe serce Ewy. W końcu nie mogłam tego znieść i posłam do pana Leawit, który wówczas był naszym pastorem, i zapowiedziałam mu, że jeżeli nie wpłynie na pana Fiske, to przy najbliższej sposobności rzucę weń moją księżeczką do nabożeństwa w chwili, jak powtórzy słowa o „pięknej, młodej i grzesznej kobiecie”. Niechaj mi pani wierzy, że byłabym to zrobiła. Pan Leawit powstrzymał jego religijny zapal w tym kierunku. Fiske jednak odbywał jeszcze przez jakiś czas swoje zebrania w Glen, dopóki Charley Douglas nie położył temu kresu. A było to tak: pani Charley spędziła całą zimę w Kalifornii. Była ona melancholiczną na tle religijnym, a to często zdarzało się w jej rodzinie. Jej ojciec tak się kłopotał i tyle rozmyślał o sprawach wiary, że w końcu popełnił rzecz nie do przebaczenia, mianowicie zmarł w zakładzie dla obłąkanych. Wobec tego, jak Róża Charley zaczęła zdradzać te same skłonności, jej mąż Douglas wysłał ją do siostry w Los Angeles. Pobyt tam doskonale jej zrobił. Pani Charley wróciła do domu w tym czasie, kiedy Fiske był u szczytu swej sławy. Wyszła z wagonu na stacji w Glen wesoła i rozradowana i pierwsza rzecz, jaka jej rzuciła się w oczy, było pytanie wymalowane białymi, wielkimi na dwie stopy literami na magazynie obok stacji: „Dokąd idziesz? Do nieba czy do piekła?” Był to jeden z pomysłów szanownego Fiske, a do wymalowania tego głupiego zdania udało mu się namówić Henryka Hammonda. Róża tylko krzyknęła i zaraz zemdlła, a jak ją przywieźli do domu, stan jej zdrowia ogromnie się pogorszył. Wtedy do Douglas poszedł do pana Leawit i zapowiedział, że cała rodzina Douglasów przestanie chodzić do kościoła, jeżeli Fiske będzie tam dłużej gospodarował. Pan Leawit musiał ustąpić, bo Douglasowie płacili bodaj połowę jego pensji. Fiske wówczas w końcu wyjechał, a myśmy pozostali tylko z naszymi Bibliami, w których musieliśmy szukać odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób dostać się do nieba. Już po jego odjeździe pan Leawit dowiedział się, że Fiske to zamaskowany metodysta, i bardzo był tym zmartwiony. Pan Leawit w niektórych wypadkach nie dorósł do zadania, ale poza tym był to dobry i szczerzy prezbiterianin.

Panna Kornelia, 1890

— Ale, ale! Otrzymałam wczoraj list od pana Forda — powiedziała Ania. — Prosi mnie, abym pani przekazała jego pozdrowienia.

Panna Kornelia, 1890

— Nie potrzebuję jego pozdrowień — krótko odrzekła panna Kornelia.

Panna Kornelia, 1890

— Dlaczego? — zdziwiła się Ania. — Pani go przecież bardzo lubiła?

Panna Kornelia, 1890

— Tak było istotnie, naturalnie do pewnego stopnia, ale nigdy mu nie przebaczę tego, co zrobił biednej Ewie. To nieszczęsne dziecko duszę za nim wypakuje, jak gdyby nie miała dość swych własnych zmartwień. A on tymczasem lata po Toronto, nie wątpię, uradowany i szczęśliwy, jak zresztą każdy mężczyzna.

Panna Kornelia, 1890

— Panno Kornelio, jak pani to odgadła?

Panna Kornelia, 1890

— Mój Boże, Aniu, mam przecież oczy, nieprawdaż? Ewę znam od dzieciństwa. Wyczytałam nowe, wielkie zmartwienie na jej twarzy i domyślałam się, że w jakiś sposób winien jest temu ten literat. Nigdy sobie nie przebaczę, że to ja go tutaj wprowadziłam. Nie spodziewałam się jednak, że w ten sposób będzie się zachowywał. Myślałam, że będzie podobny do wszystkich innych mężczyzn odnajmujących od niej pokój, zarozumiałych młodych osłów, na których ona nie zwracała nigdy uwagi. Jeden z nich spróbował razu pewnego z nią poflirtować, ale tak go za to zmroziła spojrzaniem, że nie odtajał bodaj do dzisiejszego dnia. Nigdy też nie myślałam o jakimś niebezpieczeństwie z tej strony.

Panna Kornelia, 1890

— Niech pani nie da poznać Ewie, że pani odkryła jej tajemnicę — powiedziała Ania. — Boję się, że zrobiliby to jej przykrość.

Panna Kornelia, 1890

— Może mi pani zaufać, droga Aniu. Nie urodziłam się wczoraj. Ach, doprawdy, bodajby wszystkie plagi spadły na mężczyzn! Jeden z nich zniszczył jej życie, a teraz przychodzi drugi z tego plemienia i czyni ją jeszcze bardziej nieszczęśliwą... Świat cały to okropne miejsce, niech mi pani wierzy.

Panna Kornelia, 1890

— Coś w świecie jest błędnego, coś, co jednak z czasem zostanie wyjaśnione — w zamyśleniu wyrecytowała Ania.

Panna Kornelia, 1890

— Jeśli tak, to stanie się to w świecie, gdzie nie ma mężczyzn — zawyrokowała posępnie panna Kornelia.

— Cóż mężczyźni znow zrobili? — zapytał, wchodząc do pokoju, Gilbert.

— Same szkody, same szkody. Cóż innego mogliby poza tym zrobić!

— Ale to Ewa zjadła jabłko, panno Kornelio.

— Stworzenie rodzaju męskiego ją do tego namówiło — z triumfem odparowała panna Kornelia.

Ewa, po pierwszych chwilach wielkiego żalu, potrafiła przecież jakoś urządzić sobie życie, jak to zresztą dzieje się z nami wszystkimi bez względu na to, jakiego rodzaju tortury musimy znosić. Zdarzały się nawet momenty, w których się radowała, zwłaszcza kiedy znalazła się w wesołej atmosferze małego domku. Ale jeżeli Ania kiedykolwiek spodziewała się, że Ewa zapomni o Owenie Fordzie, to zaprzeczal temu wyraz jej oczu, ilekroć „wspomniano w jej obecności imię Owena. Litując się nad jej tęsknotą, Ania starała się zawsze w rozmowie, czy to z Gilbertem, czy z kapitanem, wplątać nowinę o Owenie wtedy, kiedy Ewa była obecna. Rumieńce i bladeść, które zalewały wówczas jej twarzyczkę, aż nazbyt wyraźnie zdradzały uczucia, jakie zapelniały jej serce. Nigdy jednak nie rozmawiała o nim z Anią i nie wspominała o tej nocy, którą obie spędziły na wale piaszczystym.

Pewnego dnia zakończył żywot stary, poczciwy pies Ewy, która serdecznie go oplakiwała.

— Był tak długo moim przyjacielem — mówiła ze smutkiem do Ani. — To był stary pies Ryszarda. Darowano mu psinę coś na rok przed naszym ślubem. Został ze mną, jak Ryszard wyruszył w podróż na „Czterech Siostrach”. Carlo bardzo się do mnie przywiązał i jego psia miłość pozwoliła mi przetrwać ten przykry rok po śmierci matki, kiedy to czułam się taka samotna. Obawiałam się, że po powrocie Ryszarda Carlo nie zechce już wyłącznie do mnie należeć, ale pies wcale nie zwrócił na niego uwagi, mimo że przedtem tak bardzo go lubił. Zawarczał nawet i rzucił się nań, jak gdyby był zupełnie obcym człowiekiem. Byłam z tego rada, bo dobrze było mieć chociaż jedno stworzenie, którego przywiązanie stanowiło wyłączną moją własność. Ten pies to była moja jedyna pociecha. W ostatnich czasach bardzo opadł z sił i obawiałam się, że długo nie pożyje. W każdym jednak razie spodziewałam się, że przy mojej opiece przetrzyma zimę. Wydawał się dzisiajszego ranka taki zdrowy! Leżał na dywaniku przed kominkiem, naraz wstał i powłókł się do mnie, położył mi głowę na kolanach, spojrzął na mnie swymi dużymi, łagodnymi oczyma z wyrazem nadzwyczajnego przywiązania, a potem zatrząsł się cały, padł i nie podniósł się więcej! Bardzo będę odczuwała jego brak!

— Pozwól sobie podarować innego psa — powiedziała Ania. — Mam dostać na Gwiazdkę ładnego setera od Gilberta, zrobię ci wobec tego podobny prezent.

— Nie teraz. Dziękuję ci, Aniu. Nie chciałabym mieć w tej chwili innego psa. Mam wrażenie, że nie potrafiłabym go lubić. Może... z czasem, poproszę cię o to. Potrzebuję go rzeczywiście jako pewnego rodzaju obrony. Ale Carlo miał w sobie coś prawie ludzkiego i byłoby doprawdy nieładnie zapelniać zbyt szybko jego miejsce innym stworzeniem.

Ania na tydzień przed Bożym Narodzeniem udała się do Avonlea i została tam jeszcze kilka dni po świętach. Gilbert pojechał po nią i wesoło obchodzono Nowy Rok na Zielonym Wzgórzu, kiedy to rodziny: Barry'ch, Blythe'ów i Wrightów zebrały się, żeby wspólnie spożyć wspaniały obiad, któremu Maryla i pani Małgorzata poświęciły dużo zabiegów i nad którego przyrządzeniem odbyły tyle narad.

Po powrocie do Czterech Wiatrów zastali domek prawie że zupełnie zasypany, ponieważ trzecia śnieżycą tej zimy była wyjątkowo silna i zwałami śniegu zakryła wszystkie przedmioty, jakie spotkała na drodze, ale kapitan odkopał okno i drzwi, a panna Kornelia przyszła przed ich przyjazdem i rozpalila na kominku wesoły ogień.

— Cieszę się bardzo, że widzę panią z powrotem, Aniu, kochanie. Czy pani widziała kiedy takie zamiecie śnieżne? Domku Moore'ów nie zobaczy pani zupełnie, chyba że z pięterka. A jaka Ewa będzie szczęśliwa, że pani wróciła! Ona tam prawie żywcem pogrzebana. Na szczęście Ryszard umie odkopywać śnieg i uważa to za wielką zabawę. Zuzanna prosiła mnie, aby pani powiedzieć, że będzie jutro rano. Dokąd pan znow idzie, kapitanie?

— Myślę, że muszę się przebić do Glen i posiedzieć trochę ze starym Marcinem Strongiem. On niedużo ma już życia przed sobą, a jest trochę samotny, nie ma też wielu przyjaciół. Zbyt był zajęty przez całe życie, aby się o nich postarać.

— Myślał, że jak nie można służyć od razu i Bogu, r pieniądзом, to lepiej pozostać przy pieniądzech — zauważyła zgryźliwie panna Kornelia — i wobec tego nie powinien się teraz skarżyć, że pieniądz nie jest zbyt dobrym przyjacielem.

Kapitan wyszedł, przypomniawszy sobie jednak coś jeszcze na dziedzińcu, wrócił na chwilę.

— Dostałem list od Forda, pani Blythe. Pisze mi, że księga życia znalazła nakładcę i wyjdzie w druku w krótkim czasie. Wyobrażacie sobie, jak podskoczyłem z radości na tę nowinę. Pomyśleć tylko, że moją księgę życia ujrzą już niedługo wydrukowaną.

— Ten człowiek oszalał na punkcie księgi swego życia — zniewierpliwiła się panna Kornelia. — Ja twierdzę, że na świecie jest już trochę za dużo ksiązek.

# XXIX. Gilbert i Ania sprzeczają się

Gilbert odłożył na bok gruby tom traktujący o medycynie, nad którym śleczął bardzo długo. Zmrok marcowego dnia zmusił go do zaprzestania lektury. Oparł się wygodnie na krześle i w zamyśleniu spoglądał przez okno. Były pierwsze dni wiosny, bodaj że najbrzydsza pora roku. Nawet zachodzące słońce nie mogło upiększyć ani tonącego w szarzyźnie krajobrazu, ani przystani pokrytej poszarpanym, brudnym lodem. Nie widać było żadnego znaku życia, a tylko nad czarnymi polami unosiła się samotnie duża wrona. Myśli Gilberta były nią zajęte. Do jakiej też ona kategorii należy? Czy jest to męski typ wrony, lecącej do gniazda w lasach w Glen, gdzie czeka nań piękna, o polyskujących piórach małżonka, czy może jest to młody kawaler, zdążający do swej ukochanej, czy w końcu cynik, który wychodzi z założenia, że najpewniej leci ten, kto leci sam? Kimkolwiek ta wrona była, znikła wkrótce w pokrewnych jej ciemnościach, a Gilbert obrócił swój wzrok ku weselszym widokom w pokoju.

Blask z kominka przesłakiwał z przedmiotu na przedmiot, błyszczał na białym i zielonym okryciu Goga i Magoga, na gładkiej, brunatnej głowie pięknego setera, wygrzewającego się na dywaniku, na ramach obrazów wiszących na ścianie, na wazie z kwiatami, w końcu na samej Ani, siedzącej przy stole obok swej roboty, zapatrzonej w migocące, wijące się płomienie, z rękami opartymi na kolanach, marzącej o precyzyjnym zamku z wieżyczkami sięgającymi zalanych światłem księżycą chmur i o statkach naładowanych nieopisanymi i skarbnymi, płynących do Czterech Wiatrów z jakichś nieznanych, dalekich portów. Ania bowiem zaczęła znowu snuć najcudniejsze marzenia, mimo że tuż obok dniem i nocą kroczyła obawa zaciemniająca te sny.

Gilbert miał zwyczaj nazywać siebie starym mężem, na Anię jednak spoglądał zawsze niepewnymi oczami zakochanego młodzieńca. Wciąż jeszcze nie mógł w całej pełni uwierzyć, że należała do niego. Rozmyślał, że może to rzeczywiście tylko sen, cząstka tego cudnego marzenia, jakim był ich domek? Dusza jego wciąż jeszcze na palcach starała się stąpać przed nią, aby, broń Boże, nie spłoszyć cudnego widoku i nie rozwiać marzenia.

— Aniu — powiedział z wolna — posłuchaj mnie. Chcę z tobą o czymś pomówić.

Ania zwróciła ku niemu swój wzrok, przez ciemnawy, tylko ogniem kominka oświetlony pokój.

— O co ci chodzi? — zapytała wesolo. — Wyglądasz ogromnie uroczyscie, Gilbertcie. Przyśięgam, że dziś nic złego nie zrobiłam, spytaj Zuzanny, jeśli nie wierzysz.

— To nie o tobie ani o naszych sprawach chcę dziś pomówić. To dotyczy Ryszarda Moore.

— Ryszarda Moore? — jak echo powtórzyła Ania, nadsłuchując uważnie. — Dlaczego? Co, na miły Bóg, masz do powiedzenia o Ryszardzie Moore?

— W ostatnich czasach bardzo dużo o nim myślałem. Czy przypominasz sobie, jak zeszłego lata leczyłem go z powodu wrzodów na szyi?

— Tak owszem.

— Przy tej sposobności zbadałem dokładnie szramy na jego głowie. Zawsze byłem zdania, że choroba Ryszarda jest interesująca z lekarskiego punktu widzenia. Niedawno studiowałem rozprawę o trepanacji czaszki i o wypadkach, w których ona może mieć zastosowanie. Aniu, doszedłem do przekonania, że gdyby Ryszarda umieszczono w porządnym szpitalu i gdyby mu trepanację zrobiono w kilku punktach czaszki, mógłby odzyskać pamięć i zdrowie.

— Gilbertcie — Ani głos brzmiał nutą protestu — ty nie myślisz o tym na serio?

— Ależ naturalnie, że na serio. Zdecydowałem sprawę tę przedstawić Ewie.

— Gilbertcie Blythe, nie wolno ci tego robić! — gwałtownie krzyknęła Ania. — Ty tego nie zrobisz, nie zrobisz, nie będziesz taki bez serca, przyrzeknij mi, że tego nie zrobisz!

— Aniu, dziecko, ależ dlaczego? Nie przypuszczałem, że przyjmiesz w ten sposób moje słowa; bądźże rozsądna!

— Nie chcę być rozsądna, nie mogę być rozsądna! Ja... ja właśnie jestem rozsądna! To ty nie zdajesz sobie sprawy ze wszystkiego, Gilbertcie. Czy ty pomyślałeś o tym, co by to znaczyło dla Ewy, gdyby Ryszard miał odzyskać rozum? Zastanów się tylko trochę. Ona już teraz dość jest nieszczęśliwa. Ale być opiekanką i pielęgniarką Ryszarda jest tysiącokrotnie łatwiej dla niej niż być jego żoną. Ja wiem, ja wszystko rozumiem, ale to jest nie do pomyślenia! Nie mieszaj się, proszę cię, do tych spraw — zostaw je, jak są.

— I tę stronę zagadnienia gruntownie przeomyślałem. Jestem jednak tego zdania, że obowiązkiem lekarza jest stawiać ponad wszystko sprawę zdrowia pacjenta i nie zważać na ewentualne następstwa. Jestem przekonany, że lekarz powinien starać się dopomóc Ryszardowi do odzyskania zdrowia ciała i umysłu, o ile istnieje choćby najmniejsza iskra nadziei.

— Ale przecież Ryszard nie jest wcale twoim pacjentem! — zawołała Ania starając się inaczej go przekonać. — Gdyby Ewa spytała cię, czy można coś zrobić dla Ryszarda, wówczas miałbyś obowiązek powiedzieć jej, co o tym myślisz, ale mieszać się nie masz prawa.

— Wcale nie uważam tego za mieszanie się. Wuj Tomasz dziesięć lat temu powiedział Ewie, że nic nie można zrobić,

i ona w to wierzy do dziś.

— A czy wuj Tomasz powiedziałby to, gdyby nie był przekonany, że mówi prawdę?! — z triumfem krzyknęła Ania. — Czy on nie wie o tym tyle samo co ty?

— Mam wrażenie, że nie, chociaż brzmi to może trochę przesadnie i zarozumiale, ale ty wiesz tak samo jak i ja, że on jest mocno uprzedzony do tych, jak się wyraża, „nowomodnych tendencji wycinania i krajania”. On jest nawet przeciwny operacji ślepej książki.

— Ma zupełną rację! — zawołała Ania zmieniając front. — Uważam, że wy, młodzi lekarze, za dużo lubicie eksperymentować na ludzkim ciele.

— Rhoda Allonby nie żyłaby dziś, gdybym się nie zdecydował zrobić pewnego eksperymentu — przypomniał Gilbert. — Zaryzykowałem i ocaliłem życie.

— Już jestem zupełnie chora od tego słuchania o Rhodzie Allonby! — krzyknęła Ania, zresztą najzupełniej niesłusznie, bo Gilbert od dnia, w którym opowiedział jej o pięknym wyniku swych zabiegów, nie wspominał nigdy nazwiska tej pacjentki. A nie można go było również winić za to, że inni ludzie wciąż o tym opowiadali.

Gilbert poczuł się dotknięty.

— Nie spodziewałem się, że tak będziesz patrzyła na tę sprawę, Aniu — odpowiedział trochę sztywno, wstając i kierując kroki ku swemu gabinetowi.

Ania jednak skoczyła za nim i przyciągnęła go z powrotem.

— Ależ Gilbertcie, nie będziesz się przecież gniewał. Siadaj, a ja cię przeproszę prze—cu—dow—nie. Nie powinnam była tego powiedzieć, ale, Boże... Gdybyś ty wiedział!...

W porę się zatrzymała. Jeszcze chwilka, a byłaby zdradziła tajemnicę Ewy.

— Gdybyś wiedział, co o tym może myśleć kobieta — zakończyła niezbyt szczęśliwie.

— Mam wrażenie, że wiem. Przystudiowałem tę kwestię ze wszystkich stron i w końcu doszedłem do przekonania, że bezwarunkowo powinienem powiedzieć Ewie o moich przypuszczeniach, mianowicie o tym, że Ryszard może być zupełnie wyleczony. Na tym kończy się mój obowiązek. Niech ona potem postanowi, co uważa za stosowne.

— Nie sądzę, żebyś miał prawo składać na jej barki taką odpowiedzialność. Dość już dźwiga ciężarów. Ona nie ma grosza. Skąd weźmie pieniądze na taką operację?

— Niech ona o tym myśli — uparcie powtarzał Gilbert.

— Ty twierdzisz, że Ryszard może być wyleczony, ale czy jesteś tego pewny?

— Bezwarunkowo nie. Nikt w tym wypadku nie mógłby być pewny. Mogą okazać się uszkodzenia samego mózgu, których ślady nigdy nie dadzą się usunąć. Ale jeżeli, jak sądzę, zanik pamięci i innych władz umysłowych u niego spowodowany jest tylko naciskiem zdeformowanej w pewnym miejscu kości na korę mózgową, wtedy może być wyleczony.

— Ale to tylko możliwość — upierała się Ania. — A teraz przypuśćmy, że powiesz o tym Ewie, a ona zdecyduje się na operację. Przecież pociągnie to za sobą duże koszty. Będzie musiała albo pożyczyć na to pieniądze, albo sprzedać swą małą posiadłość. A jeżeli operacja się nie uda i stan Ryszarda się nie poprawi, jak potrafi zwrócić pożyczkę albo zarobić na życie dla siebie i tego nieszczęśnika po sprzedaniu domu?

— Ach, wiem, wiem! Lecz to mój obowiązek powiedzieć jej o tym. Nie mogę się pozbyć tego przekonania.

— Znam ten upór Blythe'ów — jęknęła Ania. — Lecz nie bierz tej odpowiedzialności wyłącznie na siebie. Poradz się wuja Tomasa.

— Zrobiłem to — rzekł Gilbert niechętnie.

— A cóż on na to?

— Powiem krótko. Był tego zdania, co ty — zostawić sprawę w spokoju. Pominąwszy jego niechęć do nowych sposobów leczenia, boję się, że patrzy na wszystko z twego punktu widzenia: „Nie rób tego ze względu na Ewę”.

— Otóż widzisz! — z radością zawołała Ania. — Jestem zdania, że powinieneś posłuchać rady osiemdziesięcioletniego starca, który dużo widział, który sam wielu ludziom uratował życie. Bez wątpienia jego zdanie powinno więcej znaczyć aniżeli zdanie takiego smarkacza jak ty!

— Dziękuję!

— Nie śmieję się, to zbyt poważne rzeczy.

— Tu się zgadzamy. To jest naprawdę bardzo poważne zagadnienie. Mamy człowieka, który dziś jest ciężarem dla wszystkich, a może być uratowany i może stać się użytecznym...

— Ach, bardzo on był użyteczny przedtem — z przekąsem wtrąciła Ania.

— To może mieć teraz sposobność okupić swoje dawne przewinienia. Jego żona o tym nie wie, ja wiem i dlatego powinienem zwrócić jej uwagę, że istnieje taka możliwość. Takie jest, krótko mówiąc, moje postanowienie.

— Nie mów jeszcze o postanowieniu, Gilberte. Poradz się jeszcze kogo. Spytaj kapitana, co o tym myśli.

— Bardzo chętnie, ale nie przyrzekam, że zgodzę się z jego opinią, Aniu. To jest coś, co mężczyzna musi sam rozstrzygnąć. Moje sumienie nie byłoby spokojne, gdybym zachował milczenie w tej sprawie.

— Ach, twoje sumienie — ciężko westchnęła Ania. — Zdaje mi się, że wuj Tomasz też ma sumienie, prawda?

— Tak, ale ja nie jestem strażnikiem jego sumienia. Słuchaj, Aniu, gdyby sprawa nie dotyczyła się Ewy, gdyby to była czysto abstrakcyjna rozmowa, z pewnością zgodziłabyś się ze mną. Sama czujesz, że tak by było.

— Nieprawda — zapewniała Ania starając się przekonać siebie samą. — Możesz dyskutować całą noc o tym, Gilberte, a ja zdania nie zmienię. Zapytaj tylko pannę Kornelię, co o tym myśli.

— Cofnęłaś się poza ostatnie okopy, kiedy już i pannę Kornelię przywołujesz na obronę. Ona powie: „zupełnie po męsku” i będzie się wściekać. Nie szkodzi. Nie ona załatwi tę sprawę. Tu tylko Ewa ma coś do powiedzenia.

— Wiesz bardzo dobrze, jak ona to rozstrzygnie! — zawołała Ania prawie ze łzami. — Ona także ma wysokie pojęcie o obowiązkach. Nie pojmuję, jak możesz brać na siebie tego rodzaju odpowiedzialność. Ja bym tego nie mogła zrobić.

— Ponieważ prawo jest prawem, postępowanie według prawa jest wiedzą pozwalającą nie obawiać się następstw — zacytował Gilbert.

— Ach, sięgasz do literatury jako do najbardziej przekonującego argumentu — oburzała się Ania. — To tak po męsku. — Potem, mimo wszystko, roześmiała się. Jej słowa zabrzmiały jak echo panny Kornelii.

— Jeżeli nie chcesz słuchać autorytetu Tennysona, to może uwierzysz słowom kogoś jeszcze większego jak on: „J poznacie prawdę, a prawda uczyni was wolnymi”. Ja w to wierzę, Aniu, całym moim sercem. To najważniejsze i najwspanialsze zdanie w całej Biblii, w każdej literaturze, i najprawdziwsze, o ile mogą być rozmaite stopnie prawd. A wszakże pierwszym obowiązkiem mężczyzny jest mówić prawdę tak jak ją widzi

każdy wierny.

— W tym wypadku prawda nie da biednej Ewie wolności — westchnęła Ania — bodajże zakaje ją w jeszcze gorsze kajdany. Ach, Gilberte, nie mogę uwierzyć, że masz zupełną słuszość.



# XXX. Postanowienie Ewy

Z powodu niespodziewanego wybuchu złośliwej grypy w Glen i w osadzie rybackiej Gilbert tyle miał zająca przez dwa następne tygodnie, że nie znalazł ani chwili czasu, aby złożyć kapitanowi Jimowi obiecaną wizytę. Ania ludzka się nadzieją, że Gilbert zarzucił zamiary co do Ryszarda, i zdając sobie sprawę, że lepiej nie budzić śpiącego licha, nie poruszała tego tematu. Wciąż jednak myślała o tym.

„Ciekawam, czy dobrze by było, gdybym mu opowiedziała, że Ewa jest zajęta Owenem — myślała. — Nigdy by Ewie nie dał poznać, że wie coś o tym. Duma jej nie ucierpiałaby z tego powodu, a to może by go przekonało, że lepiej pozostawić Ryszarda jego dotychczasowemu losowi. Powinam — czy nie? Nie, mimo wszystko, nie mogę. Przyrzeczenie jest święte, a ja nie mam prawa zdradzać tajemnic Ewy. Ach, mój Boże, już dawno tak się nie martwiłam jak obecnie, psuje mi to wioskę, psuje mi wszystko”.

Pewnego wieczoru Gilbert nagle zaproponował Ani, aby poszła z nim do kapitana. Zgodziła się więc, choć ze ściśniętym sercem, i natychmiast wybrali się w drogę. Dwa tygodnie ciepła słonecznego dokonało cudu nad owym szarym krajobrazem, nad którym unosiła się wrona, której Gilbert poświęcił tyle uwagi. Wiatr i ciepło osuszyły pagórki i pola, które przybrały teraz brunatny kolor i gotowe były w każdej chwili zmienić się w jeden wielki ogród, pełen zieleni i kwiatów. Znowu radością i śmiechem rozbrzmiewała przystań, a tuż obok wiała się jaskrawą, czerwoną wstęgą prowadząca wzdłuż niej droga. Niżej wydm piaszczystych grupa chłopaków rozpałała ogień z wyschniętych traw zeszłorocznego lata; płomienie zabarwiały różowawym blaskiem piaski wydm, a strzelając wysoko swymi ognistymi językami, oświetlały kanał i wioskę rybacką. Widok był nader malowniczy i kiedy indziej Ania radowała się nim szczerze, dzisiaj jednak wędrownka nie sprawiała jej żadnej przyjemności. Gilbert czuł się także nieswojo: zwykły, przyjacielski ich stosunek i wspólność poglądów, łączących wszystkich ludzi z rasy Józefa, na chwilę ustały. Niezadowolenie Ani z całego projektu widoczne było w dumnie podniesionej głowce i w wyszukanej grzeczności czy nienych przez nią uwag; zaciśnięte usta Gilberta uzewnętrzniały cały upór Bly—theów, natomiast w oczach jego znać było niepokój. Stanowczo zamierzał zrobić to, co uważał za swój obowiązek, ale nieporozumienie z Anią, które z tego powodu wybuchnęło, wydało mu się zbyt wysoką ceną. Radzi byli oboje, kiedy nareszcie doszli do latarni. Równocześnie jednak to zadowolenie wywołało w nich pewnego rodzaju wyrzuty sumienia.

Kapitan odłożył sieć rybacką, koło której pracował, i powitał ich serdecznie. Zdawało się Ani, że w jaskrawym świetle wiosennego wieczoru wyglądał dużo starsze aniżeli kiedykolwiek przedtem. Włosy bardziej posiwiały, a krępkie dotychczas ręce lekko drżały, tylko niebieskie oczy zachowały jasność i wyrazistość. Wyglądała przez nie na świat jego szczerą, nieustraszoną duszą.

Zdumiony, w głębokim milczeniu słuchał słów Gilberta. Ania, która wiedziała dobrze, jak bardzo kapitan cenił i lubił Ewę, pewna była, że weźmie jej stronę, chociaż i tak nie miała wiele nadziei, aby opinia starego człowieka zdołała w jakikolwiek sposób wpłynąć na postanowienie Gilberta. Była też w najwyższym stopniu zaskoczona, kiedy kapitan Jim z wolna i głosem pełnym smutku zaopiniował, że o wszystkim trzeba powiedzieć Ewie.

— Ach, kapitanie, nie spodziewałam się, że pan tak na to zareaguje! — zawołała z wyrzutem. — Myślałam, że nie zechce pan przyzniać jej jeszcze więcej kłopotów. Kapitan potrząsnął tylko głową.

— Wcale nie jest to moim zamiarem. Wiem, co pani o tym wszystkim myśli, bo sam jestem w podobnym położeniu. Niestety, w życiu nie możemy się powodować naszymi uczuciami. Nie, nie, zawiodłyby one nas bardzo szybko na bezdroża. Istnieje jeden jedyny drogowskaz, którego zawsze musimy się trzymać w życiu, a jest nim poczucie słuszności. Zgadzam się z doktorem, jeżeli istnieje jakaś możliwość uzdrowienia Ryszarda. Ewa musi o tym wiedzieć, nie ma dwu zdań! I to jest moja opinia.

— Czekajcie — zawołała zdesperowana Ania — aż panna Kornelia weźmie was obu w obroty!

— O, panna Kornelia niechybnie nas zamęczy — przyznał kapitan. — Wy, kobiety, jesteście najmilszymi krytykami, macie tylko o odrobinę za mało logiki. Pani jest wysoko wykształconą osobą, panna Kornelia zaś nie może się tym poszczycić, ale w takich razach podobne jesteście do siebie jak dwie krople wody. Nie wiem, czy z tego powodu jesteście gorsze. Wiem natomiast, że logika zasadniczo jest w nauce bardzo trudna, a w życiu bezlitosna. No, a teraz zaparzę herbatę. Będziemy sobie popijali i rozmawiali o przyjemniejszych rzeczach, aby trochę uspokoić nasze nerwy.

Pogawędka z kapitanem i jego herbata przyczyliły się do złagodzenia nastroju Ani; nie dołączała tak bardzo Gilbert—towi podczas drogi powrotnej, jak miała szczerzy zamiar to zrobić. Wcale nie dotykała tej palącej kwestii i szczebiotała wesoło o wszystkich innych sprawach. Gilbert wyczuł, że chociaż z trudem, to jednakmu przebaczone.

— Moim zdaniem, kapitan jakoś źle wygląda. Ogromnie postarzał się ostatniej zimy — ze smutkiem stwierdziła Ania. — Boję się, że już wkrótce pójdzie szukać swej zaginionej Małgosi. Nie mogę wprost o tym myśleć.

— Cztery Wiatry bardzo dużo stracą, gdy kapitan wyruszy w swoją wielką podróż — przyświadczył Gilbert.

Następnego wieczoru poszedł do domu nad strumykiem. Ania, czekając z najwyższym zdenerwowaniem na jego powrót, nie mogła usiedzieć na miejscu.

— Cóż Ewa powiedziała? — spytała, jak tylko ukała się we drzwiach.

— Bardzo mało, mam wrażenie, że była zupełnie oszołomiona.

— A czy zgadza się na operację?

— Chce rozważyć całą sprawę i w najkrótszym czasie zdecydować.

Gilbert rzucił się na krzesło obok kominka. Znać było po nim wielkie zmęczenie. Nielatwą było dla niego rzeczą rozmówić się z Ewą, a trudno było także zapomnieć przerażenie, jakie odmalowało się w jej oczach, kiedy wreszcie zrozumiała, o co chodzi. Teraz, kiedy kości zostały rzucone, zrodziły się w nim pewne wątpliwości co do jego wszczęwiedzy.

Ania spojrzała nań z zalem, potem usiadła obok niego na dywaniku i na jego ramionach oparła swą lśniącą, czerwoną główkę.

— Gilbertcie, przyznaję, że byłam niezdolna w tej całej historii. Już nie zrobię tego więcej. Nazwij mię, proszę, rudą wiewiórką i przebac.

Gilbert wywnioskował z tego, że bez względu na wynik, nigdy nie spotka się z wyrzutem „a nie mówiłam?"; to go jednak niezupełnie pocieszyło. Obowiązek w teorii jest jedną rzeczą, a w praktyce drugą, zwłaszcza gdy ten, co się nań powołuje, widzi przed sobą przerażone oczy kobiety.

Ania instynktownie unikała Ewy przez trzy następne dni. Trzeciego wieczora Ewa zjawiła się w małym domku i powiedziała Gilbertowi o swym postanowieniu: chce zabrać Ryszarda do Montrealu, aby mu tam zrobiono operację.

Była bardzo błada i zdawało się, że przybrała dawną maskę nieprzystępności. Oczy jednak nie miały więcej tego wyrazu, który tak przesładował Gilberta: były zimne i błyszczące. Przystąpiła natychmiast do omówienia szczegółów suchym i obojętnym tonem. Trzeba było zrobić plan i dużo rzeczy przemyśleć. Otrzymałszy żądane informacje, Ewa pożegnała się i poszła do domu. Ania chciała ją trochę podprowadzić.

— Lepiej nie — powiedziała krótko Ewa. — Droga rozmokła po deszczu. Dobranoc!

— Czy straciłam przyjaciółkę? — westchnęła Ania. — Jak operacja się uda i Ryszard odzyska zdrowie, Ewa zasklepi się w sobie jak w fortecy i nikt z nas więcej nie odszuka w niej serdecznego ciepła.

— Może od niego wówczas odejdziesz? — zauważył Gilbert.

— Ewa nigdy by tego nie zrobiła, Gilbertcie. Ona ma bardzo wysokie poczucie obowiązku. Pamiętam, opowiadała mi pewnego razu, jak jej babka West zawsze mówiła, że skoro już wzięła na siebie jakiś obowiązek, to winna przy nim wytrwać bez względu na skutki, jakie by to mogło pociągnąć. To jedna z jej kardynalnych zasad. Zdaje mi się zresztą, że teraz bardzo niemodnych.

— Nie bądź taka zgorzkniała, Aniu. Wiesz dobrze, że to wcale nie jest takie przestarzałe i że zupełnie takie samo pojęcie o tych sprawach masz ty sama — i słusznie. Unikanie odpowiedzialności — to przekleństwo nowoczesnego życia, to tajemnica niepokoju i niezadowolenia prześladowającego świat dzisiejszy.

— Tak mówi kaznodzieja — szydziła Ania. Ale mimo szyderstwa czuła, że on ma rację, i w duszy bardzo bolała nad biedną Ewą.

W tydzień później panna Kornelia niczym lawina spadła na mały domek Gilberta nie było w domu i Ania sama jedna zmuszona była wytrzymać całą siłę natarcia.

Panna Kornelia, nie zdążywszy jeszcze zdjąć kapelusza, poczęła wołać:

— Aniu, czy to prawda, co ludzie mówią, że doktor Blythe powiedział Ewie, że Ryszard może być wyleczony, i że ona go zabiera do Montrealu na operację?!

— Tak to prawda, panno Kornelio — odważnie przyznała Ania.

— Ależ to nieludzkie okrucieństwo! — zawołała do głębi oburzona panna Kornelia. — A ja zawsze uważałam doktora Blythe za uczciwego człowieka, nie przypuszczałam, że mógłby się dopuścić podobnego czynu!

— Doktor Blythe uważał za swój obowiązek zwrócić uwagę Ewie, że istnieje możliwość uleczenia Ryszarda — odparła żywo Ania — i... — w tym miejscu solidarność z Gilbertem wzięła górę nad innymi uczuciami — ja się z nim zupełnie zgadzam.

— Ach nie, to niemożliwe, kochanie — zaprotestowała panna Kornelia. — Żaden człowiek z odrobiną uczucia nie mógłby się zgodzić na coś podobnego!

— Kapitan podzielił jego zapatrywania.

— Niech mi pani nie wspomina tego durnia! — krzyknęła panna Kornelia. — Zresztą, nic mnie nie obchodzi, kto się z tym zgadza. Niech pani tylko pomyśli, co to znaczy dla tej biednej, umęczonej kobiety.

— Myśleliśmy i o tym, ale Gilbert sądzi, że lekarz przed wszelkimi innymi względami powinien mieć na widoku dobro pacjenta i jego zdrowie.

— Zupełnie po męsku; ale od pani oczekiwałam czegoś lepszego, Aniu — powiedziała panna Kornelia bardziej zmartwionym niż zirytowanym głosem. Następnie zaczęła bombardować Anię tymi samymi argumentami, których ta ostatnia użyła w swym ataku na Gilberta, a Ania dzielnie broniła męża tą bronią, jaką się Gilbert sam ongiś przed, nią zasłaniał. Długo trwała walka, aż wreszcie zakończyła ją panna Kornelia.

— To niegodziwość. Nic innego, tylko wstrętne niegodziwość. Biedna, biedna Ewa!

— Czy nie sądzi pani, że i na Ryszarda należałoby mieć wzgląd? — błagalnie spytała Ania.

— Na Ryszarda! Na Ryszarda Moore! Jemu nic do szczęścia nie brakuje. On dziś jest lepszym i bardziej szanowanym członkiem społeczeństwa, aniżeli był nim kiedykolwiek przedtem. To był pijak, a może i gorzej. Czy chce go pani znowu puścić wolno, aby szalał i rozbijał się po świecie?

— Może się poprawi? — powiedziała niepewnie Ania.

— Niech pani poprawia swoją babkę! — odparła panna Kornelia bezapelacyjnie. — Ryszard Moore otrzymał swe rany w pijackiej burdzie. Zasługuje na los, który został mu zesłany za karę. Nie sądzę, żeby doktor miał prawo wkraczać w zarządzenia boskie.

— Nikt nie wie, w jaki sposób Ryszard został raniony, panno Kornelio. A może to zupełnie nie było w pijatyce? Może został napadnięty i obrabowany?

— No, w to już nie bardzo mogę uwierzyć — odrzekła panna Kornelia. — Sedno jednak tego wszystkiego, co mi pani wyluszczyła, leży w tym, że sprawa załatwiona i nie ma o czym więcej mówić. Wobec tego będę milczała. Nie mam zamiaru pustym gadaniem nadwierać swego języka. Jak coś musi się stać, wówczas ja ustępuję. Wprzód muszę się tylko dokładnie przekonać, czy rzeczywiście tak ma być. Teraz całą moją energię poświęcę, aby pocieszyć i podtrzymać biedną Ewę. A zresztą — dodała panna Kornelia i w tym miejscu twarz jej się rozjaśniła — a nuż Ryszardowi ta operacja nie pomoże?





# XXXI. Prawda wyzwala

Ewa, zdecydowawszy się na pewien krok, przystąpiła do jego realizacji z całą stanowczością i pośpiechem. W pierwszym rządzie porządku domowe musiały być zrobione, bez względu na to, jakie wypadki potem miały nastąpić. Szary domek nad strumykiem był przy chętniej pomocy Kornelii doprowadzony do nieskazitelnej czystości. Panna Kornelia powiedziała, co miała na sercu, najpierw Ani, a potem doktorowi i kapitanowi, nie oszczędzając żadnego z nich, nigdy nie poruszała tej sprawy z Ewą. Pogodziła się z faktem, że Ryszard ma być operowany, i mówiła o tym, gdy zaszła potrzeba, obojętnym tonem.

Ewa nigdy nie starała się na ten temat prowadzić rozmowy. Była zamknięta w sobie i bardzo spokojna w ciągu tych dni wiosennych. Rzadko zjawiała się u Ani i chociaż zawsze jednakowo była uprzejma i grzeczna, to właśnie uprzejmość ta stanowiła mur lodowy między nią a mieszkańcami małego domku. Dawne żarty i śmiechy zdawały się jej nie dosięgać. Ania nie czuła się mimo to dotknięta. Wiedziała, że Ewa znajdowała się w tej chwili w kleszczach strasnej obawy, obawy, która zamykała przed nią wszelkie przeżytki wesela, radości i szczęścia. Skoro tylko jedno jakieś wielkie uczucie zawładnie duszą ludzką, wszelkie inne uczucia usuwają się w cień, a nigdy w życiu nie patrzyła Ewa w nieznaną przyszłość z większym przerażeniem aniżeli obecnie. Szła jednak bez zbaczania raz obraną ścieżką, jak ongiś męczennicy szli drogami, o których wiedzieli, że zawiodą ich kiedyś tylko na stos.

Kwestia pieniężna została łatwiej rozwiązana, niż Ania myślała. Ewa pożyczyla potrzebną sumę od kapitana, który na żądanie zabezpieczył się hipoteką na jej posiadłości.

— Chwała Bogu, to chociaż spadło z głowy temu biedactwu — opowiadała Ani panna Kornelia. — A z mojej też. I teraz, jak Ryszard wyzdrowieje, będzie musiał tyle zarobić, żeby zapracować na opłacenie procentów. A jeśli nie będzie umiał, to jestem pewna, że kapitan tak wszystko urządzi, aby Ewa nie potrzebowała się o to troszczyć. On mi nawet o tym wspominał: „Ja jestem już stary, Kornelio, i nie mam własnych dzieci. Ewa nie przyjmuję podarunków od żyjącego, to może zechce później przyjąć od umarłego”. Tak że z tego punktu sprawa byłaby załatwiona. Życzyłabym sobie bardzo, aby i wszystkie inne kwestie znalazły równie dobre rozwiązanie. Co się zaś tyczy tego nieszczęślika Ryszarda, to w ostatnich czasach był wprost okropny. Diabeł w nim siedział, niech mi pani wierzy. Ewa i ja nie mogłyśmy doprowadzić do ładu naszej roboty z powodu psot, jakie nam na każdym kroku urządzał. Pewnego dnia pędził kaczki dokoła podwórza tak długo, aż większa ich część pozdy chała. Wcale nie można go było namówić, aby nam w czymkolwiek pomógł. On czasami bywa bardzo użyteczny, przynosi wiadro z wodą czy drzewo, a w tym ty godniu, jak tylko posyłałyśmy go do studni po wodę, zaraz usiłował wyjść na pola. Raz myślałam, żeby go tak strzelić w tę głowiznę. Za jednym zamachem cała sprawa byłaby załatwiona...

— Ależ, panno Kornelio!

— Niech pani nie woła na mnie wciąż „panno Kornelio”, Aniu kochana. Każdy by tak samo o pomyślał. Jeżeli doktorzy w Montrealu potrafią uleczyć Ryszarda i zrobić z niego użyteczne stworzenie, to będą cudotwórcami.

Ewa wybrała się z Ryszardem do Montrealu w pierwszych dniach maja. Gilbert wyjechał z nią razem, chcąc jej być pomocnym w ułatwieniu niektórych spraw.

Wrócił do domu z nowiną, iż lekarz w Montrealu był również tego zdania, że istnieje wszelkie prawdopodobieństwo wyleczenia Ryszarda.

— Ogromnie pocieszające — z przekąsem zauważyła panna Kornelia.

Ania tylko westchnęła.

Ewa była bardzo chłodna przy pożegnaniu, obiecała jednak pisać. W dziesięć dni po powrocie Gilberta przyszedł list: pisała, że operacja się udała i że Ryszard szybko przychodzi do siebie.

— Co ona rozumie pod tym, że operacja się udała? — zapytała Ania. — Czy ma na myśli, że Ryszard odzyskał rzeczywiście pamięć?

— Tak nie myślę, ponieważ nie o tym nie wspomina — powiedział Gilbert. — Ona zastosowuje to słowo z lekarskiego punktu widzenia. Operacja została dokonana i miała normalne skutki. Ale za wcześniej jest jeszcze, aby można było już teraz zdecydować, czy władza umysłowa Ryszarda została przywrócona bądź zupełnie, bądź częściowo. Mam wrażenie, że nie odzyska pamięci od razu. Proces ten, o ile w ogóle nastąpi, będzie postępować stopniowo. Czy to już wszystko, co pisze?

— Tak, oto list. Bardzo krótki. Biedna kobieta, musi żyć w strasnym napięciu. Gilbertcie Blythe, jest cała masa rzeczy, które miałabym ochotę powiedzieć ci, tylko że byłoby to podle z mojej strony.

— Panna Kornelia cię w tym wyręcza — powiedział Gilbert uśmiechając się żałośnie. — Prawi mi morały przy każdym naszym spotkaniu. W niedwuznaczny sposób daje mi do zrozumienia, że uważa mnie prawie za mordercę i że zgoda doktora Tomasza na to, bym zajął tutaj jego miejsce, była najbardziej pożałowania godnym faktem. Oświadczyła mi, że ma już więcej szacunku dla doktora metodysty po tamtej stronie przystani. Dalej panna Kornelia nie może pójść w swym potępieniu.

— Ale gdyby zachorowała, to z pewnością nie wolałaby doktora Tomasza ani doktora metodystów — zachnęła się Zuzanna. — Wśród nocy wyciągnęłaby pana z łóżka, kochany panie doktorze, a potem opowiadałaby, że pańskie recepty są zupełnie bez sensu. Ale na nią niech pan nie zważa. Świat składa się z najrozmaitszych ludzi.

Przez jakiś czas nie było żadnej dalszej wiadomości o Ewie. Piękne dni majowe miały jeden za drugim, a brzegi nad Przystanią Czterech Wiatrów przybrały nową szatę, strojną w zieleń i kwiecie. Pewnego dnia, przy końcu miesiąca, Gilbert wracając do domu spotkał Zuzannę na podwórzu.

— Boję się, że nasza pani doktorowa bardzo się czymś wzruszyła — powiedziała tajemniczo. — Otrzymała dziś po południu jakiś ust i od tego czasu chodzi tam i z powrotem po ogrodzie i sama do siebie mówi. Pan wie, że dla niej niezdrowo tak wiele teraz chodzić bez odpoczynku, kochany panie doktorze. Nie uważała za stosowne powiedzieć mi, co za nowiny zawierał list, a ja nie starałam się tego dociec, zresztą nigdy nie byłam ciekawa, ale jasne jest dla mnie, że coś ją wzruszyło, a to dla niej niewskazane.

Gilbert zaniepokojony pobiegł do ogrodu. Czy stało się coś na Zielonym Wzgórzu? Ale Ania, siedząca na małej ławeczce obok strumyka, nie wyglądała wcale na zasmuconą, chociaż wielkie podniecenie malowało się na jej twarzy. Oczy jej nabrały najbardziej szarej barwy, policzki płonęły szkarłatem.

— Co się stało, Aniu?

Ania odpowiedziała dziwnym, krótkim śmiechem.

— Gilbertcie, mam wrażenie, że nie uwierysz temu, co ci powiem. Zupełnie tak jak to Zuzanna kiedyś powiedziała: „czuję się jak mucha przywołana do życia ciepłem słońca i oślepiąca jego blaskiem”. Wszystko to takie nie do uwierzenia! Przeczytałam ten list kilka razy i wciąż widzę tę samą treść, a przecież nie mogę uwierzyć własnym oczom. Ach, Gilbertcie, tyś miał rację, i jaką rację! Teraz już wszystko dokładnie widzę i tak mi bardzo wstydz. Czy ty mi kiedykolwiek naprawdę przebacysz?

— Aniu, będę cię musiał oblać zimną wodą, jeżeli nie zaczniesz mówić z sensem. Co się stało, na miły Bóg?

— Nie uwierysz temu, nie uwierysz...

— Idę telefonować po doktora Tomasza — powiedział Gilbert udając, że wstaje, aby pójść do domu.

— Siedź na miejscu, Gilbertcie. Będę się starała opowiedzieć ci wszystko. Otrzymałam list i... Gilbertcie, to takie zdumiewające, takie nie do uwierzenia! Nigdy nie myśleliśmy o czymś podobnym, żadne z nas nie marzyło...

— Zdaje mi się — z rezygnacją powiedział Gilbert siadając — że jedyną rzeczą w podobnym wypadku jest uzbroić się w cierpliwość i zabrać się do sprawy bardzo kategorycznie. Od kogo jest list?

— Ewa, ach, Gilbercie!...

— Ewa? Aha, co ona pisze? Co się dzieje z Ryszardem?

Ania pokazała list.

— Nie ma wcale Ryszarda. Człowiek, którego uważaliśmy za Ryszarda Moore, którego wszyscy w Czterech Wiatrach mieli, za Ryszarda Moore, jest jego kuzynem, Jerzym Moore z Nowej Szkocji, który, jak się okazuje, był do niego bardzo podobny, a Ryszard Moore zmarł na żółtą febrę trzy naście lat temu na Kubie.



# XXXII. Rozważania panny Kornelii

Czy pani chce mi przez to powiedzieć, droga Aniu, że Ryszard Moore nie jest wcale, jak się to okazało, Ryszardem Moore, tylko kimś zupełnie innym? Czy o tym pani dziś do mnie telefonowała?

— Tak panno Kornelio, to zdumiewające, prawda?

— To jest... jest... zupełnie po męsku — powiedziała bezradnie panna Kornelia, drżącymi rękami zdejmując kapelusz. Raz przecież w życiu była niewątpliwie wytrącona z równowagi.

— Nie jestem w stanie dobrze tego zrozumieć, Aniu — powiedziała. — Słyszę o tym i wierzę pani, ale jakoś nie może mi się to pomieścić w głowie. Więc Ryszard Moore umarł — nie żyje od trzydziestu lat i... i Ewa jest wolna?

— Tak Prawda wróciła jej wolność. Gilbert miał słuszość, kiedy nazwał ten werset Pisma świętego najważniejszym i najwspanialszym.

— Niech mi pani wszystko opowie, droga Aniu. Od chwili kiedy dostałam od pani o tym telefoniczną wiadomość, jestem zupełnie nieprzytomna, niech mi pani wierzy. Kornelia Bryant nigdy jeszcze nie była tak oglupiona.

— Nie ma tu dużo do opowiadania. List Ewy jest bardzo krótki. Nie rozwodzi się wcale nad szczegółami. Człowiek ten, Jerzy Moore, odyszał pamięć i wie, kim jest. Powiada, że Ryszard zapadł podczas pobytu na Kubie na żółtą febrę i „Cztery Siostry” musiały odpłynąć bez niego. Jerzy pozostał na Wyspie, aby go pielęgnować. Tymczasem Ryszard zmarł w parę dni później. Jerzy nie chciał pisać o tym do Ewy, bo chciał jej osobiście przywieźć tę smutną wiadomość.

— A czemu tego nie zrobił?

— Przypuszczam, że stanął temu na przeszkodzie nieszczęśliwy wypadek, któremu uległ. Gilbert uważa za bardzo naturalne, że Jerzy nie pamięta wcale o wypadku i jaka była jego przyczyna; prawdopodobnie nigdy sobie tego nie przypomniał. Musiało się to stać w bardzo krótkim czasie po śmierci Ryszarda. Dowiemy się może więcej szczegółów z następnego listu Ewy.

— Czy pisze o tym, co zamierza dalej robić? Kiedy wraca do domu?

— Donosi, że pozostanie z Jerzym dopóty, dopóki ten nie opuści szpitala. Zawiadomiła już jego krewnych w Nowej Szkocji. Zdaje się, że jedyną krewną Jerzego jest jego zamężna siostra o wiele odeń starsza. Była przy życiu, jak Ryszard odpłynął na „Czterech Siostrach”, ale co się z nią później stało, tego oczywiście nie możemy w danej chwili wiedzieć. Czy pani widziała kiedy Jerzego Moore’a?

— Widziałam. Teraz powoli dużo rzeczy sobie przypominam. Był tu z wizytą u wuja Artura osiemnaście lat temu, kiedy obaj z Ryszardem mieli coś po siedemnaście lat. Byli z dwóch stron skazynowani, ich ojcowie byli braćmi, a matki siostrami bliźniaczkami, i byli ogromnie do siebie podobni. Naturalnie — dodała panna Kornelia wzgardliwie — nie było to takie podobieństwo jak w powieściach, gdzie dwie osoby są tak dalece do siebie podobne, że zamieniają między sobą role i nikt, nawet najbliżsi nie mogą ich rozróżnić. W owe czasy łatwo można było powiedzieć, który był Jerzym, a który Ryszardem, zwłaszcza jak się ich widziało z bliska — na odległość sprawa już nie była tak prosta. Bardzo często też platali ludziom różne figle i mieli z tego wielką uciechę, łobuzy. Jerzy był wyższy i tęższy od Ryszarda, chociaż żaden z nich nie był tęgim, a obu można było zaliczyć do ludzi wysokich. Natomiast z twarzy byli bardzo do siebie podobni i obaj mieli tę niezwykłą właściwość oczu, z których jedno było niebieskie, a drugie szare. Pod innymi względami za to bardzo się różnili. Jerzy był rzeczywiście miłym chłopakiem, chociaż zresztą urwis był to pierwszorzędnym i mówiono także, że lubił już wtedy zaglądać do butelki. Wszyscy go jednak więcej cenili niż Ryszarda. Zabawił tu około miesiąca. Ewa wcale go nie знаła, miała wtedy osiem czy dziewięć lat, a przypominam sobie, że podczas całej tej zimy mieszkała u swej babki West po drugiej stronie przystani. Kapitana także nie było, akurat w tym samym czasie, z powodu katastrofy okrętowej, zmuszony był spędzić zimę na Wyspach Magdaleny.

Nie przypuszczam także, żeby on albo Ewa słyszeli kiedy, że ten kuzyn z Nowej Szkocji jest taki podobny do Ryszarda. Nikt też o nim nie pomyślał, kiedy kapitan przywiózł Ryszarda, to jest Jerzego do domu. Naturalnie, że wszyscy zwróciliśmy na to uwagę, że Ryszard aż tak się zmienił, że zrobił się tak ociężały i otyły. Wszyscyśmy to jednak przypisali wypadkowi. Niewątpliwie tak musiało być, bo jak wspominałam, Jerzy wcale nie był tęgim. A w żaden inny sposób nie mogliśmy wpaść na to, bo pamięć opuściła tego człowieka doszczętnie. Nie uważam naszej omyłki za taką nadzwyczajną rzecz. Ale w każdym razie jest to niezwykłe zdarzenie. I Ewa poświęciła swych dwanaście lat życia człowiekowi, który do niej nie miał najmniejszego prawa! Ach, do licha z męskim rodem! Wszystko, cokolwiek zrobią, ma fatalne skutki. Oni mnie doprowadzają do rozpaczki!

— Gilbert i kapitan należą do męskiego rodu, a wszakże przez nich ta prawda wyszła na jaw — powiedziała Ania.

— Tak, muszę się z tym zgodzić — z wielką niechęcią przyznała panna Kornelia, — Przykro mi, że tak zamęczałam doktora. Po raz pierwszy w życiu wstydzą się mych słów powiedzianych do mężczyzny. I nawet nie wiem, jak mu się wytłumaczyć. Jednak że tak jest, musi przyjąć za fakt. Wie pani, to wielka łaska, że Bóg nie wysłuchuje naszych wszystkich modlitw. Wciąż gorąco się modliłam, aby operacja nie przyniosła spodziewanego wyniku. Oczywiście, nie formułowałam tego tak jasno, ale ta właśnie myśl błąkała się po mojej głowie i jestem pewna, że Bóg o niej wiedział.

— Ale Bóg wysłuchał życzenia zawartego bezwiednie w pani modlitwach. Pani prosiła właściwie, aby położenie Ewy się nie pogorszyło. Boję się, że i w głębi mego serca tkwiła nadzieja, że operacja się nie uda, i teraz bardzo się tego wstydzę.

— A cóż na to wszystko Ewa?

— Pisze jak ogłuszona. Przypuszczam, że na razie nie zdaje sobie sprawy, podobnie jak my obie, że wszystkiego, co zaszło. Pisze: *Wszystko wydaje mi się jak niezwykły, przedziwny sen, Aniu.* To jedyna wzmianka, jaką robi o sobie!

— Biedne dziecko! Mam wrażenie, że jak się zdejmuje więźniowi kajdany, on w pierwszej chwili czuje, że nie ma oparcia. Aniu kochana, pewna myśl zakrada się do mojej głowy. Co zrobimy z panem Owenem Fordem? Wiemy, że Ewa go kocha. Czy nie pomyślała pani kiedy, że on również może być nią zajęty?

— Tak... Kiedyś myślałam — przyznała Ania bojąc się, żeby nie powiedzieć za dużo.

— Ja nie miałam podstawy do twierdzenia, że on był w niej zakochany, ale zdawało mi się, że tak powinno być. Otóż, droga Aniu, Bóg wie, że nie jestem swatką i gardzę wszelkimi podobnymi rzeczami, ale na pani miejscu, gdyby m pisała do Forda, to tak mimochodem wspomniałabym i o tym, co się stało. To właśnie zrobiłabym.

— Bez wątplenia wspomnę o tym, jak tylko będę do niego pisać — odparła Ania trochę chłodno. Nie mogła jakoś na ten temat dyskutować z panną Kornelią, a przecież musiały przyznać, że ta sama myśl zrodziła się i w jej głowinie, i to w tej samej chwili, gdy tylko dowiedziały się, że Ewa jest wolna. Nie chciała jej jednak profanować otwartą dyskusją.

— Oczywiście, nie ma gwałtu, kochanie, ale z drugiej strony Ryszard Moore leży w grobie już od trzydziestu lat, a Ewa przez niego straciła szmat życia. Zobaczmy, co z tego wyniknie. Co się zaś tyczy tego Jerzego Moore, który zniknął, a potem się znów zjawił, kiedy wszyscy go uważali za umarłego, to żal mi go bardzo. Wątpię, żeby się do czegokolwiek nadał obecnie.

— On przecież jest jeszcze młody, a jak przyjdzie w zupełności do zdrowia, co jest bardzo prawdopodobne, to z pewnością znajdzie sobie odpowiednie miejsce na ziemi. Dla niego cała ta sprawa musi wydawać się bardzo niezwykła. Przypuszczam, że wszystkie lata od chwili wypadku będzie uważał za wykreślone z życia.



# XXXIII. Powrót Ewy

W dwa tygodnie później Ewa Moore wróciła sama do starego domu, w którym spędziła tyle gorzkich lat. W półmroku czerwcowego wieczora poszła przez pola do Ani i nagle, niczym duch, zjawiała się w ogródku przesyconym zapachem kwiatów.

— Ewa! — krzyknęła Ania zdumiona. — Skąd się tu wzięłaś? Nie mieliśmy pojęcia, że już wróciłaś. Czemu nie napisałaś? Wyszlibyśmy wszyscy na spotkanie,

— Tak się jakoś złożyło, Aniu, że nie mogłam was zawiadomić. Zdawało mi się, że trudno będzie opisać wszystko piórem. Poza tym chciałam wrócić cicho i bez zwracania czyjejkolwiek uwagi.

Ania wzięła Ewę w ramiona i ucałowała serdecznie; Ewa odpowiedziała równie gorącym uściskiem. Była mizerna i przemęczona. Z westchnieniem usiadła na trawie obok gazonu, na którym jak złote gwiazdki połykowały w srebrzystym półmroku szeregi żółtoglówi.

— I sama wróciłaś?

— Tak siostra Jerzego Moore przyjechała do Montrealu i zabrała go ze sobą do domu. Biedny człowiek z żalem rozstawał się ze mną, mimo że byłam dlań obcą osobą w chwili, kiedy odzyskał pamięć. Nie pozwalał mi odejść od siebie podczas pierwszych dni; z trudem uprzytamniał sobie, że śmierć Ryszarda nie była, jak mu się zdawało, wypadkiem dnia wczorajszego. Wszystko jest dla niego takie niepojęte. Pomagałam mu, jak mogłam. Lżej mu się zrobiło, gdy przyjechała siostra, ponieważ wydawało mu się, że dopiero niedawno widział ją po raz ostatni. Na szczęście, niewiele się zmieniła i to mu również dużo pomogło.

— Wszystko to takie dziwne i cudowne, Ewo. Właściwie, chyba żadna z nas nie wyobrażała sobie tego należyście.

— Ja teraz jeszcze nie mogę się oswoić. Jak weszłam przed godziną do mego domu, myślałam wciąż, że to tylko sen, że zastanę tam znowu Ryszarda z jego dziecinny m uśmiechem na ustach, jak od szeregu lat. Aniu, ja wciąż jestem tak oszołomiona. Nie jestem ani szczęśliwa, ani smutna i w ogóle nie wiem, co się ze mną dzieje. Czuję tylko, że gwałtem coś wyrwano z mego życia i że na tym miejscu pozostała pustka. Zdaje mi się, że nie jestem sobą, że zmieniłam się w kogoś innego, i jeszcze się do tego nie przyzwyczaiłam. Wskutek tego czuję się tak samotna i bezradna. Tak mi dobrze, że ciebie widzę, zdaje mi się, że jesteś kotwicą dla mej bląkającej się w ciemnościach duszy. Ach, Aniu, jak ja się tego boję: i płotek, i pytań, i zdziwionych spojrzeń. Jak o tym pomyślę, to bodaj wolałabym wcale nie wracać. Doktor Tomasz był na stacji, kiedy wysiadałam z wagonu. On mnie przywiózł do domu. Biedny staruszek ma wyrzuty sumienia, bo przed laty zapewniał mnie, że dla Ryszarda nie ma ratunku: „Szczere w to wierzyłem, Ewo — zapewniał mnie dzisiaj — ale powinienem był zwrócić uwagę pani, żeby pani nie polegała wyłącznie na moim zdaniu i poradziła się jeszcze specjalisty. Gdybym tak postąpił, mogłaby pani zaoszczędzić sobie wielu gorzkich chwil, a biedny Jerzy Moore dużo straconych lat. Czuję się bardzo winny z tego powodu”. Pocieszylam go, że nie powinien brać sobie tego do serca i że zrobił tylko to, co uważał za słusne. On zawsze był dla mnie taki dobry, nie zniosiłabym, żeby się miał smucić z mego powodu.

— A Ryszard — to jest, mam na myśli Jerzego — czy pamięć mu zupełnie wróciła?

— Prawie. Są jeszcze tu i tam luki, których nie umie wypełnić, ale z każdym dniem przypomina sobie coraz więcej faktów. W dniu kiedy Ryszard został pochowany, wyszedł na przechadzkę. Przy sobie miał pieniądze Ryszarda i jego zegarek. Miał zamiar przywieźć to wszystko do domu razem z moim listem. Przyznaje, że znalazł się w miejscu odwiedzanym przez marynarzy, pamięta, że pił i nic więcej ponad to. Aniu, nigdy nie zapomnę chwili, kiedy przypomnił sobie własne imię.

Widziałam, że patrzy na mnie rozumnie, ale ze zdziwieniem. Mówię do niego: „Czy poznajesz mnie, Ryszardzie?”, a on mi odpowiada: „Kim pani jest? Nigdy pani w życiu nie widziałem. I nie nazywam się Ryszard. Ja jestem Jerzy Moore, a Ryszard wczoraj umarł na żółtą febrę. Gdzie ja jestem, co się ze mną stało?” Ja... ja zemdlalam, Aniu, i od tej chwili wciąż mi się zdaje, że śnię.

— Szybko przystosujesz się do nowych warunków. Poza tym jesteś jeszcze młoda, przed tobą jest całe życie. Przeżyj jeszcze szereg szczęśliwych lat.

— Być może, że po jakimś czasie będę mogła zapatrywać się na to w ten sposób. W tej chwili jestem zbyt zmęczona i zubożnięta, aby myśleć o przyszłości. Ja... ja jestem bardzo samotna, Aniu, brak mi Ryszarda. Czy to nie dziwne? Czy wiesz, że ja doprawdy lubiłam Ryszarda, Jerzego powinienam powiedzieć, tak, jak bym lubiła biedne, bezradne dziecko, zmuszone we wszystkim na mnie polegać. Nigdy bym się przyznała do tego, tak się wstydziłam tego uczucia; przecież zanim wyruszył w podróż, taki do niego czułam wstręt. Kiedy się dowiedziałam, że kapitan ma go przywieźć do domu, sądziłam, że uczucie moje pozostanie takie samo. Tymczasem nienawiść minęła z chwilą, kiedy go zobaczyłam, mimo tego że ile razy przypominałam go sobie takim, jakim był przed wyjazdem, zaraz wstręt powracał. Od czasu jak wrócił do domu, czułam dla niego tylko litość, litość, która mnie do głębi bolała. Zdawało mi się, że to jego bezbronność wywołuje we mnie takie uczucie, teraz wiem, że tak było dlatego, że był to rzeczywiście zupełnie obcy człowiek. Carlo jeden o tym wiedział, dziś to jasne dla mnie, że on o tym wiedział. Zawsze wydawało mi się to dziwnym, że pies nie poznał Ryszarda, bo przecież psy są takie wierne, on tymczasem wiedział to, czego nikt inny nie odgadł: czuł, że to nie jego pan wrócił do domu. Ja sama Jerzego Moore nigdy w życiu nie widziałam. Teraz przypominam sobie, że Ryszard wspomniiał mi kiedyś o swym kuzynie w Nowej Szkocji bliźniaczko do niego podobnym. Cała ta sprawa wyszła mi zupełnie z głowy, a w każdym razie nie widziałam w tym nic ważnego. Nigdy też na myśl mi nie przyszło sprawdzić tożsamość Ryszarda. Wszystkie zmiany, jakie w jego wyglądzie zaszły, kładłam na karb wypadku.

Ach, Aniu, ten wieczór w kwietniu, kiedy Gilbert wspomniiał mi, że Ryszard może być uleczoney! Nigdy tego nie zapomnę. Dotychczas zdawało mi się, że byłam w więzieniu, w strasznej celi tortur, że potem otworzył mi ktoś drzwi i ja mogłam wyjść, wprawdzie tylko na próg, ale nie znajdowałam się wewnątrz. A w ten wieczór kwietniowy zdawało mi się, że jakaś bezlitosna ręka wepchnęła mnie z powrotem do celi — z powrotem na tortury stokroć gorsze niż przedtem. Nie winiłam Gilberta, czułam, że miał słusność. Był bardzo dobry dla mnie — wspomniiał, że wcale by mi nie wziął za złe, gdybym ja ze względu na koszty i niepewny bądź co bądź wynik operacji zdecydowała się jej nie ryzykować. Ja jednak wiedziałam, jaka w tym wypadku pozostawała droga do wyboru, i bałam się jej tak strasznie. Całą noc biegałam po pokoju jak szalona; chciałam się zmusić do tego, aby spojrzeć prosto w oczy temu, co mnie czeka — i nie mogłam, a nad ranem z zaciśniętymi zębami postanowiłam, że nie chcę operacji, że pozostawię sprawy, tak jak są. Byłam bardzo podła, ja wiem. Słusznie potem byłabym ukarana za moją niegodziwość, gdybym zechciała pozostać przy tej decyzji. Cały dzień w niej wytrwałam. Po południu musiałam się udać do Glen po różne sprawunki. Był to jeden z tych dni, kiedy Ryszard był spokojny i senny tak, że zostawiłam go samego. Zatrzymałam się dłużej, aniżeli przypuszczałam, i on się za mną stęsknił, czuł się samotny. Kiedy wróciłam do domu, wybiegł na moje spotkanie, uradowany jak dziecko. Wówczas ustąpiłam. Ten uśmiech na jego biednej, beznamiętnej twarzy — to było więcej, aniżeli mogłam znieść. Wydało mi się, że odbieram dziecku możliwość wzrastania i rozwijania się. Czułam, że tę sposobność muszę mu dać, bez względu na konsekwencje. Wówczas przyszedł i powiedziałam o tym Gilbertowi. Ach, Aniu, musiałaś mnie uważać za bardzo niedobrą podczas tych tygodni przed wyjazdem. Nie chciałam taka być, ale nie mogłam myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, co mnie czeka. Wszystko poza tym wydawało mi się jakieś nierealne.

— Wiem i zrozumiałam to dobrze. A teraz wszystko złe minęło, kajdany zdjęte, nie ma więcej celi więziennej!

— Nie ma celi — powtórzyła Ewa, jakby była myślami gdzieś daleko, zrywając zdłbła trawy swymi opalonymi, kształtnymi rękami — ale, mam wrażenie, że nie ma też niczego innego. Przypominasz sobie, co ci opowiedziałam o moim szaleństwie w tę noc na wale piaszkowym? Widzę, że szaleństwo niełatwo mija. Czasami myślę, że dla niektórych ludzi szaleństwo trwa przez całe życie. A być szaloną w ten sposób — to prawie taka sama męka, jak być psem na uwięzi.

— Jak wypoczniesz i przezwycięzysz oszołomienie, będziesz się czuła o wiele lepiej — rzekła Ania, która wiedząc o niektórych rzeczach nie znanych zupełnie Ewie, nie widziała potrzeby zanadto ją pocieszać.

Ewa ułożyła swą złocistą główkę na kolanach Ani. — W każdym razie mam ciebie! — zawołała. — Życie nie może być zupełnie pozbawione uroku przy takim przyjacielu. Aniu, pogładź mnie po głowie, jak gdybym była małą dziewczynką. Niech ci się na chwilę zdaje, że jesteś moją matką. I pozwól mi powiedzieć teraz, kiedy już mi się język trochę rozwiązał, co ty i twoja przyjaciółka znaczyła dla mnie od tej chwili, kiedyśmy się spotkały na brzegu koło skał.





# XXXIV. Okręt szczęścia przybija do brzegu

Pewnego ranka, kiedy złociste słońce wschodziło nad pełnymi światła falami zatoki, w powietrzu nad wałem Przystani Czterech Wiatrów ukazał się znużony bocian, odbywający daleką podróż od gwiazd zachodu. Pod skrzydłami trzymał spiące, małe stworzonko. Bocian był zmęczony drogą i w zamyśleniu rozglądał się po okolicy. Czuł, że jest u kresu podróży, nie mógł go jednak dokładnie określić. Wielka, biała latarnia morska na skale z czerwonego piaskowca mogła wejść w rachubę, ale żaden bocian mający trochę zdrowego rozsądku nie umieściłby tam małego o aksamitnej skórce dzieciaka. Szary, stary dom otoczony wierzbami, stojący w ubranej kwiatami dolinie, środkiem której płynął strumyk, wyglądał więcej zachęcająco, nie zdawał się jednak również być poszukiwanym celem, tak samo jak i wielkie, zielone domisko, znajdujące się nieco dalej. W końcu rozjaśniła się mina bociana. Ujrzał to miejsce, którego szukał: mały, biały domek, gnieźdzący się tuż przy szumiącym lasu jodlowym, z kłębami dymu ulatującymi z komina kuchennego, jednym słowem, jedyny domek, jakby stworzony na to, aby tam zostawiać małe dzieci. Bocian westchnął z zadowoleniem i lekko opuścił się na dach.

Pół godziny później Gilbert zapukał do drzwi gościnnego pokoju. Odpowiedział mu zaspany głos, a po chwili blada, przestraszona twarz Maryli wyjrzała przez szparę.

— Marylo, przysyła mnie tu Ania, aby ci zakomunikować, że przybył tu pewien młody pan; nie przywiózł ze sobą zbyt dużo pakunków, ale ze wszystkiego widać, że ma zamiar pozostać u nas.

— Na miły Bóg! — krzyknęła Maryla zdumiona. — Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że już po wszystkim? Cemu mnie nie wolano?

— Ania nie życzyła sobie, żeby cię niepokoić bez potrzeby.

Dopiero przed około dwoma godzinami wezwaliśmy pomoc. Tym razem nie było niebezpieczeństwa.

— A... a dziecko, Gilbertcie, będzie żyło?

— Na pewno. Waży dziesięć funtów i... proszę słuchać: płuca w zupełnym porządku. Pielęgniarka dodaje, że włosy będzie miało rude. Ania jest na siebie wściekła, a ja umieram z radości.

Był to cudowny dzień w wymarzonym domku.

— Najpiękniejszy sen ze wszystkich sprawdził się — powiedziała bledziutka Ania w najwyższym upojeniu. — Ach, Marylo, wierzyć nie chcę w to szczęście po tym strasznym dniu w ostatnie lato. Serce moje od tego czasu było złamane, ale dziś to już minęło.

— To dziecko zajmie miejsce malej Joy — powiedziała Maryla.

— Ach nie, nie. Marylo. Ono nie może! Nikt nie potrafi tego dokonać. On ma swoje własne miejsce, ten malutki człowieczek, ale Joy ma swoje i zawsze je zachowa. Gdyby żyła, miałyby dziś więcej jak rok. Biegalaby po całym domku na swych małych nóżkach i wywawiała parę słów. Tak dokładnie ją widzę, Marylo. Ach, dziś wiem, iż kapitan miał rację, że Bóg już to urządził tak, aby moje dziecko nie uważało mnie za obcą osobę, jak je kiedyś odszukam na tamtych świecach. Zrozumiałam to w ciągu zeszłego roku. Dzień po dniu, ty dzień po tygodniu śledziłam jej rozwój i zawsze tak będę robiła. Zawsze będę wiedziała, jak ona rośnie z roku na rok. A jak znowu się spotkamy, poznam ją zaraz i nie będziemy sobie obce. Ach; Marylo, patrz na te kochane, słodkie paluszki. Czy to nie dziwne, że one są już teraz takie doskonałe?

— Byłoby o wiele dziwniejsze, gdyby tak nie było — zdecydowała dość zimno Maryla. Teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło, Maryla odzyskała panowanie nad sobą.

— Ach, wiem. Ale zdawało mi się, że one mogły być niezupełnie wykończone, a przecież są, aż do małych paznokietków. A rączyny! Patrz, Marylo, na te rączki!

— Zdaje mi się, że na ogół istotnie robią wrażenie rąk — zgodziła się Maryla.

— Patrz, jak ściska mój palec. Jestem pewna, że mnie już poznaje, o, na pewno! Krzyczy, jak tylko pielęgniarka chce go zabrać. Ach, Marylo, czy ty myślisz... chyba nie wierzysz, prawda, że jego włoski będą rude?

— Na razie w ogóle nie mogę dojrzeć żadnych włosów — rzekła Maryla — i na twoim miejscu wcale bym się tym nie martwiła, dopóki nie staną się widoczne.

— Marylo, on ma włosy. Patrz na ten delikatny puszek na całej główce. W każdym razie pielęgniarka twierdzi, że oczy będzie miał jasnobrunatne, a czoło ma zupełnie jak Gilbert.

— I ma najpiękniejsze małe uszy, droga pani doktorowo — wtrąciła Zuzanna. — Pierwszą moją czynnością było popatrzeć na uszy. Co do włosów można się omylić, oczy, nos mogą się zmienić i nie można powiedzieć, jakie będą w przyszłości. Natomiast uszy, jakimi są, takimi pozostaną od początku do końca. Proszę tylko popatrzeć na ich kształt i jak one przylegają do głowy! Nigdy nie będzie się pani musiało wstydzić tych uszu, droga pani doktorowo.

Powrót do zdrowia następował u Ani szybko i szczęśliwie. Ludzie przychodzili uwielbiać dziecko, jak czynili to już od najdawniejszych czasów, nawet zanim jeszcze trzej mędrcy ze Wschodu ugięli kolano przed królewskim majestatem Dziecięcia zrodzonego w stajence betlejemskiej. Ewa, powoli przychodząca do siebie wśród swych zmienionych warunków życia, wciąż nachylała się nad kołyską, niby złotowłosa Madonna. Panna Kornelia pielęgnowała malarstwo z troskliwością godną matki, kapitan trzymał je w swych opalonych, silnych dłoniach i spoglądał na nie oczyma, które widziały w rozkosznym stworzonku neurodzone własne jego dzieci.

— Jak go nazwiecie? — spytała panna Kornelia.

— Ania rozstrzygnęła kwestię — powiedział Gilbert.

— Jakub—Mateusz, według imion dwu najlepszych mężczyzn, jakich znalazł, nie wyłączając nawet obecnych — powiedziała Ania, spoglądając złośliwie na Gilberta.

Gilbert się uśmiechnął.

— Nigdy dobrze nie znalazłem Mateusza. Takı był nieśmiały, że nam, chłopakom, nie udawało się zwrzeć z nim bliższej znajomości. Ale z tym się zupełnie zgadzam, że kapitan Jim jest jednym z najlepszych ludzi, jakich Bóg kiedykolwiek stworzył. Jest strasznie uradowany, że jego imieniem nazwalimy chłopaka. Zdaje się, że on nie ma innego imiennika.

— Tak Jakub—Mateusz to imię, które się będzie dobrze nosilo i nie zblaknie w praniu — zauważyła panna Kornelia. — Jestem szczęśliwa, żeście nie dali dziecku jakiegoś szumnego, romantycznego imienia, którego by się musiało wstydzić na stare lata. Pani Wilhelmina Drew z Glen nazwała swego dzieciaka „Bertie Szekspir”! Co za duża kombinacja, prawda? Rada jestem również, że nie straciła pani dużo czasu na wyszukiwanie imienia. Niektórzy ludzie mają z tym kłopot nie lada. Gdy na przykład Stanleyowi Flagg urodził się pierwszy chłopak, powstało tyle projektów co do tego, jakim go obdarzyć imieniem, że biedak musiał przez całe dwa lata biegać w ogóle bez żadnego imienia. Potem na świat przszedł braciszek i dla odróżnienia nazywali jednego „Dużym Dzieckiem”, a drugiego „Małym Dzieckiem”. W końcu ochrzczili jednocześnie obu chłopaków, nazywając ich na pamiątkę dziadków: Dużego Piotrem, a Małego Izakiem. Przy chrzcie jeden dzieciak spoglądał na drugiego, czy nie potrafi go przekrzyknąć. Pani zna tę rodzinę szkołców górali MacNab z Glen? Mają dwunastu chłopaków, z których najstarszy i najmłodszy nosi to samo imię: „Wielki Neil” i „Mały Neil”. Mam wrażenie, że nie starczyło im imion w kalendarzu.

— Czytałam gdzieś, że pierwsze dziecko jest poezją, a dziesiąte najbardziej prozaiczną prozą — uśmiechnęła się Ania. — Prawdopodobnie pani MacNab sądziła, że dwunaste to już bajka, która się powtarza aż do znużenia.

— Tak tak... — westchnęła panna Kornelia. — Można coś powiedzieć na temat rodzin składających się z licznych członków. Przez osiem lat byłam jedynym dzieckiem i strasznie życzyłam sobie mieć braciszka. Matka każała mi się modlić i wierzyć mi, gorąco się modliłam. Otóż pewnego ranka ciotka Nela zeszła na dół do mnie i powiedziała mi: „Kornelio, jest braciszek dla ciebie w pokoju mamy; możesz pójść na górę i zobaczyć go”. Taka byłam podniecona, że prawie frunęłam przez schody. Stara pani Flagg podniosła dziecko i pokazała mi je. I cóż powiecie, tak byłam rozczarowana jak nigdy w życiu. Bo przecież modliłam się o braciszka, ale o dwa lata starszego ode mnie!

— Jak długo przewyciężala pani rozczarowanie? — śmiejąc się, spytała Ania.

— No, na Opatrzność bylam zagniewana dość dlugo, a przez kilka tygodni nie chciałam nawet spojrzeć na dzieciaka. Nikt nie wiedział dlaczego, bo się nikomu nie przyznałam. Dzieciak z czasem zrobił się bardzo sprytny, zaczął do mnie wyciągać rączki, no i skończyło się na tym, że go bardzo polubiłam. Ale zupełnie się z nim pogodziłam dopiero wówczas, kiedy pewnego dnia przyszła do mnie koleżanka ze szkoły i powiedziała, że jest ogromnie mały na swój wiek. Wpadłam we wściekłość, rzuciłam się na nią i powiedziałam, że nie rozumiem się na pięknych dzieciach i że nasze dziecko jest najmiłsze i najpiękniejsze ze wszystkich na świecie. Po tym wypadku prawie że ubóstwiałam naszego małego. Matka umarła, jakimś trzy lata, i od tego czasu bylam dla niego i matką, i siostrą. Biedny, kochany chłopak, nie cieszył się nigdy zbytnim zdrowiem i umarł, jak ukończył dwadzieścia lat. Mam wrażenie, że oddałabym, co mam najdroższego na ziemi, aby go tylko utrzymać przy życiu.

Panna Kornelia westchnęła. Gilbert zszedł na dół, a Ewa, która śpiewała kołysankę małemu Jimowi—Mateuszowi, ułożyła go do snu i również oddaliła się w stronę swego domu. Jak tylko zniknęła z oczu, panna Kornelia nachyliła się do Ani i tonem spiskowca szeptała do ucha:

— Aniu, kochanie. Wczoraj dostałam list od Owena Forda. Jest w tej chwili w Vancouver, ale pyta mnie, czy mogłabym później, za miesiąc, udzielić mu pokoju. Pani wie, co to znaczy? Mam wrażenie, że wszystko idzie pomyślnie.

— Nie mamy z tym nic wspólnego. Nie możemy zabronić mu przyjazdu do Czterech Wiatrów, skoro sobie tego życzy — szybko odparła Ania. Niemile jej było uczucie, jakiego doznała pod wpływem szeptem wypowiedzianych słów panny Kornelii. Zdawało jej się, że narzucają jej rolę swatki. Następnie przewyciężywszy się, dodała:

— Niech pani nie mówi Ewie, że ma przyjechać, aż będzie na miejscu. Gdyby się o tym dowiedziała w jakiś sposób, jestem pewna, że natychmiast by wyjechała. Ona i tak ma zamiar opuścić te strony. Chce pojechać do Montrealu i tam pielęgniarsstwem zarabiać na życie.

— Ach, Aniu kochana — powiedziała panna Kornelia kiwając głową — wszystko układa się tak, jak powinno. Ja z panią zrobiłyśmy, co do nas należy, a reszta spoczywa w mocniejszych rękach.



# XXXV. Polityka w Czterech Wiatrachi

Wyspa i cała Kanada ogarnięte były walką przedwyborczą. Gilbert, który gorąco popierał partię konserwatystów, został wciągnięty w wir kampanii i jako dobry mówca, musiał brać udział w wielu zebraniach. Panna Kornelia nie podzielała tego mieszania się do polityki i zdanie swoje o tym powiedziała Ani, która ukazała się już w ogródku.

— Doktor Tomasz nigdy się tym nie zajmował i doktor Blythe zobaczy kóregoś dnia, że popełnia błąd, niech mi pani wierzy. Polityka jest to coś takiego, do czego żaden porządny człowiek nie powinien się wtrącać.

— Czy w takim razie rządy kraju miałyby pozostać w rękach hultajów? — zapytała Ania.

— Tak — oczywista tak długo, jak długo są to hultaje z partii konserwatywnej — powiedziała panna Kornelia. — Mężczyźni i politycy, wszyscy są smarowani dziegiem jedną i tą samą szczotką, tylko liberalowie mają na sobie grubszy podkład od konserwatystów, dużo grubszy, i to jest cała różnica. Z tym wszystkim, nie zważając na liberalów ani konserwatystów, doktor Blythe lepiej zrobi trzymając się od nich z daleka. W przeciwnym razie gotów się jeszcze tak zapalić, że sam przyjmie kandydaturę z jakiego okręgu i poleci na pół roku do Ottawy, zostawiając praktykę na pastwę losu.

— Ach, nie szukajmy kłopotów — zaśmiała się Ania — za dużo by nas to kosztowało. Popatrzmy lepiej na małego Jima. Powinien się nazywać „Brylancikiem”. Czy to nie najdoskonalsza piękność? Niech pani tylko popatrzy na te dołeczki na łokciach; wychowamy go razem z panią na dobrego konserwatystę.

— Wychowamy go na dobrego człowieka — powiedziała panna Kornelia — tych jest niewiele i są bardzo cenieni, chociaż powiem pani, nie chciałabym w nim widzieć liberała. Co się zaś dotyczy wyborów, powinniśmy obie dziękować Bogu, że nie mieszkamy po tamtej stronie przy stani. Atmosfera jest tam bardzo burzliwa obecnie. Każdy Elliot, MacAllister czy Crawford znajduje się w tej chwili na stopie wojennej — uzbrojony jak do polowania na niedźwiedzie. Ta strona jest spokojna i cicha, ale to dlatego, że tu mało mieszka mężczyzn. Kapitan jest liberałem, ale moim zdaniem on się tego sam wstydzi, bo nigdy nie rozprawia o polityce. W każdym razie, nie ma najmniejszej wątpliwości, że partia konserwatywna znowu uzyska pokonanie większości głosów.

A jednak panna Kornelia omyliła się. Następnego dnia po wyborach kapitan wpadł do małego domku, aby podzielić się nowinami. Tak zaraźliwy jest bakcył polityczny i tak niebezpieczny dla cichych i spokojnych ludzi, że policzki kapitana pałały, a oczy błyszczały jak za młodościowych lat.

— Pani Blythe, liberalna partia zwyciężyła olbrzymią większością głosów! Po osiemnastu latach najgorszej gospodarki konserwatystów wreszcie ta nieszczęsna kraina doczekała się zmiany na lepsze!

— Nigdy przedtem nie słyszałam tak ostrej krytyki na niekorzyść partii konserwatywnej, kapitanie. Nie przypuszczałam, że z pana taki zawzięty polityk — zaśmiała się Ania, która nie bardzo się tym przejmowała. Mały Jim powiedział dziś rano: „Wurga”. Co znaczą królestwa, co powstanie i upadek dynastii, zwycięstwo liberalów czy konserwatystów w porównaniu z tym cudownym, wypadkiem?

— Ja tak powoli się do nich przekonywałem — usprawiedliwiał się kapitan. — Myślałem, że jestem umiarkowany stronnikiem partii, ale dopiero po otrzymaniu wiadomości o zwycięstwie zrozumiałem, jak gorliwym jestem liberałem.

— A pan wie, że mąż i ja należymy do konserwatystów?

— Tak, to jedyna wada, jaką widzę w was obojgu, Kornelia także należy do tego stronnictwa. Idąc z Glen, wstąpiłem do niej, żeby jej zanieść nowiny.

— Czy pan sobie nie zdawał sprawy, że narażał pan na niebezpieczeństwo swoje życie?

— Tak, ale nie mogłem się oprzeć pokusie!

— Jakże ona to przyjęła?

— Względnie spokojnie, pani Blythe, względnie spokojnie. Powiedziała na to tak: „Pan Bóg zsyła chwile upokorzenia na pewne kraje tak, jak i na poszczególne jednostki. Wy, liberalowie, byliście głodni i cierpieliście chłód przez wiele lat — starajcie się średnio najęść i ogrzać, bo długo nie pozostaniecie przy władzy”. „A może — mówię jej na to — może Kanada potrzebuje długiego okresu upokorzenia”. Ach, Zuzanno, czy Zuzanna słyszała nowinę? Liberalowie zwyciężyli!

Zuzanna właśnie weszła z kuchni, owiana wiecznie nad nią unoszącym się zapachem nader smacznych potraw.

— Czy rzeczywiście? — powiedziała najbardziej obojętnym tonem. — Wie pan, obserwowałam, że mój chleb zawsze jednakowo pięknie rósł, bez względu na to, czy panowali liberalowie, czy gdy ich nie było u władzy. A Zuzanna, droga pani doktorowo, będzie głosowała na tę partię, która spowoduje, że jeszcze przed końcem tygodnia spadnie deszcz i uratuje nasz ogród warzywny przed zupełną ruiną. Tymczasem może pani zechce przyjść do kuchni i powiedzieć mi, co pani myśli o mięsie na obiad. Obawiam się, że jest bardzo twarde i że będziemy musiały zmienić naszego rzeźnika podobnie jak i nasz rząd.



Pewnego wieczora, w tydzień później, Ania poszła do latarni, aby dowiedzieć się, czyby nie mogła dostać świeżych ryb. Po raz pierwszy zostawiła Jima samego. Była z tym cała tragedia: bo gdyby tak zaczął płakać? A przypuścimy jeszcze, że Zuzanna nie wiedziałaby, co z nim w tym wypadku zrobić? — z obawą myślała Ania. Zuzanna jednak była spokojna i uśmiechnięta.

— Tyle akurat mam doświadczenia z dzieckiem, co i pani, droga pani doktorowo, prawda?

— Tak z tym dzieckiem, ale nie z innymi dziećmi. Jak byłam mała, niańczyłam trzy pary bliźniąt. Gdy zaczynały krzyczeć, dawałam im najspokojniej kropli mętowych albo oleju rycynowego. Aż się dziwiw przy pominając sobie, jak lekko traktowałam małe dzieci i ich skargi.

— A ja, jak mały Jim zacnie płakać, położę mu całkiem po prostu woreczek z gorącą wodą na brzuszku — powiedziała Zuzanna.

— Ale nie za dużo gorący — przestrzegła przestraszona Ania. — Ach, czy rzeczywiście mogą zaryzykować ten spacer?

— Niech się pani nie niepokoi, droga pani doktorowo. Zuzanna nie jest taka, żeby zaraz sparzyć małego mężczyźną. Przecież on nie ma nawet zamiaru płakać.

W końcu Ania wyrwała się z domu i bardzo była zadowolona ze swej przechadzki. Kapitana nie zastała w stolowym pokoju latarni, natomiast spotkała tam jakiegoś przystojnego mężczyznę w średnim wieku z gładko wygoloną twarzą, który jej się wydał obcym. Tymczasem, jak tylko weszła, zaczął z nią rozmawiać tak swobodnie, jak gdyby dawno się znali. Nic nie było od rzeczy w tym, co mówił ani jak mówił. Ani jednak nie podobał się swobodny ton tego człowieka, odpowiedź jej była ozięble i skąpe. Niezajomym nie zrażony tym mówił dalej, a potem pożegnał się uprzejmie i odszedł. Ania przy sięgłaby, że odchodząc mrugnął porozumiewawczo oczami, i to ją zirytowało do reszty. Kto to mógł być? Coś dziwnie znajomego było w tym człowieku, była jednak pewna, że go nigdy przedtem nie widziała.

— Kapitanie, kto to był ten człowiek, który w tej chwili wyszedł?

— Marszałek Elliot — brzmiała odpowiedź.

— Marszałek Elliot?! — krzyknęła Ania. — Kapitanie, to przecież nie jego... ależ tak to jego głos. Ach, kapitanie, ja go wcale nie poznałam i byłam prawie niegrzeczna w stosunku do niego. Czemuż mi nic nie powiedział? Musiał widzieć, że go nie poznałam.

— Przecież on to uważał za dobry żart i dlatego nie pisał ani słowa. Niech pani sobie z tego nic nie robi, że się pani z nim źle obeszła, dla niego to uciecha. Tak, marszałek w końcu zgolił brodę i ostrzygł włosy. Sam go w pierwszej chwili nie poznałam. W noc po wyborach znajdował się razem z innymi w lokalu Cartera Flagga i czekał na nowiny. Około dwunastej godziny przyszła telefoniczna wiadomość, że liberalne stronnictwo zwyciężyło. Marszałek w tej chwili wstał i wyszedł z lokalu. Sam ani nie krzyczał, ani nie wiwatował, zostawił to innym i trzeba powiedzieć, że ci swoimi wiwatami i omal dachu nad słupek Cartera nie wysadzili w powietrze. Oczywiście, konserwatyści byli w lokalu Raymonda Russella, no, ale tam niedużo było wiwatów. Marszałek tymczasem powędrował w dół ulicy do gołami Augusta Palmera. August leżał dawno w łóżku, ale marszałek tak długo bombardował do drzwi, aż zbudził biedaka, który przyleciał, żeby się dowiedzieć, co znaczy ten piekielny hałas. „Auguste, niech pan zjedzie do swej pracowni i dokona największego dzieła w swym życiu — powiedział” do niego. — Liberalowie zwyciężyli i pan musi ogolić, zanim słońce wzejdzie, najszczęśliwszego liberała, jaki istniał”.

August był wściekły, raz dlatego, że go wyciągnięto z łóżka, a więcej jeszcze, bo sam należy do konserwatystów; przysięgał, że po dwunastej w nocy absolutnie nikogo nie ogoli.

„Zrobisz to, mój kochany, czego od ciebie wymagam — oświadczył marszałek — inaczej rozłożę cię na kolanach i wyliczę parę odlewanych kijów, których ci zapomniala wyspać twoja matka”.

August wiedział dobrze, że Elliot wykonałby swą groźbę, bo jest silny jak wół, a on sam, mizerny człowieczek, nie by mu nie poradził. Ustąpił wobec tego, wpuścił marszałka do gołami i zabrał się do roboty.

„Ja pana ogolę — powiedział — ale jeżeli pan jedno słowo powie podczas tego o zwycięstwie liberałów, tą oto brzytwą poderżnę panu gardło”.

Nie przypuszczalaby pani, że mały, łagodny August mógł być taki krwiożerczy, prawda? Pokazuje się dopiero teraz, co ta polityka robi z mężczyzn. Marszałek siedział cicho, a pożywszy się swej brody i włosów poszedł do domu. Stara jego gospodyni usłyszała kroki na schodach i wyjrzała ze swego pokoju zobaczyć, czy to marszałek, czy wynajęty do roboty chłopak. Kiedy ujrzała zupełnie obcego człowieka kroczącego ze świecą w rękę przez sieni, krzyknęła: „Morderca!” i zemdlała. Niezawnie wzywać doktora, aby ją przywołać do życia, i przeszło kilka dni, zanim mogła bez strachu patrzeć na marszałka.

Kapitan nie miał ryb. Tego lata rzadko wypływał łódką, a pieszych wędrowców zupełnie zaniechał. Większą część dnia spędzał na siedzeniu przy oknie wychodzącym na morze i spoglądaniu na zatokę, opierał przy tym na rękę swą szybko bielejącą głowę. I tego wieczora siedział tak milcząco przez kilka minut, jak gdyby odbywał jakąś schadznię z przeszłością, której Ania nie chciała przerywać. Potem, wskazując rękę ku zachodowi, powiedział:

— Czy to nie piękne, pani Blythe? Szkoda, że pani nie mogła widzieć dzisiejszego wschodu słońca; było to coś niezwykłego, coś cudownego. Widziałem różne wschody słońca nad zatoką, byłem w tyłu zakątkach świata, ale tak pięknego poranku jak dzisiaj nigdzie nie widziałem. Człowiek, niestety, nie może sobie wybrać godziny, w której by chciał umrzeć. Musi przyjąć te rozkazy na daleką podróż, jakie mu wyda Wielki Kapitan. Ja jednak najchętniej odszedłbym w takiej chwili, kiedy pierwsze promienie wschodzącego słońca ukażą się nad wodą. Tyle razy patrzałem na to i zawsze myślałem, jakby to było cudownie wędrować przez tę pełną blasku wspaniałość ku światom czekającym na nas po drugiej stronie zycia, ku wodom nie oznaczonym na żadnej ziemskiej mapie. Zdaje mi się, że tam wreszcie spotkałbym zaginioną Małgorzatę.

Kapitan często wspominał ją od czasu, kiedy po raz pierwszy opowiedział Ani jej historię.

— Nie sądzę, abym był tchórzem, pani Blythe. Nieraz bez obawy zaglądałem śmierci w oczy, ale myśl o powolnym konaniu napawa mnie dziwnym uczuciem przerażenia.

— Niech pan nie mówi o tym, drogi kapitanie — błagała Ania głaszcząc brunatną rękę niegdyś tak mocną, w tej chwili jednak już tak bardzo słabą. — Co byśmy poczęli bez pana?

Kapitan Jim uśmiechnął się promiennie.

— Żylibyście dalej spokojnie i pięknie, ale nie zapomnielibyście starego marynarza, pani Blythe, co? Nie, nie. Nie sądzę, abyście kiedykolwiek o mnie zapomnieli. Ludzie z rodu Józefa zawsze o sobie pamiętają. Będzie to jednak wspomnienie nie przy czyniające bólu. Nie zdaje mi się, aby pamięć o mnie była bolesna dla mych przyjaciół. Przeciwnie, spodziewam się i wierzę, że będzie bardzo miła. Już niedługo zaginiona Małgorzata zawoła mnie po raz ostatni; będę gotów na jej wezwanie. Mówię o tym wszystkim, bo chciałbym panią prosić o pewną przysługę. Oto tu jest biedny, stary mój Maciuś. — Kapitan wyciągnął rękę i poglaskał duży, ciepły, aksamitny kłębek zwinięty na otomanie. Maciuś rozwinął się jak sprężyna, wydając gardłowy ton, coś między mruczeniem a miauczeniem, wyciągnął łapki, obrócił się na drugi bok i z powrotem się zwinął. — Ten od czuje brak mojej opieki, kiedy się udam w mą ostatnią, daleką podróż. Nie mogę myśleć, że biedak po mojej śmierci mógłby głodować jak niegdyś. Cokolwiek się z mną stanie, czy zechce mu pani udzielić kęta u siebie?

— Ależ naturalnie, że tak

— W takim razie to jest wszystko, co mię dręczyło. Pani mały Jim dostanie tych kilka niezwykłych drobiazgów, które udało mi się zbierać. To już zarządziłem. A teraz wcale nie życzę sobie widzieć lez w tych pięknych pani oczach. Może być, że jeszcze czas jakiś pokręcę się na świecie. Któregoś razu w ostatnią zimę słyzałem, jak pani czytała pewien wiersz Tennysona. Chętnie bym go usłyszał jeszcze raz, gdyby pani mogła go zadeklamować.

Miękko i jasno powtarzała Ania cudowny wiersz Tennysona: „Przekroczony próg”, podczas gdy chłodził ich powiew wiatru od morza. Stary kapitan drżącą ręką wybijał takt.

— Tak tak, pani Blythe — rzekł, kiedy Ania skończyła. — To jest to, to właśnie. Pani mówi, że on nie był żeglarzem; nie wiem, jak on w takim razie potrafił uczucia żeglarza ubrać w takie słowa: „Nie życzę sobie żadnych smutnych, pożegnalnych słów”. I ja również ich nie chcę. Poza progiem bowiem będzie dobrze mnie i moim bliskim.



# XXXVI. Róże zamiast cierni

Jakie masz nowiny z Zielonego Wzgórza, Aniu? — Nic szczególnego — odparła Ania otwierając list Maryli. — Jakub Donnel pokrywa na nowo dach... On jest obecnie dobrym cieślą, z czego wnoszę, że w wyborze fachu zdołał przeforsować swą wolę. Pamiętasz, jak jego matka życzyła sobie, aby został profesorem gimnazjalnym? Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy przyszła do szkoły i wyłajała mnie za to, że nie chcę go nazywać St. Clairem.

— Czy na niego jeszcze kokolwiek tak woła?

— Widocznie nie. Zdaje się, że zupełnie się od tego odzwyczaił. Nawet matka jego poddała się prawdopodobnie losowi. Ja zawsze byłam zdania, że chłopak z taką brodą i ustami, jak Jakub, zawsze na swoim postawi. Poza tym pisze mi Diana, że Tola ma już adoratora. Pomyśl tylko, to dziecko!

— Tola ma siedemnaście lat — powiedział Gilbert. — Karolek Sloane i ja szaleliśmy za tobą, jak byłaś w tym wieku, Aniu.

— Doprawdy, Gilbertcie, starzejemy się po trochu — mówiła Ania żałośnie — jeżeli dzieci, które miały po sześć lat, kiedy my byliśmy dorośli, są już tak duże, że mają adoratorów. Adoratorem Toli jest Ralf Andrews, brat Janki. Przypominam go sobie jako małego, okrągłego grubaska, siedzącego na szarym końcu w klasie. Podobno teraz wyrósł na przystojnego, młodego człowieka.

— Tola prawdopodobnie wcześniej wyjdzie za mąż. Ona należy do tej kategorii co Karolina Czwarta. Nie opuści pierwszej sposobności ze strachu, że następna mogłaby się nie nadarzyć.

— No, jak wyjdzie za Ralfa, to będzie znak, że ten chłopak jest bardziej stanowczy aniżeli Billy — głośno szuła swe myśli Ania.

— Tak, tak — zaśmiał się Gilbert. — Miejmy nadzieję, że potrafi sam się oświadczyć. Aniu, czy byłaś wyszła za Billa, gdyby cię osobiście poprosił o twą rękę, zamiast posługiwać się w tym celu swą siostrą? — Bardzo możliwe — Ania serdecznie się roześmiała na wspomnienie swych pierwszych oświadczeń. — Samo wzruszenie z powodu tak nieoczekiwanego zdarzenia mogłoby mnie zahipnotyzować i spowodować do powzięcia decyzji zbyt pochopnej i niemądrej. Dziękujmy Bogu wobec tego, że zrobił to przez pośrednika.

— Otrzymałam wczoraj list od Jerzego Moore — odezwała się Ewa, która w kącie zajęta była czytaniem listu.

— Co się z nim dzieje? — zapytała Ania z zaciekawieniem, ale równocześnie z dziwnym uczuciem, że pyta o kogoś, kogo wcale nie zna.

— Dobrze mu się powodzi, ale uważa, że bardzo trudno dostosować się do tych zmian, jakie zastał w domu i wśród swych przyjaciół. Na wiosnę wybiera się znowu na morze. Pisze, że ma to we krwi i że tęskni za podróżami. Przy tym doniósł mi jeszcze o jednej rzeczy, która mnie bardzo ze względu na niego ucieszyła. Zanim wypłynął swego czasu na „Czterech Siostrach”, zaręczył się z jedną dziewczyną. Nic mi nie wspominał o tym w Montrealu, sądził bowiem, że ona przez ten czas wyszła za mąż za kogo innego i zapomniała o nim, podczas gdy jego miłość nie zmieniła się i uważał się wciąż za związanego danym słowem. Martwił się z tego powodu bardzo, ale kiedy wrócił do domu, przekonał się, że ona wcale nie wyszła za mąż i że wciąż myślała o nim. Wkrótce mają się pobrać. Poproszę go, żeby z nią przyjechał tutaj. I tak mówił mi, że chciałby ujrzeć miejsce, w którym przebywał tyle lat, nie wiedząc o tym.

— Jaka miła i wzruszająca historia — zachwyciła się Ania, której uwielbienie dla romantyzmu było nieśmiertelne. — I pomyśleć tylko — dodała z westchnieniem — że gdyby się stało tak, jak ja chciałam, identyczność Jerzego Moore nigdy nie wyszła na światło dzienne. Jak ja zwalczałam pomysł Gilberta! Ale jestem też ukarana: nigdy już nie będę mogła być innego zdania aniżeli Gilbert. A jak zechcę kiedy oponować, on zawsze będzie mógł mnie poskromić wspominając sprawę z Jerzym Moore.

— Jak gdyby nawet to było w stanie poskromić kobietę! — zartował Gilbert. — W każdym razie nie chcę, abyś została moim echem, Aniu. Nieznaczna opozycja dodaje zaprawy i ubarwia monotonię życia. Nie żyćze sobie mieć takiej żony jak Jan MacAllister po tamtej stronie przy stani. Cokolwiek powie, ona w tej chwili odpowiada swym bezbarwnym głosem: „To bardzo słuszne, Janie, daję słowo”.

Ania i Ewa roześmiały się. Ani głos dźwięczał srebrem, a Ewy złotem, oba zaś zlewały się w najdoskonalszą harmonię.

Zuzanna, wchodząc do pokoju, na odgłos tego śmiechu westchnęła głośno i głęboko.

— O co chodzi, Zuzanno? — zapytał Gilbert.

— Czy stało się coś złego malemu Jimowi, Zuzanno? — krzyknęła Ania zaniepokojona.

— Nie, nie. Niechże się pani uspokoi, droga pani doktorowo. Mój Boże, wszystko mi idzie na opak w tym tygodniu. Nie udał mi się chleb, jak pani bardzo dobrze wie, potem spaliłam najpiękniejszy gors na koszuli doktora, w końcu zbilam panią dużą wagę, a teraz na dodatek wszystkie donoszą mi, że moja siostra, Matylda, złamała nogę i życzy sobie, abym na jakiś czas do niej przyjechała.

— Ach, jakże mi przykro, to znaczy, mam na myśli wypadek twojej siostry! — zawołała Ania.

— Cóż robić! Człowiek rodzi się do smutku, droga pani doktorowo. Brzmi to tak, jak gdyby miało stać w Biblii, ale tymczasem, słyszę, napisał to pewien pan, co się nazywa Burns. A że rodzimy się z całą masą kłopotów, to święta prawda. Co się zaś tyczy Matyldy, doprawdy nie wiem, co z nią począć. Nikt z naszej rodziny dotychczas nie złamał nogi. Mimo to jednak uważam, że jest moim obowiązkiem pielęgnować ją, jeżeli tylko pani mnie zechce puścić na parę tygodni.

— Ależ oczywista, Zuzanno. Na czas twojej nieobecności postaram się o jakąś pomoc.

— Jakby pani nie mogła mnie puścić, droga pani doktorowo, to nie pojedę mimo złamanej nogi Matyldy. Nie chciałabym narazić na kłopoty i zdenerwowanie ani pani, ani tego maleństwa dla nie wiem ilu złamanych nóg.

— Ależ musisz natychmiast jechać do twojej siostry, Zuzanno. Ja postaram się o jakąś dziewczynę z przy stani i na jakiś czas to mi wystarczy.

— Aniu, czy zgodziłabyś się, abym tu zamieszkała, jak Zuzanny nie będzie? — zawołała Ewa. — Nie odmawiaj mi tego. Mnie będzie bardzo miło, a z twojej strony byłby to akt prawdziwego miłosierdzia. Czuję się tak osamotniona w tym wielkim domu. Nic tam nie mam do roboty, a w nocy jest jeszcze gorzej. Wciąż jestem wystraszona i zdenerwowana, mimo zaryglowanych drzwi.

Ania zgodziła się z radością i Ewa następnego dnia zainstalowała się jako nowa mieszkanka wymarzonego domku. Panna Kornelia gorąco pochwaliła cały ten projekt.

— To prawie opatrnościowe — w zaufaniu powiedziała do Ani. — Bardzo żałuję Matyldy Flow, ale jak już złamała nogę, to doprawdy nie mogła wybrać po temu stosowniejszej chwili. Ewa zamieszka tu podczas pobytu Owena Forda w Czterech Wiatrach i te stare kwoki z Glen nie będą miały sposobności gdałania, co niechybnie miałyby miejsce, gdyby mieszkała w swoim domu, a Owen tam ją odwiedzał. I tak już dosyć gadania z tego powodu, że nie włożyła żaloby. Do jednej z tych bab powiedziałam: „Jeżeli pani myśli, że powinna była włożyć żalobę z powodu Jerzego Moore, to ja powiem, że on raczej zmarłty chwstał, aniżeli umarł, a jeżeli pani ma na myśli Ryszarda, to przyznam, że nie widzę potrzeby ubierania się w żalobny strój po człowieku, który umarł, zresztą chwala Bogu, przed trzynastu laty”. A znowu Luizie Baldwin, która pozwoliła sobie na uwagę, że wy daje się to dziwne, jakim sposobem Ewa przez trzynaście lat nie potrafiła zauważyć, że to nie jej mąż, powiedziałam: „I pani także nie podejrzewała, że to nie jest Ryszard, mimo że całe życie była pani jego najbliższą sąsiadką, a z natury jest pani dziesięć razy bardziej podejrzliwa aniżeli Ewa”. Niestety nie można zamknąć ust wszystkim ludziom, Ania kochana, i z tego powodu jestem doprawdy bardzo rada, że Ewa będzie u pani podczas pobytu Owena.

Owen Ford zjawił się w małym domku pewnego wieczora, gdy Ewa i Ania zgodnie całą swą uwagę skupiły na małym Jimie. Zatrzymał się w otwartej drzwiach jadalnego pokoju, nie widziany przez obie, i głodnymi oczyma wchłaniał w siebie cudowny obrazek. Ewa siedziała na ziemi z maleństwem na kolanach i starała się uchwycić małp, tuste rączyny, którymi dzieciak wywijał w powietrzu.

— Ach, ty droga, złota, najmiłsza ptaszynko — szeptała i uchwyciwszy maleńką rączkę, okrywała ją pocałunkami.



— Kto jest najdroższy, mały skarbie?!— śpiewała Ania wychylając się z fotela, na którym siedziała. — A te dwie malutkie łapki to najpiękniejsze łapeczki na całym, dużym świecie, prawda, słodka, jedyna na okruszynko?

Ania wyczytywała się z całym zapalem, zanim mały Jim przyszedł na świat, w grube i bardzo mądre tomy, a specjalną uwagę poświęciła książce pana Oracle „O opiece i wychowaniu dzieci”. Pan Oracle błagał na wszystkie świętości, aby nigdy rodzice nie przemawiali do swych dzieci „dziecinny m językiem”. Do dzieci stanowczo, w jego mniemaniu, należało się odzywać czystym i klasycznym stylem. W ten sposób powinny one od zarania uczyć się nieskażonego języka i pierwszych, wymawianych przez nie słów. „Jakim prawem — grzmiał pan Oracle — może matka wymagać, aby dziecko nauczyło się pięknie mówić, gdy sama stale przyzwyczają jego mózg do dziwacznych wyrażen i przekręceń? Czy dziecko, które wciąż słyszy, że jest » słodką, najmilszą kiciunią«, może nabrać należytego pojęcia o swojej wartości, widokach na przyszłość, o swym przeznaczeniu?!”

Na Ani zrobiło to wielkie wrażenie i w związku z tym zapowiedziała Gilbertowi, że pod żadnym warunkiem nie będzie do swych dzieci przemawiać dziecinny m językiem. Gilbert zgodził się z tym zupełnie i oboje zawarli uroczystą umowę, którą Ania w najbezwstydniejszy sposób złamała zaraz w tym momencie, kiedy mały Jim po raz pierwszy znalazł się w jej ramionach.

— Ach, ty słodka, najmilsza kiciuniu! — krzyknęła i od tego czasu łamała swoje przyrzeczenie stale i przy każdej sposobności. Gdy ją Gilbert wydrwiwał z tego powodu — z całą pogardą wyśmiała pana Oracle:

— Jestem pewna, Gilbercie, że nigdy nie miał własnych dzieci — inaczej nie pisałby takich głupstw. Przecież do dziecka nie można przemawiać innym, jak tylko dziecinny m językiem; To jest zupełnie naturalne i zupełnie słuszne. Byłoby nieludzko zwracać się do tych małych, aksamitnych, słodkich stworzonek z taką mową jak do dużych chłopaków i dziewczynek. Dzieci potrzebują miłości i pieczyoty, i wszystkich dziecinnych słów i mały Jim będzie je miał, mój pieseczek najśliczniejszy!

— Ale ty jesteś pod tym względem gorsza od wszystkiego, co dotychczas zdarzyło mi się widzieć, Aniu — powiedział Gilbert, który będąc ojcem, a nie matką, przecież wyczuwał, że pan Oracle niezupełnie się myli. — Nigdy nie słałem, żeby ktoś do dziecka tak mówił jak ty.

— Bardzo możliwe, że nie słyszałeś. Idź już, idź! Czy nie wychowałam trzech par bliźniąt, zanim skończyłam jedenaście lat? Ty z twoim panem Oracle jesteście zimni teoretycy. Gilbercie, popatrz tylko na niego. O! I zgadza się z każdym słowem swojej mamy, najdroższa dziewczyna. Gilbert objął ramieniem Anię. — Ach, wy matki! — rzekł. — Wy matki, Bóg wiedział, co robi stwarzając was.

W ten sposób przemawiano do małego Jima i pieczono, i kochano go. On zaś rósł i rozwijał się, jak przystało na dziecko wymarzonego domku. Ewa tak samo dla niego straciła głowę jak Ania. Po skończeniu codziennej pracy i kiedy Gilberta nie było w domu, obie zasypywały nieskończonymi pieczyotami dzieciaka, czego niespodziewanym świadkiem był Owen Ford, który w takim właśnie momencie je zaskoczył. Ewa pierwsza go zobaczyła. Nawet w półmroku Ania spostrzegła błądność, która nagle pokryła jej twarz, zwięzając nawet czerwień ust i rumieńce policzków.

Owen podszedł bliżej, nie zwracając w pierwszej chwili uwagi na Anię.

— Ewo — powiedział wyciągając rękę. Po raz pierwszy nazwał ją po imieniu. Ale ręka, którą podala mu Ewa, była chłodna. Ona sama zachowywała milczenie przez cały wieczór, podczas gdy Owen, Ania i Gilbert żartowali i śmieli się. Jeszcze przed jego odejściem pożegnała całe towarzystwo i udała się do swego pokoju. Dobry nastrój opuścił wówczas Owena, który też zaraz potem ze smutkiem na twarzy wyszedł z gościnnego domku.

Gilbert popatrzył na Anię.

— Aniu, co to wszystko znaczy? Coś tu się dzieje, czego nie rozumiem. Atmosfera nasycona była dziś elektrycznością: Ewa siedziała zamyślona, jak muza tragedii; Owen Ford udawał niby wielką wesołość, ale na Ewę wciąż spoglądał tęsknymi oczyma; ty zaś cały czas robiłaś wrażenie, jakby ci nie dawało spokoju jakieś wewnętrzne podniecenie. Przyznaj się, coś tu ukrywasz przed swym oszukanym małżonkiem?

— Nie bądź niemądry, Gilbercie — brzmiała małżeńska odpowiedź Ani. — A co się tyczy Ewy, to jest niemożliwa i zaraz jej to powiem.

Ania zastała Ewę przy oknie w jej pokoju. Z dała by było slychać monotonne uderzania fal o brzeg morski. Ewa z założonymi na kolanach rękami wyglądała w mglistym świetle księżycy jak cudowne zjawisko.

— Aniu, czyś ty wiedziała, że Owen Ford ma przyjechać do Czterech Wiatrów?

— Tak — rzekła otwarcie Ania.

— Powinnaś mi była to powiedzieć! — namiętnie krzyknęła Ewa. — Gdybym wiedziała, wyjechałabym, nie zostałabym, żeby się jeszcze raz z nim spotkać. Powinnaś była mi to powiedzieć. To nieładnie z twojej strony, to bardzo nieładnie.

Usta jej drżały, a cała postać wyrażała wielkie podniecenie. Ania jednak była bez serca. Roześmiała się i ucałowała zwróconą ku niej z wyrazem wyrzutu twarzy czołg Ewy.

— Ewo, jesteś najmilszą gąską. Owen Ford nie zrobił tej olbrzymiej drogi od Pacyfiku do Atlantyku w tym tylko celu, aby mnie zobaczyć. Nie bardzo także chce mi się wierzyć, by go do tego zmusiło gwałtowne i niepokonane uczucie ku pannie Kornelii. Pozbądź się zatem tej tragicznej miny i schowaj ją gdzieś głęboko nie będzie ci więcej potrzebna. Są ludzie, którzy nawet przez kamień młyński widzą, jak tylko jest w nim mała dziurka, a ty tego nie potrafisz. Nie jestem prorokiem, ale ośmielę się coś ci przepowiedzieć. Cała gorycz twego życia minęła! Od teraz masz przed sobą radości i nadzieje, a dodam — i smutki szczęśliwej kobiety. Spełniła się dla ciebie wroźba cienia Wenus. Rok, w którym go ujrzałaś, przyniósł ci najpiękniejszą rzecz w darze — twoją miłość dla Owena Forda. A teraz kładź mi się do łóżka i śpij spokojnie!

Ewa posłuchała rady o tyle, że położyła się do łóżka. Co do tego, czy rzeczywiście spała, były pewne wątpliwości. Nie sądzę, że śniła na jawie. Życie tak było ciężkie dla biednej Ewy, droga, którą musiała kroczyć, tak ciernista, że nie śmiała nawet szepnąć swemu sercu o nadziejach, które w przyszłości mogły na nią czekać.

Wpatrzona jednak we wciąż powracające światło latarni, przeblisnąjące podczas krótkiej letniej nocy, oczy jej znowu stały się słodkie i jasne, i młode. A kiedy następnego dnia Owen Ford poprosił ją, aby z nim poszła przejść się nad brzegiem morza, nie powiedziała: „Nie”.



# XXXVII. Niezwykłe oświadczenie panny Kornelii

W pewne znojne popołudnie, kiedy zatoka pod palącymi promieniami sierpniowego słońca nabrała bładoniebieskiej barwy, a lilie w ogrodzie Ani wyciągały swe pomarańczowe kielichy ku słońcu, by je napeliło roztopionym złotem swych promieni, panna Kornelia wybrała się do małego domku.

Nie dlatego, broń Boże, żeby pannę Kornelię bardzo interesował bładoniebieski kolor wód albo spragnione słońca kwiaty. Siedziała jak zwykle w bujającym fotelu i, co było niepojęte, żadnej robotki nie miała w ręku. Ani nie szyła, ani nie przęda. Nawet nie zrobiła żadnej lekceważącej uwagi na temat rodu męskiego. Jednym słowem, zdania wypowiedziane przez pannę Kornelię pozbawione były zwykłej zaprawy i Gilbert, który umyślnie się zatrzymał w domu, aby z nią pogawędzić, i odłożył tak ulubione zajęcie jak rybolówstwo, mocno się tym stanem zaniepokoił. Co się stało z panną Kornelią? Nie wyglądała na zgnębioną albo zafrasowaną; przeciwnie, wygląd jej zewnętrzny zdradzał nawet pewnego rodzaju podniecenie nerwowe.

— Gdzie jest Ewa? — zapytała takim tonem, jak gdyby i to ją niezbyt obchodziło.

— Poszli razem z Owenem na poziomki do lasu leżącego za jej domem — odparła Ania. — Nie wrócą prędzej jak na kolację, a możliwe, że i później.

— Zdaje mi się, że taka rzecz jak zegar dla nich nie istnieje — powiedział Gilbert. — W ogóle nie mogę zgłębić tej całej historii. Zdaje mi się, że wy, kobiety, coś nabroiliście. Nawet Ania, nieporna swych obowiązków żony, nie chce mi nic zdradzić. Może pani mi o tym powie, panno Kornelio?

— Nie powiem, ale... — oświadczyła panna Kornelia z miną człowieka, który mając zamiar zanurzyć się w zimnej wodzie, rad by widzieć tę trudną procedurę już za sobą — ja chcę wam coś innego powiedzieć. Wychodzę za mąż.

Ania i Gilbert otworzyli szeroko oczy. Przemówić nie byli w stanie. Gdyby panna Kornelia zapowiedziała, że ma zamiar utopić się w kanale, można by było nad tym dyskutować, ale ta nowina była wręcz nieprawdopodobna. Wobec tego czekali, co dalej będzie. Bez wątplenia panna Kornelia pomyliła się.

— Macie oboje zupełnie głupie miny — orzekła, mrużąc oczy, panna Bryant. Kiedy już minął pierwszy nieprzyjemny moment niezwykłego oznajmienia, panna Kornelia odzyskała panowanie nad sobą. — Sądziłicie może, że jestem zbyt młoda i niedoświadczona do stanu małżeńskiego?

— Wie pani, ja jestem zupełnie oszołomiony — odezwał się Gilbert starając się zebrać myśli. — Przecież tyle razy zapewniała pani, że nie wyjdzie za mąż za najlepszego człowieka na ziemi?

— Wcale też nie wychodzę za najlepszego człowieka na ziemi — odparła panna Kornelia. — Marszałkowi Elliotowi daleko do doskonałości.

— To pani wychodzi za mąż za marszałka Elliota?! — wykrzyknęła Ania, która pod wpływem wzruszenia wywołanego tą drugą wiadomością odzyskała mowę.

— Tak Mogłam przecież wyjść za niego każdego dnia w ciągu ostatnich dwudziestu lat, gdybym kiwnęła palcem. Nie sądzicie jednak chyba, żebym się odważyła wejść do kościoła obok wędrującej kopy siana.

— Doprawdy jesteśmy bardzo radzi i życzymy pani najlepszego szczęścia — powiedziała Ania bladym i, jak sama czuła, niepewnym tonem. Nie była przygotowana na coś podobnego. Nie mogła wyobrazić sobie samej siebie w roli osoby składającej życzenia zaręczynowe pannie Kornelii.

— Dziękuję, wiedziałam, że mi dobrze życzycie — rzekła panna Kornelia. — Jesteście pierwsi spośród moich przyjaciół, którym to mówię.

— Będzie nam tylko bardzo przykro, że nas pani opuści, droga panno Kornelio — powiedziała Ania trochę zasmuconym, pełnym sentymentu głosem.

— Wcale mnie nie stracie — odparła panna Bryant bez cienia sentymentu. — Nie wyobrażacie chyba sobie, abym się zgodziła mieszkać po tamtej stronie przystani z tymi wszystkimi Elliotami, MacAllisterami i Crawfordami. „Od zrozumiałości Elliotów, dumy MacAllisterów, a chępliwości Crawfordów zbaw nas, Panie!” Marszałek sprowadza się do mnie. Chora jestem i zmęczona z powodu tych wszystkich mężczyzn, których muszę najmować do posług. Ten Jim Hastings, którego miałam podczas tego lata, był bodaj najgorszym okazem tego rodu. Każdego by doprowadził do małżeństwa. Niech pani posłucha: przewrócił wczoraj masielnicę i całą śmietaną wylał na dziedziniec. Myśli pani, że się tym zmartwił? Głupkowato się roześmiał i powiedział, że śmietana przy czynia się do użytku ziemi! Czy nie po męsku? Powiedziałam mu, że nie mam zwyczaju używać śmietany jako nawozu do mego podwórza.

— I ja pani również życzę jak najwięcej szczęścia — uroczystym głosem oznajmił Gilbert. — Ale — dodał nie mogąc oprzeć się pokusie, by nie zażartować z panny Kornelii, i to mimo błagalnych oczu Ani — ale boję się, że dni pani samodzielności są policzone. Jak pani wie, marszałek Elliot to bardzo stanowczy mężczyzna.

— Lubię mężczyzn, którzy trzy mają się raz powyższego postanowienia — odparła panna Bryant. — Amos Grand, który w swoim czasie o mnie się ubiegał, nie posiadał tej zalety. Nie widział pan w życiu podobnej chorągiewki. Wskakiwał do stawu z zamiarem utopienia się, potem rozmysłszy się, wypływał na powierzchnię wody. Czy nie było to zupełnie po męsku? Marszałek trzymałby się tego, co postanowił, i z pewnością by lby utonął.

— I powiadają, że wpada łatwo w złość — mówił dalej Gilbert.

— Nie byłby inaczej Elliotem. Chwała Bogu, że tak jest. Będzie to prawdziwa przyjemność doprowadzać go do szału. A potem, jak przyjdzie chwila skruchy, to z mężczyzną złoślikiem można dużo zrobić. A co pan zrobi z takim, który wciąż jest cichy i spokojny?

— Poza tym wie pani, że on jest liberałem.

— Tak, to prawda — ze smutkiem przyznała panna Kornelia. — I, niestety, nie ma nadziei, żeby go można było nawrócić na konserwatyzm. Ale przy najmniej należy do kościoła prezbiteriańskiego. Myślę, że z tymym będę się musiała pogodzić.

— A czy wyszłaby pani za niego, gdyby był metodystą?

— Nie, za nic w świecie. Polityka należy do tego świata, ale na religię zwracają uwagę i tu, i na drugim świecie.

— A poza tym, panno Kornelio, może pani pozostać „wdową”.

— To nie ja. Marszałek mnie przeżyje. Elliotowie żyją długo, podczas gdy Bryantowie wcześniej umierają.

— A kiedy ślub się odbędzie? — zapytała Ania.

— Mniej więcej za miesiąc. Moja ślubna suknia będzie niebieska i chciałam się pani, poradzić, kochanie, czy to stosowne włożyć do takiej sukni welon? Zawsze marzyłam, że na moim ślubie będę w welonie. Marszałek powiada, że zgadza się, jeżeli ja sobie tego życzę, zupełnie jak typowy mężczyzna.

— Dlaczego nie miałaby pani włożyć go, jeżeli pani ma ochotę? — zapytała Ania. ;

— Widzi pani, nie chciałabym się wyróżniać od innych ludzi — powiedziała panna Kornelia, która zresztą niedużo miała istot podobnych sobie na ziemi. — Jak mówiłam, marzę o welonie. Obawiam się jednak, że można go wkładać tylko przy białej sukni. Niech mi pani powie, Aniu, co pani o tym myśli. Postąpię wedle paninej rady.

— Sądzę, że zasadniczo welon wkłada się do białej sukni — przyznała Ania. — Ale to tylko jest zwyczaj. I ja myślę tak jak pan Elliot. Nie widzę, dlaczego by się pani miała pozbawiać tej przyjemności, skoro jej sobie pani życzy tak bardzo.

Panna Kornelia potrząsnęła jednak tylko głową.

— Jak to nie jest stosowne, to nie włożę — powiedziała wdychając z żalem za niespełnionym marzeniem.

— Skoro już pani się zdecydowała wyjść za mąż — zaczął uroczyście Gilbert — to dam pani kilka dobrych rad, udzielonych mojej matce przez babkę w dzień ślubu, na temat, jak należy się obchodzić z mężem.

— Zdaje mi się, że potrafię kierować marszałkiem — spokojnie oznajmiła panna Kornelia. — Niemniej jednak niech pan wylicza swoje rady.

— Po pierwsze — trzeba go złapać.

— Już złapany.

— Następnie — trzeba dobrze karmić.

— Przede wszystkim mięsem. Co dalej?

— Po trzecie i czwarte — nie spuszczać zeń oka.

— Wierzę panu — z naciskiem zakończyła panna Kornelia.



# XXXVIII. Szkarłatne róże

Ogród przy małym domku, który był ulubionym miejscem schadzek pszczół całej okolicy, ubarwił się w sierpniu tego roku czerwienią bogato kwiecieną pokrytych róż. Mieszkańcy domku dużo w nim czasu spędzali, urządzając pikniki i przesiadując obok strumyka nieraz do późnej nocy.

Pewnego dnia pod wieczór Owen zastał tam Ewę samą. Gilbert z Anią wybrali się na przechadzkę. Zuzanna zaś, która powinna była dawno wrócić od swojej siostry, jeszcze się nie zjawiała.

Nad wierzchołkami jodeł zwisało niebo, mieniające się wspaniałymi barwami od burszynowej do bladzielonej. Powietrze było chłodne, bo nadeszły ostatnie dni sierpnia. Ewa miała na sobie białą sukienkę z czerwonym paskiem. Szi razem wąskimi ścieżkami, wijącymi się pośród kwiatów. Owen, którego wakacje kończyły się, wrócić miał wyjechać. Ewa czuła, jak jej serce mocno bije. Wiedziała, że zbliża się chwila, kiedy padną słowa, którymi przypięczętowane zostanie ich milczące porozumienie.

— Czasami wieczorem nieokreślony zapach przenika ten ogród niby jakaś wonność czarowana — odezwał się Owen. — Nigdy nie udało mi się dobrać, z jakiego pochodzi ona kwiatu. Taka nieuchwytna, a ciągle powracająca i taka słodka. Często wyobrażam sobie, że jest to dusza Anieli Selwyn, odwiedzająca tu na ziemi tak bardzo przez nią umiłowane strony. Myślę też, że dużo dobrych duchów musi zamieszkiwać ten mały, stary domek

— Jeden miesiąc tylko tu mieszkam — odrzekła Ewa — a pokochałam go więcej aniżeli ten, w którym spędziłam całe moje życie.

— Dom ten zbudowała i poświęciła miłość — powiedział Owen. — Takie domy muszą wywierać swój wpływ i na tych, co je zamieszkują. A ten ogród istnieje już ponad sześćdziesiąt lat i historia tysiąca nadziei wypisana jest na jego kwiatkach. Niektóre z nich były zasadzone ręką żony nauczyciela, która od trzydziestu lat spoczywa w grobie, a przecież kwitną co lato. Niech pani spojrzy na te róże, Ewo. Królują nad wszystkimi innymi.

— Dla mnie najpiękniejsze są róże czerwone — powiedziała Ewa. — Ania lubi bladoróżowe, a Gilbert białe. Ja zaś zawsze szukam pałacych. One zaspokajają, jak żadne inne kwiaty, jakieś moje niewypowiedziane pragnienia.

— Te róże kwitną bardzo późno, wówczas kiedy już zamarły inne kwiaty, i zawierają w sobie całe ciepło i duszę lata — rzekł Owen zrywając kilka półrozkwitniętych pąków. — Róża jest kwiatem miłości, świat od wieków tak postanowił. Różowe róże — to miłość pełna nadziei i oczekiwania, białe to miłość obumarła albo opuszczona. Ale co oznaczają róże czerwone, Ewo?

— Miłość zwycięską — szepnęła Ewa.

— Tak, miłość zwycięską i doskonałą. Ewo, pani wie, pani rozumie. Kochałem panią od pierwszego wejrzenia i wiem, że pani mnie kocha. Nie potrzebuję o to pytać. Ale mimo to, chcę usłyszeć z ust pani, jedynej na moją!

Odpowiedź Ewy brzmiała bardzo cicho i nieśmiało.

Ręce ich i usta spotkały się. Była to najpiękniejsza chwila w ich życiu i kiedy stali oboje w starym ogrodzie, nad którym przeszły lata miłości i wesela, smutku i chwały, Owen uwiecznił jej jasne sploty szkarłatnymi różami, symbolem miłości zwycięskiej.

Ania i Gilbert w towarzystwie kapitana wrócili do domu. Ania rozpalila ogień na kominku, lubiła bowiem patrzeć na wesołą igraszkę płomiennych języków, i wszyscy zasiedli dookoła, aby spędzić parę chwil w miłym gronie.

— Kiedy patrzę na ogień na kominku — powiedział kapitan — to zdaje mi się, że jestem młody.

— Czy potrafi pan wyczytać przyszłość z ognia, kapitanie? — zapytał Owen.

Kapitan spojrział najpierw na wszystkich ze wzruszeniem, a potem jeszcze raz na ożywioną i zarumienioną twarzyczkę Ewy.

— Nie potrzebuję ognia, żeby odgadnąć waszą przyszłość — powiedział. — Widzę szczęście dla was wszystkich, dla wszystkich: dla Ewy i pana Forda, dla Gilberta i pani Blythe, i dla małego Jima, i dla dzieci, które jeszcze się nie urodziły, ale które przyjdą na świat; szczęście dla was wszystkich, chociaż pamiętajcie, że zjawią się nieraz i kłopoty, i smutki. Muszą one istnieć i żaden dom, czy to będzie pałac, czy wymarzony domek nie potrafią zamknąć się przed nimi. Nic one wam jednak nie zrobią, jeżeli przeciwstawicie im waszą miłość i zaufanie. Powodując się tymi dwoma uczuciami, przetrwacie wszystkie burze i przeciwności życiowe.

Staruszek podniósł się z krzesła i położył ręce na głowach Ewy i Ani,

— Wy dwie dobre, słodkie kobiety — powiedział — szczerze, wierne i takie, na których można polegać. Wasi mężowie będą poważani mając takie żony, a wasze dzieci będą was błogosławiły w przyszłych latach.

Dziwnie uroczyście nuta brzmiała w tych słowach i w tej małej scenie. Ania i Ewa schyliły głowy jak osoby otrzymujące błogosławieństwo, Gilbert nagłym ruchem otarł rękami swe oczy, Owen Ford patrzył w zachwycie. Na chwilę wszyscy umilkli. Wspomnienia wymarzonego domku powiększyły się o jedną jeszcze niezapomnianą i pełną uroku chwilę.

— Muszę już iść — powiedział z wolna kapitan. Wziął do ręki kapelusz i ociągając się, powiódł wzrokiem po pokoju.

— Dobranoc wam wszystkim — rzekł i wyszedł.

Ania, uderzona jakąś niezwykłą tęsknotą przebijającą z jego pożegnanych słów, wybiegła za nim.

— Niech pan wróćcie znowu do nas zajrzy! — zawołała w chwili, kiedy zamykał furtkę zawieszoną między pniami jodeł.

— Dobrze, dobrze! — wesoło zabrzmiał głos staruszka. Ale był to ostatni wieczór, jaki kapitan spędził przy kominku w wymarzonym domu.

— Tak mi przykro, jak pomyśle, że on wraca sam do tej opuszczonej latarni — powiedziała Ania. — I nie ma tam nikogo, kto by go przywitał.

— Kapitan jest tak dobrym towarzyszem dla innych ludzi, że nie wyobrażam sobie, by miał się źle czuć w towarzystwie siebie samego — rzekł Owen. — A jednak sądzę, że musi często się czuć osamotniony. Dziś robił wrażenie człowieka jasnowidzącego. Mówił jak ktoś, komu dany jest dar przepowiadania. Tak, ale na mnie czas. Muszę już iść.

Ania i Gilbert dyskretnie się usunęli. Gdy Owen odszedł, Ania wróciła do pokoju i zastała Ewę stojącą przy kominku.

— Ach, Ewo, wiem już i taka jestem szczęśliwa — powiedziała obejmując ją.

— Aniu, moje szczęście mnie przeraża — szepnęła Ewa. — Wydaje mi się zbyt wielkie, aby mogło być prawdziwe. Boję się myśleć i mówić o nim. To są chyba tylko sennie widziadła tego wymarzonego domku, które znikną, gdy stąd odejdę.

— Nie odejdziesz stąd dopóty, dopóki Owen cię nie zabierze. Pozostaniesz ze mną aż do tego czasu. Co ty sobie wyobrazasz? Może przypuszczasz, że mogłabyś cię puścić do tego ponurego, pełnego smutków domu?

— Dziękuję, kochanie. Chciałam cię prosić, abys mi pozwoliła tu pozostać. Bardzo by mi było ciężko wracać do siebie. Zdawałoby mi się, że jest to powrót do smutków mego dawnego życia. Aniu, jakaś ty była dobra dla mnie!—Dobra, słodka kobieta, szczerza i wierna, i taka, na której można polegać, jak powiedział kapitan Jim.

— On mówił o kobietach, a nie o kobiecie — uśmiechnęła się Ania. — A może kapitan patrzy przez różowe szkła swej sympatii ku nam? W każdym razie możemy się przynajmniej starać, aby być takimi, jak on nas sobie wyobraza.

— Czy pamiętasz, Aniu — z wolna mówiła Ewa — co kiedyś powiedziałam tego wieczora, gdyśmy się po raz pierwszy spotkały na brzegu wśród skał, że nienawidzę mej piękności? Wówczas mówiłam prawdę. Zawsze mi się zdawało, że gdybym była brzydsza, Ryszard nie zwróciłby na mnie uwagi. Nienawidziłam mej piękności, bo ona przyciągnęła Ryszarda, ale teraz, teraz cieszę się, że jestem ładna. To wszystko, co mogę dać Owenowi. Jego artystyczna dusza rozkoszuje się tym. Czuję, że nie przychodzę do niego z próżni mi rękoma.

— Owen miłuje twą piękność, Ewo. Któż by tego nie robił? Ale to nierozsądnie z twej strony mówić lub myśleć, że to jest wszystko, co mu przynosisz. Zresztą on ci o tym powie, ja nie potrzebuję. A teraz muszę pozamykać drzwi. Myślałam, że Zuzanna dziś przyjedzie, tymczasem widzę, że jej nie ma.

— Ależ jestem, droga pani doktorowo — oznajmiła Zuzanna wychodząc nieoczekiwanie z kuchni — i do tego taka zmachana i zasapana, że ledwo mówię. Dobry to kawał drogi z Glen aż tutaj.

— Jestem rada, Zuzanno, że cię widzę. Jaksię ma twoja siostra?

— Może już siedzieć, ale o chodzeniu nie ma jeszcze mowy. Jestem jej już jednak niepotrzebna, tym bardziej że przyjechała do niej córka na wakacje. A ja jestem szczęśliwa, że mogłam wrócić, droga pani doktorowo. Żałuję, że, niestety, Ma

tylda złamała nogę, a nie język jest w stanie na śmierć zamęczyć człowieka gadaniem. Przykro mi, że muszę to powiedzieć o mojej rodzonej siostrze. Zawsze była ogromnie gadatliwa, a jednak pierwsza w naszej rodzinie wyszła za mąż. Nie była nawet bardzo zachwycona tym Jamesem Clow, ale nie chciała go obrazić odmową. Nie powiem, James jest dobrym człowiekiem i jedyną wadą, jaką mam mu do zarzucenia, jest to, że zaczyta modlitwę przed każdym jedzeniem i mówi ją tak grobowym głosem, że mi to psuje cały apetyt. A skoro już mówimy o małżeństwie, czy to prawda, droga pani doktorowo, że Kornelia Bryant wychodzi za marszałka Elliota?

— Tak, zupełna prawda, Zuzanno.

— Oto, co uważam za niesprawiedliwość. Tu jestem ja, co nigdy złego słowa nie powiedziałam na mężczyzn, i jakoś nie mogę znaleźć nikogo, a z drugiej strony jest taka Kornelia Bryant, która całe życie suchej nitki na nich nie zostawiała — ona tylko rękę wyciągnęła i już ma męża. Dziwny ten świat, droga pani doktorowo!

— Ale jest jeszcze inny świat, Zuzanno.

— Tak — odrzekła z ciężkim westchnieniem Zuzanna. — Ale tam ani się żenią, ani wychodzą za mąż.





# XXXIX. Kapitan Jim przekracza próg

Pewnego dnia, z końcem września, ukazała się wreszcie książka Owena Forda. Kapitan oczekiwał jej wciąż i dzień w dzień chodził na pocztę w Glen, aby się przekonać, czy nie nadeszła. Tego dnia nie poszedł i Ewa odebrała przeznaczony dla niego tom wraz z dwoma innymi przesłanymi dla niej i dla Ani. — Zanimiemy mu książkę dziś wieczorem! — zawołała Ania podniecona jak mała dziewczynka.

Pelen uroku był ten spacer wzdłuż czerwonej drogi do latarni w czysty, czarujący wieczór jesienny. Słońce schowało się za pagórkami w jakiejś dolinie, w której pełno było zapewne takich zaginionych słońc. W tej samej chwili zajaśniały na niebie pierwsze promienie latarni.

— Kapitan nawet na sekundę się nie spóźnia — zauważyła Ewa.

Ania ani Ewa nie zapomniały nigdy twarzy kapitana w chwili, kiedy wręczały mu książkę, tę jego książkę uwielbioną, oczekiwaną z takim utęsknieniem. Policzki jego, zbiełałe w ostatnich czasach, znów nabrały kolorów. Młodzieńczy m ogniem zapalały oczy, ręce tylko drżały, jak ją otwierał.

Nazwana była po prostu: „Księga życia kapitana Jima”, a na karcie tytułowej widniały nazwiska Owena Forda i Jamesa Boyda jako autorów. Rycina na pierwszej stronie wyobrażała kapitana stojącego przy drzwiach wiodących do latarni i spoglądającego na zatokę. Była to fotografia, którą Owen uchwycił pewnego dnia podczas pracy nad powieścią. Kapitan wiedział o tym, nie spodziewał się jednak, że fotografia znajdzie się w książce.

— Tylko pomyśleć o tym — powiedział — stary marynarz dokładnie opisany w prawdziwej książce. Największy to dziś dzień w moim życiu. Czuję się tak strasznie dumny! Wcale spać nie będę tej nocy. Do wschodu słońca przeżyję tam moją książkę.

— No, to uciekamy i pozostawiamy pana razem z pańskimi skarbami — powiedziała Ania.

Kapitan Jim przeglądał książkę z pełnym zachwytem szacunkiem. Na słowa Ani szybkim ruchem zamknął ją.

— Nie, nie. Nie pójdziecie nie napiwszy się ze mną szklanki herbaty — powiedział. — Nie mogę tego słuchać, prawda, Maciusiu? Księga życia, mam nadzieję, nie ucieknie. Czekałem na nią szereg lat, to mogę poczekać jeszcze parę chwil, które spędzę w miłym towarzystwie mych przyjaciół.

Kapitan kręcił się po pokoju, zagrzewał wodę w kociołku, nakrywał do stołu, ale mimo podniecenia ruchy jego nie miały żywości. Były powolne i niepewne. Przyjaciółki jednak nie starały się przyjąć mu z pomocą, wiedziały bowiem, że ciężko by go tym obraziły.

— W samą porę przyszyście do mnie z wizytą — oświadczył wyciągając z kredensu tacę z ciastkami. — Matka mojego małego siostrzeńca przysłała mi dziś pelen półmisek ciastek i placuszków. Niech będą błogosławieni wszyscy dobrzy kucharze. Patrzcie, moje panie, na te wyborne ciastka: sam cukier i orzechy. Nieczęsto mi się zdarza, że tak wystawnie mogę przyjąć gości. Siadajcie, dziewczęta, siadajcie!

„Dziewczęta” wesoło siadły do stołu. Herbata była przyrządzona jak nigdy. Ciastka upieczone przez matkę małego Joe były ostatnim wyrazem doskonałości. Kapitan był najmiłszym gospodarzem i nawet najmniejszego spojrzenia nie rzucił w kąt pokoju, gdzie na stole spoczywała jego książka, błyszcząca w złoto—zielonej oprawie. Ania i Ewa wiedziały jednak że z chwilą kiedy się drzwi latarni za nimi zamknęły, kapitan momentalnie skierował swe kroki ku książce. Idąc do domu, wyobrażały sobie, z jaką rozkoszą staruszek przewracał kartki i jak wczużywał się w te stronic, na których opisane było jego barwne życie, pełne uroku i przygód.

— Ciekawam, jak mu się będzie podobało zakończenie, które ja wymyśliłam — rzekła Ewa.

Nigdy się tego nie dowiedziała. Wczesnym rankiem następnego dnia Ania przebudzona ze snu ujrzała Gilberta już ubranego, nachylającego się nad nią z wyrazem niepokoju na twarzy.

— Czy cię wzywają do chorego? — spytała zaszpanym głosem.

— Nie, Aniu. Obawiam się, że coś się musiało stać w latarni. Już minęła godzina, jak słońce weszło, a światło wciąż się pali. Wiesz, jak kapitan zawsze był dumny z punktualności, z jaką zapalał i gasił światło, równo z zachodem i wschodem słońca.

Ania przerażona usiadła na łóżku. Przez okno widziała światło blade odcinające się od jasnoniebieskiego nieba.

— Może usnął czytając swą księgę życia — powiedziała drżącym głosem — albo tak był nią pochłonięty, że zapomniał o świetle.

Gilbert potrząsnął głową.

— To niepodobne do kapitana. Na wszelki wypadek pójdę zobaczyć.

— Zaczekaj chwilę, pójdę z tobą! — zawołała Ania. — Tak musimy pójść. Mały Jim będzie jeszcze z godzinę spał. Zresztą obudź Zuzannę. Będziesz potrzebował pomocy kobiecej, jeśli kapitan rzeczywiście zachorował.

Piękny był ten poranek, pełen delikatnych, a jednocześnie niedojrzałych barw. Przy stań błyszcząca i mieniała się w świetle słońca jak strojna dziewczyna; nad wzdymami przelatywały stada mew; za wałem ciągnęło się lśniące, błękitne morze, szerokie pola nad brzegiem pokryte były rosą i pachniały świeżością w tym wczesnym, przezroczystym świetle. Od strony kanału nadleciał wiatr, który panującą dotychczas ciszę zamienił w cudowną muzykę szumiących drzew i gdyby nie złowrogie światło na wieży, ta wczesna przechadzka byłaby rozkoszą dla Ani i Gilberta. Serca ich jednak pełne były obawy.

Na pukanie nikt im nie odpowiedział. Gilbert otworzył drzwi i weszli do środka.

W staroświeckim pokoju panowała cisza. Na stole znajdowały się jeszcze nie zebrane resztki wczorajszej wieczery, lampa w rogu wciąż się paliła, Maciuś, zwinięty w kłębek, spał na otomanie.

Na kanapie leżał kapitan z rękoma złożonymi na książce otwartej na ostatniej stronicy. Oczy jego były przymknięte, a na twarzy malował się wyraz najdoskonalszego spokoju i szczęścia: wyraz człowieka, który wreszcie znalazł to, czego szukał.

— On śpi — rzekła drżącym głosem Ania.

Gilbert podszedł bliżej i nachylił się na kilka chwil nad kapitanem.

— Tak śpi, mocno śpi — powiedział cicho. — Aniu, kapitan przekroczył próg wieczności.

Nigdy nie dowiedziano się dokładnie, o której godzinie kapitan Jim umarł. Ania jednak zawsze wierzyła, że jego życzenie spełniło się i że odszedł w chwili, kiedy nad zatoką pokazały się pierwsze promienie wschodzącego słońca. Na tej lśniącej smudze, ponad srebrzystymi wodom i mórz, popłynęła dusza jego do przystani wolnej od burz i wichrów, gdzie czekała na niego zaginiona Małgorzata.



# XL. Żegnaj, wymarzony domku!

Kapitan został pochowany na małym cmentarzyku po drugiej stronie przystani, blisko tego miejsca, gdzie spoczywała snem wiecznym malutka biała pani. Krewni wystawili mu bardzo drogi i bardzo brzydki pomnik, pomnik, który za życia kapitana byłby dla niego celem nie kończących się dowiepów. Prawdziwy pomnik jednak pozostawił w sercach tych, którzy go znali, i w księżce, która miała przetrwać całe generacje.

Ewa żalowała, że kapitan nie mógł widzieć olbrzymiego powodzenia, jakim cieszyła się księżka.

— Jakby się radował czytając krytyki w dziennikach — mówiła. — Wszystkie prawie są przychylnie. Albo gdyby widział księżkę na pierwszym miejscu w katalogu pierwszorzędných księgarzy. Ach, gdyby tylko dożył tego, Aniu! Ania jednak mimo strapienia, była mądrzejsza. — On interesował się tylko księżką samą, a nie tym, co by o tym pisano. No i jego pragnienie spełniło się: całą ją przeczytał. W tę noc musiał być najszczęśliwszym człowiekiem. A potem odszedł szybko i bez cierpień, jak tego zawsze sobie życzył. Jestem rada ze względu na ciebie i Owena, że księżka ma takie powodzenie, ale że kapitan był także bardzo zadowolony — jestem tego pewna.

Gwiazda z latami morskiej wciąż czuwała nad bezpieczeństwem statków na morzu. Tymczasem posłano tam człowieka, pod którego opieką pozostawać miała tak długo, aż rząd zadecyduje, kogo z licznych starających się o to miejsce naznaczyć jako nowego strażnika. Maciuś przeprowadził się do małego domku, pieszczony przez Anię, Gilberta i Ewę oraz tolerowany przez Zuzannę, która nie zdradzała zbyt niegdy przywiązania do kotów.

— Mogę się z nim pogodzić tylko ze względu na kapitana, droga pani doktorowo, bo lubiłam tego staruszką. Będę się także starała, aby otrzymał swoje pożywienie i każdą mysz, jaka wpadnie do pułapki. Niech pani jednak nie żąda, abym robiła coś ponadto. Koty są tylko kotami, niech mi pani wierzy, nigdy nie będą czym innym, a na wszelki wypadek niech go pani trzyma z dala od drogiej, małej dziewczyny. Niech pani sobie wyobrazi, droga pani doktorowo, co by to była za straszna rzecz, gdyby kot wysłał oddech tego maleństwa.

— Można by to słusznie nazwać katastrofą — żartował Gilbert.

— Pan się może śmiać, drogi panie doktorze, ale w takim wypadku wcale by nie było panu wesoło.

— Koty nie wysysają oddechu małych dzieci — rzekł Gilbert. — To tylko przesąd.

— No, no. Może przesąd, a może i nie, doktorze kochany. Wszystko, co wiemy o tym, rzeczywiście miało miejsce. Kot żony siostrzeńca męża mojej siostry wysłał oddech jej dziecka i prawie już nie żyło, jak je odnaleźli, zresztą przesąd to czy nie, jakiego złotego diabła znaleźć gdzieś obok naszej dziewczyny, to przysięgam, że tak go stłukę pogrzebaczem, że popamięta.

Pan i pani Elliotowie urządzili się wygodnie w zielonym domu.

Ewa zajęta była za szyciem, bo ślub jej z Owenem miał się odbyć podczas świąt Bożego Narodzenia. Anię już teraz trapiła myśl, co pocznie, jak Ewa odjedzie.

— Wciąż jest jakaś zmiana. Każda przyjemna chwila tak prędko, niestety, mija — zauważyła z westchnieniem.

— Dom Morganów wystawiony jest na sprzedaż — powiedział pewnego razu Gilbert, jakby od niechcenia.

— Doprawdy? — obojętnie zapytała Ania.

— Tak. Teraz jak pan Morgan umarł, wdowa chce się przenieść do swoich dzieci w Vancouver. Chce sprzedać dom tanio, bo taki duży obiekt w tak małej wiosce jak Glen niełatwo da się zbyć.

— To bardzo ładny dom i myślę, że wkrótce znajdzie się nabywca — powiedziała nie zwracając na to uwagi Ania pochłonięta kwestią, w jaki sposób ma szyć ubranka dla małego Jima.

W przyszłym tygodniu miał otrzymać pierwsze krótkie majteczki i Ania gotowa była płakać na samą myśl o tym.

— A gdybyśmy tak kupili go, Aniu? — spokojnie zapytał Gilbert.

Ania opuściła robotę i spojrzała na męża.

— Gilbertcie, ty nie myślisz tego na serio?

— Oczywiście, że na serio, kochanie.

— I chcesz opuścić to ukochane miejsce, nasz wymarzony domek? — niedowierzająco powiedziała Ania. — Ach, Gilbertcie, to... to jest nie do pomyślenia.

— Słuchaj cierpliwie, kochanie, co ci powiem. Znam dobrze twoje uczucie. Zupełnie to samo czuję i ja. Ale zawsześmy się spodziewali, że wyprowadzimy się stąd.

— Ale nie tak prędko, Gilbertcie, nie teraz!

— Druga taka sposobność może nam się nie nadarzyć. Jeśli nie kupimy domu Morganów, kupi go kto inny, a w całym Glen nie ma drugiego domu, który by się tak dla nas nadawał, i nie ma w ogóle drugiego odpowiedniejszego miejsca, gdzie by można się było pobudować. Ten nasz mały domek, to trzeba przyznać, jest i był tym, czym żaden inny domek nie będzie, ale sama wiesz, jaki on dla lekarza niewygodny — trochę zanadto leży na uboczu. Wciąż odczuwaliśmy cały minus tego położenia, mimo to, o ile możliwości, staraliśmy się temu zaradzić. Poza tym, on teraz zaledwie dla nas wystarczy, a za parę lat, jak mały Jim podrośnie i będzie mu się należał własny pokój, to tu w ogóle będzie nam za ciasno.

— Ach, wiem, wiem — rzekła Ania ze łzami w oczach. — Wiem o wszystkim, co przemawia przeciwko niemu. Ja jednak tak go kocham i tu jest tak pięknie!

— Człabyś się tu bardzo samotna, zwłaszcza kiedy Ewa odjedzie, a kapitana nie ma. Posiadłość Morganów jest piękna i z czasem polubimy ją także. Zawsze ją podziwiałaś, Aniu.

— Tak, przyznaję, ale to wszystko przychodzi tak nagle. Dostaję zawrotu głowy. Dziesięć minut temu nie myślałam wcale o tym, żeby opuszczać to drogie miejsce. Myślałam, jakie nowości tu zaprowadzę z wiosną i co zasieję w ogródku. A jak my stąd odejdziemy, to kto się tu sprowadzi? Dom leży na uboczu, więc możliwe, że wynajmie go jakaś biedna, wędrowna rodzina i zapanuje go zupełnie. Ach, to będzie profanacja i tak by mnie to bardzo bolało.

— Wiem i o tym. Ale, Aniu, nie możemy poświęcać dla takich względów naszych własnych interesów. Dom Morganów nadaje się doskonale dla nas i doprawdy nie możemy wypuścić z rąk takiej okazji. Pomyśl o tej łące wśród drzew albo o tym gaiku za domem: zajmuje dwanaście morgów i będzie doskonałym miejscem zabawy dla naszych dzieci. Jest tam również piękny sad, a poza tym zawsze podziwiałaś mur z czerwonej cegły, biegnący dookoła ogrodu, z furtką do niego wiodącą; zawsze mówiłaś, że wygląda tak jak w powieściach. W końcu z okien masz tak samo piękny widok na przystań jak i tutaj.

— Ale światła z latarni nie widać.

— Przeciwnie. Możesz je widzieć z okna na strychu. Jest tam jeszcze jedna dobra rzecz, Aniu. Ty lubisz duże poddasza.

— Ale w ogrodzie nie ma strumyka.

— To prawda, natomiast przez gaj klonowy poza domem płynie strumyk, który wpada do stawu w Glen. A i ten staw również nie jest zbyt oddalony od domu. Będziesz mogła sobie wyobrazić, że znowu masz niedaleko Jezioro Lśniących Wód.

— Gilberte, proszę cię, nie mów mi na razie nic więcej o tym wszystkim. Pozwól mi całą rzecz rozważyć, przyzwyczaić się do tej myśli.

— Dobrze, nie ma pośpiechu. Tylko, jak się już zdecydujemy na kapno, to dobrze będzie jeszcze przed zimą się tam sprowadzić.

Gilbert wyszedł, Ania zaś odłożyła na bok drżącymi rękami ubranko Jima — nie mogła dziś więcej żyć. Z wilgotnymi od lez oczyma obchodziła każdy kącik małego państwka, w którym tyle czasu szczęśliwie królowała. Posiadłość Morganów miała wszystkie zalety wspomniane przez Gilberta. Ziemia była doskonała, a dom dość stary, aby wyglądać na poważną, pełną tradycji siedzibę, ale równocześnie dość nowy, żeby mieć wszystkie wygody i zalety nowoczesnego mieszkania. Ania podziwiała go często, ale co jest godne podziwu, nie zawsze godne jest miłości. Mały, wymarzony domek lubiła zaś tak bardzo! Lubiła wszystko, co z nim było związane: i ogród tak przez nią i przez tyle innych mieszkanek pielęgnowany i doglądany, i szmer strumyka, który wijąc się, przecinał jeden róg ogrodu, i furtkę zawieszoną między dwoma pniami jodłowymi, i stare, czerwone schody, i poważne topole, i małe, dziwne kształtu, szklane szafeczki nad kominkiem w stołowym pokoju, i skrzywione drzwi, prowadzące z kuchni do spiżarni, i dwoje śmiesznych okien na strychu, i małe wgłębienie na schodach. Przecież w tym wszystkim była cząstka jej samej. Jakże więc mogła porzucić to miejsce?

A ten domek, nawiedzany niegdyś przez miłość i radość, został przez nią samą i przez jej szczęście i smutki uświęcony na nowo. Tu przeżyła swój miesiąc miodowy; tu mała Joy spędziła jedyny dzień swego życia; tu wróciła słodycz macierzyństwa razem z Jimem; tu słuchała precudnej muzyki, jaką jest śmiech dziecka; tu przy kominku siadywali drodzy przyjaciele. Radość i smutek narodziny i śmierć uświęciły na zawsze mały, wymarzony domek.

I naraz przyszła chwila, w której musi go opuścić. Wiedziała o tym, mimo że walczyła z Gilbertem. Domek stał się za ciasny. Zajęcie Gilberta wymagało zmiany pod tym względem. Jego praca, mimo że była bardzo owocna, przecież doznawała tu wielu przeszkód. Ania musiała sobie zdać sprawę, że chwile ich pobytu tutaj zbliżają się ku końcowi i że trzeba odważnie spojrzeć w oczy tej nieuniknionej konieczności. Serce ją jednak bardzo boleło.

— To tak jakby mi z życia wydarło coś bardzo drogiego — mówiła z łkaniem. — Gdybym choć mogła mieć nadzieję, że jacyś dobrzy ludzie zajmą nasze miejsce albo że domek pozostanie przynajmniej pusty. To byłoby o wiele lepsze, niż gdyby go miała zniszczyć jakaś banda nie mająca pojęcia ani o krainie marzeń, ani o historii, która domkowi temu dała duszę i charakter. A już taka horda na pewno w najbliższym czasie zniszczy go zupełnie. Taki stary domek bardzo prędko staje się ruiną, jeżeli się go nie pielęgnuje. Zapuszczą ogród, topole poschną, parkan będzie wyglądał jak usta, w których brakuje połowy zębów, gzyms odpadnie, zamiast pobitych szyb powstawią poduszki i stare lachy i wszystko będzie świecić latami. Wyobraźnia Ani tak żywo malowała sobie upadek i zniszczenie jej ukochanego domku, że zdawało jej się, jakby się to już stało. Tak jej było smutno z tego powodu, że usiadła na schodach i gorzko się rozplakała. Tam ją znalazła Zuzanna i z wielkim współczuciem zaczęła dopytywać się, co się takiego stało.

— Chyba się pani nie posprzeczą z doktorem, droga pani doktorowo? Ale jeżeli nawet tak się stało, niech się pani tym nie trapi. W małżeństwie to się zdarza, jak mi opowiadano, bo ja sama nie mam pod tym względem doświadczenia. Doktorowi także będzie przykro i wkrótce się pogodzicie.

— Nie, nie, Zuzanno, myśmy się nie posprzeczały, tylko Gilbert chce kupić dom Morganów i będziemy musieli przenieść się do Glen i tam zamieszkać, a to mi serce złamie.

Zuzanna wcale nie podzielała uczuć Ani. Przeciwnie, była bardzo uradowana mającą nastąpić zmianą. Nie podobało się jej osamotnienie małego domku.

— Ależ droga pani doktorowo, to będzie świetnie! Dom Morganów taki duży i piękny.

— Nienawidzę dużych domów — łkała Ania.

— Nie będzie ich pani nienawidzić, jak pani będzie miała z pół tuzina dzieciaków — spokojnie zauważyła Zuzanna. — Ten dom jest i tak za mały dla nas. Od czasu, jak pani Moore tu mieszka, nie mamy wolnego pokoju. A spiżarnia to już najgorsze miejsce, w jakim kiedykolwiek pracowałam: nie można się swobodnie, obrócić. A poza tym to tak daleko od świata! Nic tu nie ma oprócz ładnego widoku.

— Daleko od twego świata, ale nie od mego — uśmiechnęła się blade Ania.

— Niezupełnie panią rozumiem, droga pani doktorowo, ale cóż ja nie jestem wykształcona. Ale jak doktor Blythe kupi dom Morganów, nie zrobi omyłki, niech pani będzie pewna. Mają tam wodę, a poza tym spiżarnia i komórki są porządne, a jak mi mówią, lepszych piwnic nie ma na całej Wyspie. A piwnica tutaj, pani sama wie, droga pani doktorowo, to tylko obrazza boska,

— Ach, idź Zuzanno, idź sobie! — zawołała Ania z rozpaczą. — Piwnice, spiżarnie i komórki nie stanowią domu! Czemu nie potrafisz płakać z tymi, co muszą płakać?

— Ja nigdy nie miałam wielkiej skłonności do płaczu, droga pani doktorowo. Raczej wolałabym rozweselać ludzi aniżeli z nimi płakać. Niech pani nie płacz i nie niszczy sobie pięknych oczu. Ten dom jest wprawdzie bardzo ładny, ale swoją rolę już spełnił i teraz najwyższy czas, żeby pani miała lepszy.

Pogląd Zuzanny był podzielany przez wszystkich prawie ludzi. Jedna Ewa była tej samej myśli, co Ania. I ona też rozplakała się na dobre, usłyszawszy tę nowinę. Potem obie otarły łzy i wobec zbliżającej się przeprowadzki zabrały się do pakowania rzeczy.

— Jak już musimy stąd iść, zróbmy to jak najprędzej, aby raz z tym skończyć — rzekła Ania zrezygnowanym głosem.

— Polubisz i ten dom w Glen, gdy w nim pomieszkaś dłuższy czas i gdy zwiąż się z nim drogie wspomnienia — pocieszała Ewa. — Przyjaciele przyjdą i tam, jak tu przychodziłi, szczęście go upiększy. Teraz jest to tylko obcy dom, lecz lata zrobią zeń drogie gniazdo rodzinne.

Drugi powód do płaczu dla Ewy i Ani zdarzył się w następnym tygodniu, bo mały Jim musiał włożyć pierwsze majteczki. Ania odczuwała całą tragedię tego faktu aż do wieczora, kiedy to zobaczyła swego pieszczołka w długiej koszulince.

— Potem przyjdą zabawy z towarzyszami, potem długie spodnie i w mgnieniu oka będzie dorosłym mężczyzną — westchnęła.

— Przecież nie chciałyby pani, aby całe życie pozostał dzieckiem, droga pani doktorowo — rzekła Zuzanna. — Bóg niech ma w opiece jego niewinne serce, ale on tak słodko wygląda w króciutkich majteczkach z wystającym z nich nożkami. A niech pani pomyśli, ile się oszczędza na prasowaniu!

— Aniu, dostałam właśnie list od Owena! — zawołała, wchodząc z rozradowaną twarzą, Ewa. — A jakie mam dobre nowiny. Pisze mi, że ma zamiar kupić ten domek od pehomocników kościoła i zatrzymać dla nas, abyśmy ty mogli spędzić wakacje. Aniu, czy się nie cieszysz?

— Ach, Ewo, cieszyć się — to zbyt słabe słowo, to brzmi prawie za pięknie, żeby mogło być prawdziwe! Ani w połowie nie będę się czuła tak nieszczęśliwa teraz, kiedy wiem, że nie sprofanuje tego domku banda wandalów albo też że opuszczony, sam się rozpadnie w gruzy. Ach, jak to dobrze, jak dobrze!

Pewnego dnia w październiku obudziła się Ania z świadomością, że była to ostatnia jej noc spędzona pod dachem małego domku. Zbyt dużo miała zajęcia i bieganiny, aby oddawać się smutkowi, a kiedy nadszedł wieczór, domek stał pusty. Ania i Gilbert zostali sami, aby się z nim pożegnać. Ewa, Zuzanna i mały Jim pojechali do Glen ostatnią furmanką załadowaną rzeczami. Przez olną, z których zdjęto firanki, wpadało światło zachodzącego słońca.

— Wszystko to ma taki smutny, opuszczony wygląd — westchnęła Ania. — Będzie mi bardzo tęskno za tym domkiem dzisiejszej nocy.

— Byliśmy bardzo szczęśliwi tutaj, Aniu, prawda? — rzekł Gilbert głosem pełnym tkliwości.

Ania zalkała i nic nie mogła powiedzieć. Gilbert czekał na nią przy furtce, zanim obeszła każde miejsce i pożegnała się z każdym kącikiem. Musiała odejść... Stary domek nadal jednak pozostanie na tym miejscu, oknami swymi spoglądając w stronę przystani. Wichry jesienne zaśpiewają mu smutną pieśń, szare deszcze będą dzwoniły o jego dach, otulą go zimne mgły idące od morza, światło księżycyca oświetli go, rozjaśni ścieżki, po których chodził nauczyciel ze swoją narzeczoną. Czar i urok ich historii zachowa się nad tym brzegiem przystani; nad wydmami piasków nadal będzie słycać gwizd wichrów i fale zawsze będą miarowo uderzały o brzeg.

A my odejdziemy — przez łzy szepnęła Ania zła zamykając za sobą na klucz drzwi. Gilbert czekał na nią z uśmiechem na ustach. Od północy błyszczało świat o Sarni cienie nadchodzącego wieczora zaczęły otulać mały ogródek w

kórym kwity już tylko złotogłowy. Ania ukęła i ucałowała próg, który przekroczyła jako panna młoda.

— Żegnaj, drogi, mały, wymarzony domku!

---

\*  
Kolo Miłośników Avonlea.

\*  
Oliver Wendell Holmes (1809–1894) — pisarz amerykański.